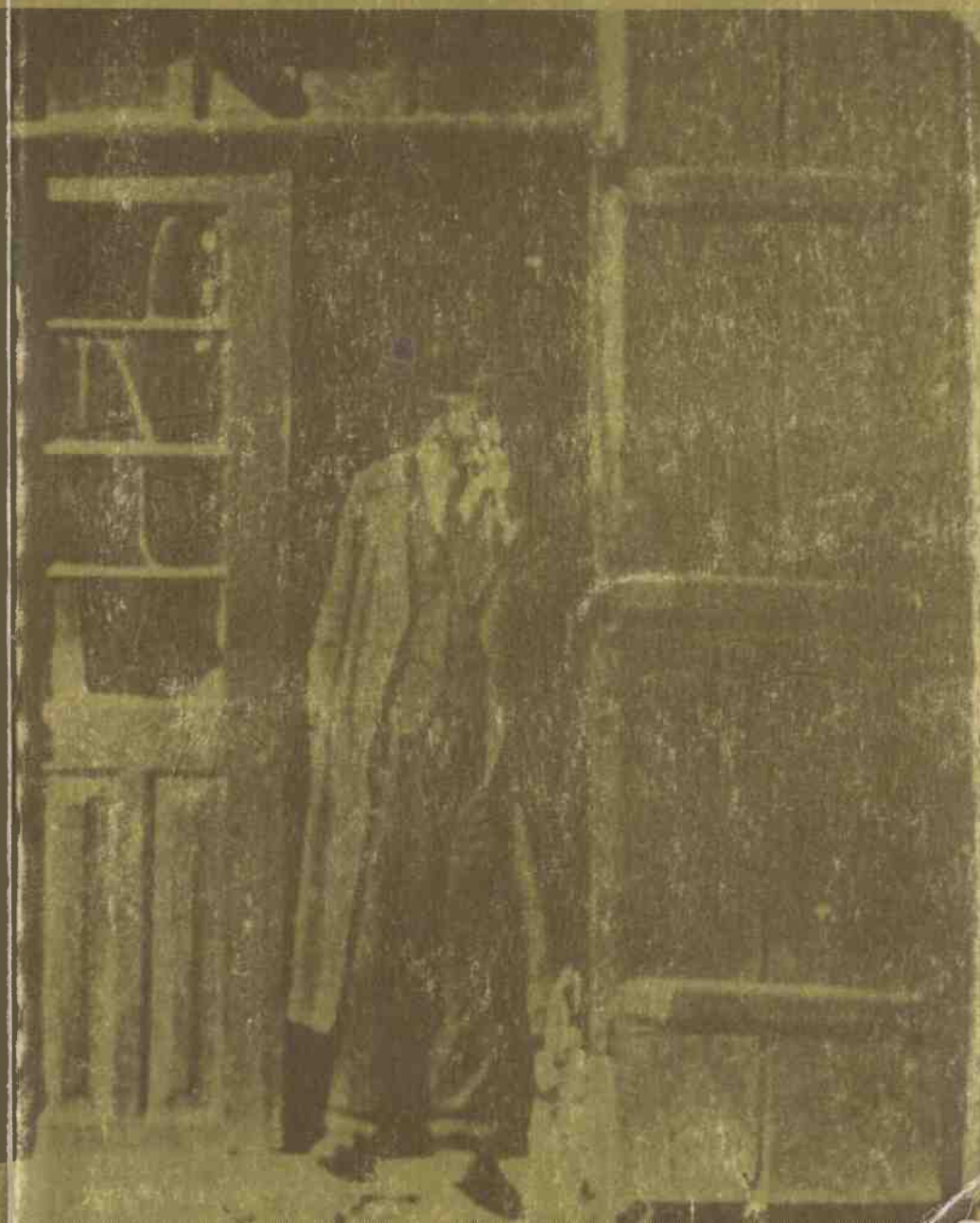
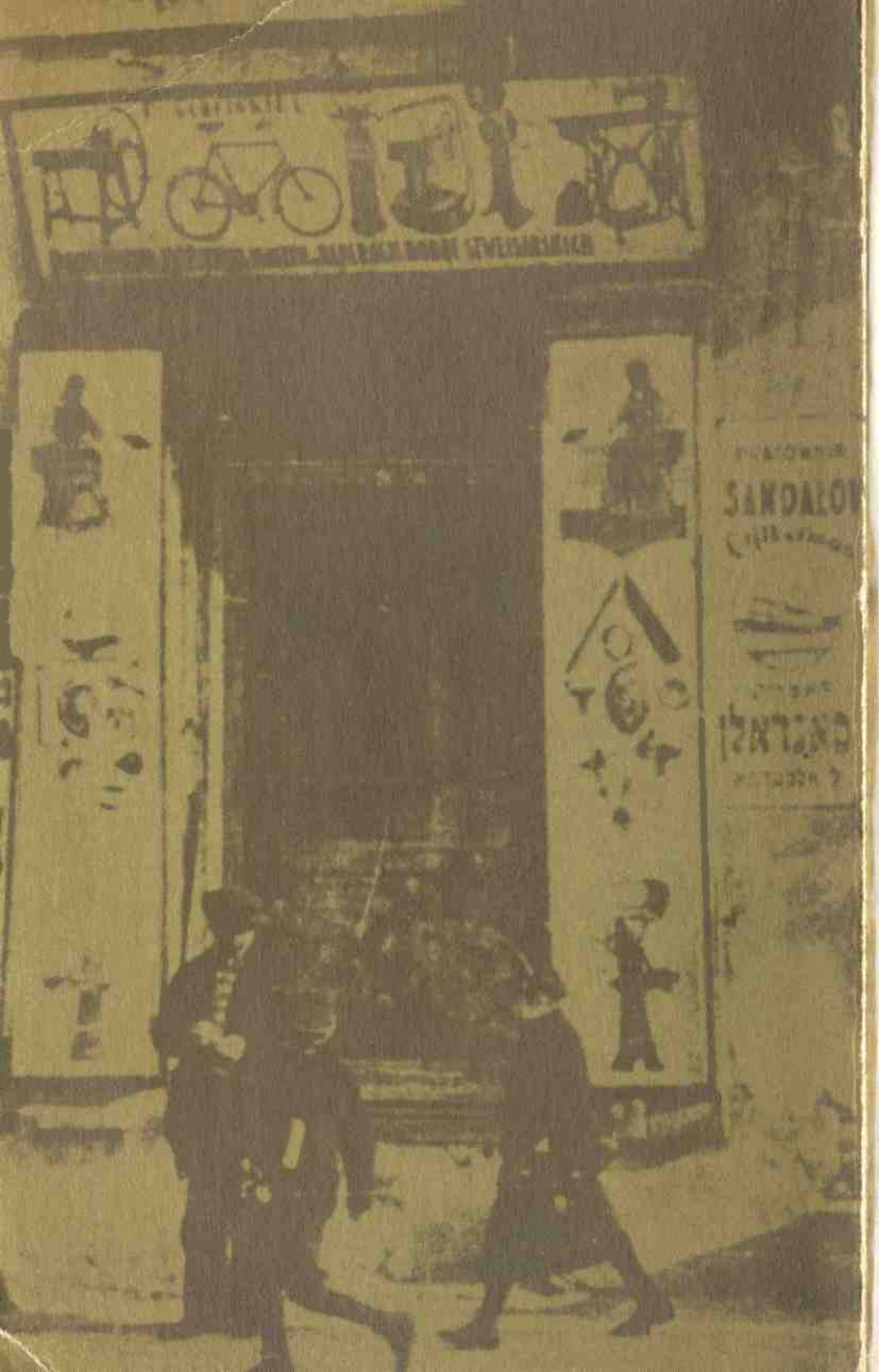


RÓZA FISZMAN-SZNAJDMAN

Mój Lublin





L'ÉQUIPEMENT



BICYCLETTE - VÉLO - MOTO - ACCESSOIRES



SANDALON

BENTON

MÓJ LUBLIN

ZBIORY
Zygmunta
Mańkowskiego



Rózia Fiszman-Szajdman

RÓŻA FISZMAN-SZNAJDMAN

Mój Lublin

Wydawnictwo Lubelskie

Opracowanie graficzne
Tomasz Bielski
według pomysłu Ireny Nawrot

Indeks osób
Katarzyna Darwaj

Redaktor
Anna Wójcik

Redaktor techniczny
Andrzej Woytowicz

Korekta
Krystyna Frelik

Fotografie
Jan Bułhak, Stefan Kielsznia, Komornicki, Andrzej Polakowski oraz ze zbiorów
Henryka Gawareckiego i Autorki

CIP — Biblioteka Narodowa

Fizman-Sznajdman Róża
Mój Lublin · Róża Fizman-Sznajdman.
— Lublin: Wydaw. Lubelskie. 1989

ISBN 83-222-0552-X

© Copyright by Izydor Sznajdman, 1989

WYDAWNICTWO LUBELSKIE · LUBLIN 1989

Wydanie I. Nakład 9 700 + 300 egz.
Ark. wyd. 13,2. Ark. druk. 13,5 + 2,75 ark. ilustr.
Papier offset. kl. III, 70 g, 82 × 104 cm.
Oddano do składania w lutym 1988 r.
Podpisano do druku w marcu 1989 r.
Druk ukończono w kwietniu 1989 r.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne w Lublinie,
ul. Unicka 4. Zam. nr 388/88, B-7

Przedmowa

Książkę swoją zatytułowałam *Mój Lublin. Saga rodów lubelskich*. Nie zamierzałam stworzyć dzieła literackiego ani też wszechstronnego i wyczerpującego obrazu miasta. To miał być właśnie mój Lublin, jaki znałam.

Na kartach tej książki wspominam ludzi i obyczaje, koneksje rodzinne, różne ugrupowania i strukturę socjalną, szkolnictwo i nauczycieli z ich zaletami i słabostkami, koleżanki i kolegów szkolnych. Wspominam tę wspaniałą, intelektualną i idealistyczną młodzież, która przysporzyła miastu duchowych treści, a swoją działalnością dynamizowała je społecznie.

Od chwili, kiedy wojna pozbawiła mnie domu i skazała na tułaczkę, nosiłam w swoim sercu obraz mojego rodzinnego miasta — Lublina. Nie przestały mi się śnić jego ulice i jego domy. Nie zapomniałam krajobrazu i klimatu. Tworzyli go prości, zapracowani ludzie, wśród których wyrosłam i wśród których przebiegało moje dzieciństwo i młodość. Język, w jakim wyrażali swój smutek i radość, zawsze brzmiał w moich uszach...

Wydarzenia i fakty zawarte w książce podyktowała mi wyłącznie moja pamięć, ale są one autentyczne, nie pomniejszone i nie wyolbrzymione. Pisane wiernością, z oddaniem miastu i Żydom, którzy w nim mieszkali, z nostalgią i ściśniętym z bólu sercem... Zrujnowano i zniszczono wartości, które przydały Mojemu Lublinowi tyle ważności i uroku.

Pisałam tę książkę z myślą o tych, którzy chcieliby poznać powszedni dzień tamtego, przedwojennego miasta, ku pamięci moich i nie moich bliskich, znanych i nieznanych Żydów Lublina. Niechaj *Mój Lublin* będzie jeszcze jednym płomykiem „wiecznie gorejącego ognia”, a to, czego nie dopowiedziałam, może choć w części uzupełnią załączone ilustracje...

Pierwszym czytelnikiem *Mojego Lublina* był poeta Motł Sackijer, któremu pragnę podziękować za pomoc w przygotowaniu książki do druku. Chcę też podziękować Dawidowi Stokfiszowi, przewodniczącemu Ziomkostwa Lubelskiego, i Chaimowi Kligerowi za życzliwe zajęcie się rozprawdzeniem mojej książki, wydanej w Izraelu w 1982 roku.

AUTORKA

OŚRODEK
BRAMA
GRODZKA

Lw-2a



TEATR NN

Lubartowska 21; podwórze, gospodarze, lokatorzy, moja rodzina

Mój Lublin zaczął się na Lubartowskiej 21, prawdopodobnie dlatego, że tam się urodziłam, spędziłam dzieciństwo i młodość aż do 1939 roku, kiedy Niemcy zajęli miasto. Po połączeniu ulicy Nowej z Lubartowską mój dom otrzymał numer 47, w mojej pamięci pozostał jednak zawsze jako dom z numerem 21. Dom składał się właściwie z czterech budynków, które zamykały podwórze z wiecznie brudną ubikacją, przeznaczoną dla lokatorów.

W domu moim mieszkali przeważnie ludzie biedni. Mieli zawsze kłopoty z zarabianiem na utrzymanie, rzadko który miał stałe dochody, a wiecznie trapiła ich myśl, skąd wziąć na opłacenie komornego, najważniejszej pozycji w budżecie.

Gospodarze domu mieszkali na pierwszym i drugim piętrze frontowej części kamienicy. Najgorzej mieli lokatorzy, którzy mieszkali nad nimi. Z bijącym sercem mijali ich drzwi i z ulgą oddychali dopiero wtedy, gdy nikogo z nich, nawet służącej, nie spotkali. Właściciele stosowali wypróbowane metody gnębienia lokatorów. Klucz do strychu, gdzie suszono bieliznę, znajdował się u nich. Zalegający z komornym nie mógł się nim posługiwać. A prac trzeba było często, bo rodziny były liczne, bielizny zaś nikt nie miał zbyt dużo.

Drugą metodą znęcania się nad mieszkańcami było zamykanie wody. Wszyscy musieli wtedy chodzić do budki wodociągowej leżącej przy targu, na rogu ulicy Lubartowskiej. Do jedynej w tej okolicy kranu formowały się długie kolejki.

Za wodę trzeba było płacić i nosić ją spory kawał drogi. Niektórzy musieli ciężkie wiadra wnosić na czwarte piętro i pokonać dziewięćdziesiąt parę schodów. Latem było z tym jeszcze pół biedy, ale zimą, kiedy lód ścinał dojście do kranu, a przejmujące zimno utrudniało oddech, noszenie wody stawało się prawdziwą torturą. Zamykanie wody było dla gospodarzy sposobem oszczędzania kosztów utrzymania domu, dlatego często z niego korzystali. Najgorszym dla mieszkańców było jednak pęknięcie rur instalacji. Mijały wtedy tygodnie, czasami nawet miesiące zanim rury zreperowano. Nierzadko lokatorzy sami zmuszeni byli zbierać pieniądze na opłacenie reperacji, choć powinna być dokonana w ramach komornego. Prawie zawsze — jak pamiętam — piwnica, gdzie znajdowały się rury i krany wodociągowe, była pełna wody; wypompowywano ją na podwórze. Tam mieszała się z żółtą, gęstą i cuchnącą cieczą wypływającą z przepelnionej ubikacji.

Trzy bloki stały obok siebie; mój dom był środkowym, między 19 a 23. Nazywali go domem Chaima „Kaszemachera”*, choć w czasie, gdy tam mieszkaliśmy, należał do sukcesorów: Wolfa Cukierfajna i Sylki Zajfsztajn. Wolf Cukierfajn, w przeciwieństwie do swojej bardzo tęgiej żony, był mężczyzną szczupłym. Zajmował się produkcją win i likierów, które sprzedawał w swoim sklepie na ulicy Świętoduskiej, zapewniając rodzinie dostatnie życie. Żona Cukierfajna dużo czasu poświęcała domowi i utrudnianiu życia mieszkańcom. Pomagała jej w tym długoletnia służąca, która w stosunku do lokatorów czuła się w pewnej mierze współgospodynią.

Cukierfajnowie mieli dwie córki i syna. Ludzie mówili między sobą, że Bóg ukarał ich niezbyt udanymi dziećmi za krzywdy wyrządzone lokatorom. Najstarsza córka, Syma, nie grzeszyła pięknnością — długo czekała na kandydata na męża, a gdy go rodzice wreszcie znaleźli, była już nie pierwszej młodości i niezbyt zadowolona z wyboru.

* Kaszemacher, wyrabiający kaszę.

Druga córka, Tobcia, miała kłopoty z nauką w szkole, a uczniowie w klasie i dzieci lokatorów unikały jej. Wyjątek stanowiła Masza Ajnsztajn, która za pewnym wynagrodzeniem pomagała jej w odrabianiu lekcji. Po wyjeździe Maszy do Palestyny (jak wtedy nazywało się tę ziemię) pozostała zupełnie sama. Matka wtedy „spuściła” z tonu i próbowała, niestety, bezskutecznie, znaleźć dla niej towarzystwo wśród dzieci lokatorów.

Jedyny syn Cukierfajnow miał ładną twarz, ale raczej o dziewczęcej urodzie. Dziwny był jego głos, który w wieku dwudziestu lat brzmiał jeszcze zupełnie chłopięco. Koledzy przedrzeźniali go stale z tego powodu. Rodzice wysłali go gdzieś na operację, która poprawiła głos.

Do dziś pamiętam, że Cukierfajn stale groził moim rodzicom eksmisją. W roku 1936 albo 1937 podał nas nawet do sądu. Stawili się tam moi rodzice razem ze mną. Jako oskarżyciel wystąpił sam Cukierfajn. Traf chciał, że przyszedłam w nowym palcie, bo stare mi się zupełnie rozleciało. Palto kupiła moja mama na raty u domokrażcy, za pieniądze zaoszczędzone na jedzeniu. Kosztowało ono moich rodziców wiele nieprzespanych nocy. Palto chciał Cukierfajn wykorzystać jako dowód złej woli moich rodziców. Sędzia przerwał mu jednak wypowiedź, ale wydał wyrok skazujący.

Po raz ostatni spotkałam Cukierfajna w tragicznych dniach Września, kiedy Niemcy bombardowali miasto. Nikt z lokatorów nie zostawał wtedy w mieszkaniu, szczególnie mieszkający na najwyższych piętrach. Wszyscy zbierali się na dole, w korytarzu, przy wejściu do bramy. Cukierfajn apelował wtedy do zebranych, by go nie opuścili w imię solidarności Żydów. Nikt nie pamiętał teraz dawnych krzywd. Po raz pierwszy wszyscy razem z nim znaleźliśmy się w tej samej sytuacji.

Sylkałe Zajfsztajn, druga właścicielka, wysoka, wychudła kobieta, nie umiała sobie radzić ze swoją częścią domu. Nie potrafiła też wobec lokatorów postępować tak bezlitośnie, jak jej krewniak. Kiedy dzieci wyrosły, podzieliła między nich mieszkania i sklepy, sobie zostawiając niewiele.

Najstarszy jej syn, wychudły mężczyzna w chasydzkim stroju, ze swoją wymęczoną, przedwcześnie postarzałą żoną i kilkorgiem dzieci mieszkał początkowo w oficynie. W następnych latach, kiedy Klajnwekslerowie i Turnerowie opuścili mieszkania na czwartym piętrze, zajął ich miejsce.

Na pierwszym piętrze mieszkała córka Sylkały z mężem i dwojgiem dzieci. Źródłem ich dochodów był skład apteczny, faktycznie sklep z artykułami kosmetycznymi, usytuowany przy ulicy Lubartowskiej. Niemcy w pierwszych dniach po zajęciu miasta zrabowali im towar, poszukiwali też Fiszę, męża Sylkały, by go ukarać za ukrywanie się. Rodzinę tę spotkało również inne nieszczęście: ich dziesięcioletnia córka spadła z balkonu; musiała potem długo kurować się w szpitalu i w domu.

Druga córka nie mieszkała w tym domu, dostała prawdopodobnie swoją część spadku w gotówce.

Najmłodszy syn aż do wybuchu wojny mieszkał z matką. Podobnie jak ojciec założył sobie skład apteczny w tym samym domu. Sylkałe na pewien okres odnajęła część swojego mieszkania rodzinie lekarza, który wykorzystywał je również jako swój gabinet. O lekarzu owym mówiono, że nie miał szczęścia do pacjentów. „Winę” ponosiło właściwie mieszkanie i ulica — ludzie nie mogli sobie wyobrazić, by dobry lekarz mógł przyjmować we wspólnym mieszkaniu przy takiej ulicy. Doktor Gajer nie potrafił zdobyć większego kręgu pacjentów i nie mógł utrzymać swojej rodziny. W końcu popełnił samobójstwo, przyjmując dużą dawkę cyjankali. Jego samobójstwo wstrząsnęło całym miastem, a w szczególności sąsiadami, którzy uważali go za sympatycznego i dobrego człowieka. Wielu lekarzy usiłowało go ratować różnymi środkami, ale wszystko nadaremnie. Prasa miejscowa codziennie podawała nawet meldunki o jego stanie. Tysiące ludzi towarzyszyło mu w jego ostatniej drodze. Osierocone żona i córka pozostały bez środków do życia.

Gospodarze mieli do swojej pomocy rządcę o nazwisku

Cygielman. Jego ukazanie się zawsze wywoływało panikę — był bezwzględny w egzekwowaniu komornego. Jeżeli od Cukierfajna jeszcze czasami udawało się uzyskać prolongatę na parę dni, nigdy to nie miało miejsca gdy pojawiał się Cygielman. Na jego twarzy malowało się nawet zadowolenie, gdy udawało mu się dokuczyć lokatorowi przy meldowaniu czy wymeldowaniu jakiegoś członka rodziny. Jego czerwoną, apoplektyczną twarz pamiętam do dziś.

Mój obraz domu byłby niekompletny, gdybym pominęła jeden istotny jego szczegół — „toiletę”, która odgrywała ważną rolę jako jedna dla wszystkich mieszkańców. „Toileta” była zawsze przepelniona, żółta ciecz wylewała się na podwórze, jedyne miejsce do zabaw dla dzieci. Żeby wydostać się z „przybytku” w możliwym stanie i ominąć szczury i koty, które zawsze towarzyszyły odwiedzającemu, trzeba było dokonywać akrobatycznych sztuczek. Szczególne kłopoty miały dziewczęta, nie brakowało bowiem różnych zbroceńców, którzy przy specjalnie wyżłobionych dziurach godzinami czyhali, by zobaczyć obnażoną dolną część ciała dziewczyny.

Koszt oczyszczania „przybytku” stanowił część komornego. Gospodarz dokonywał tej czynności bardzo rzadko, ale kiedy „szczęśliwy” moment nadchodził, dla lokatorów zaczynało się prawdziwe piekło. „Specjaliści” od czyszczenia czynili straszliwy hałas swymi beczkami, odgłosy dawały się słyszeć po całej niemal ulicy, a unoszący się zapach był wprost nie do zniesienia. Wiele dni musiało upłynąć, aby ten zapach się ulotnił.

Lokatorzy mojego domu tworzyli jakby jedną rodzinę, w szczególności ci, którzy mieszkali na trzecim i czwartym piętrze. Wszystkich jednoczyła wieczna troska o utrzymanie rodziny i opłacenie komornego. Trudy codziennego życia rodziły między nimi nierozzerwalne więzi przyjaźni i gotowość niesienia pomocy w każdej ciężkiej chwili. Gdy nie mieli innych możliwości, przychodzili choć z dobrym słowem. Wszyscy razem i każdy z osobna wiedział, że ma wśród sąsiadów

życzliwych sobie ludzi. Zrozumiałe, że bywały konflikty i tworzenie się stron, ale spory nie trwały jednak nigdy długo. Zwyciężała zawsze potrzeba utrzymywania dobrosąsiedzkich stosunków.

Napisałam, że trzecie i czwarte piętra zajmowali ludzie biedni, pierwsze i drugie lepiej sytuowani. Kontakty między wyższymi a niższymi piętrami były luźne. Większość mieszkań na wyższych piętrach składała się z dwóch małych pokoiów z kuchnią. Jedyne mieszkanie o trzech pokojach i kuchni zajmował rzeźnik Icze Holcekier. W długim ciemnym korytarzu po lewej stronie schodów znajdowało się drugie duże mieszkanie zajęte przez rodzinę Szwarców. Ojciec ich był wielkim chasydem*, budzącym we mnie zawsze uczucie strachu, ponieważ nigdy nie patrzył na kobiety, a do nich zaliczał także dziewczynki poniżej dziesięciu lat. Kiedy bawiłyśmy się na schodach, nie chciał nawet przejść koło nas i musiałyśmy zawsze zmienić miejsce do zabawy.

Na wprost schodów mieszkała rodzina Nisenbaumów. Ojciec handlował zbożem. Kiedy interesy były lepsze, jego rodzina nie zauważała pozostałych sąsiadów, aż w końcu przeprowadzili się do domu Kacnelbojgenów stojącego przy ulicy Lubartowskiej 24, gdzie mieszkali lepiej sytuowani.

Na tym samym trzecim piętrze mieszkali Perlowie. On był subiektem w sklepie manufaktury, [tj. tekstylnym]**. Z tego powodu rodzina ta uważała się za „coś lepszego” i nie przyjaźniła się z innymi w domu. Dopiero wtedy, kiedy jego zarobki zaczęły się zmniejszać, choroba żony wciąż pogłębiać, zaczęli szukać towarzystwa sąsiadów.

Na piętrze tym mieszkała jeszcze pięcioosobowa rodzina —

*Chasyd (hebr. *chaśid*=pobożny), wyznawca żydowskiego ruchu religijno-mistycznego — chasydyzmu; ruch ten powstał w XVIII w. we Wschodniej Europie; głosił radość życia poprzez ekstazę religijną, taniec i śpiew; rozwinął swój rytuał religijny oparty na tradycyjnym talmudycznym judaizmie.

** Subiekt, tu sprzedawca w sklepie towarów lokciowych, tj. wyrobów przemysłu tekstylnego, tkanin.

matka, ojciec, dwie córki i syn. Starsza dziewczynka, Peska, uczęszczała przez kilka lat do gimnazjum Szpera. Przez pewien czas uczyła mnie ona polskiego, bo rodzice moi chcieli, bym przed rozpoczęciem szkoły poznała język w niej obowiązujący. Ojciec Peski handlował sianem, ale interesy jego stale się pogarszały.

Młodsza siostra Peski miała wadę wymowy. Swoją krzywdę wyrównywała biciem wszystkich dzieci, które zmuszała do posłuszeństwa. Bieda dziecku, które śmiało się jej przeciwstawić. Ja się ośmieliłam i prawdopodobnie temu zawdzięczam uszkodzenie jednego oka. Zdarzało się bowiem, że często biła mojego brata Uszera; wobec tego raz postanowiłam ją za to ukarać. Gdy się zjawiłam ze skargą, ona była w trakcie mycia podłogi w kuchni. Niewiele myśląc zdzieliła mnie brudną szmatą po twarzy. Od tego momentu zaczął się mój problem z okiem — przez cały rok w ogóle nic nie widziałam, po pewnym czasie zaczęła się poprawa, ale pełnej sprawności już nigdy nie uzyskałam.

Podobnie jak przed dziewczyną, również przed jej bratem drżały w kamienicy wszystkie dzieci. Nie tylko, że często uciekał się do bicia, ale przede wszystkim miał słabość do małych dziewczynek, które zwabiał na strych... Wszyscy rodzice przestrzegali przed nim swoje dzieci.

Moja rodzina mieszkała centralnie (mieszkanie nr 27), naprzeciwko schodów. Drzwi były zawsze otwarte. Wszyscy, którzy mieszkali w obu korytarzach na lewo i na prawo, przychodzili do nas. Moja mama była zawsze pierwszą, która musiała obejrzyć *mecyje* (taniochę) kupione na pobliskim targu, zwanym Rybnym. Do mojej mamy przychodziły sąsiadki pożyczać pietruszkę, marchewkę, jajko i parę groszy, których zawsze brakowało. Mama często pożyczala, choć zdarzało się, że pożyczki nigdy nie otrzymywała z powrotem. Nieraz postanawiała więcej nie pożyczać, ale gdy tylko

sąsiadka przychodziła prosić o coś, nie potrafiła odmówić. Do mojej mamy przychodziły też sąsiadki szyć swoją odzież, dlatego nigdy — jak pamiętam — nie miała wolnej chwili. A i znalezienie odpowiedniego modelu było w latach mojego dzieciństwa problemem „światowym”. Po jego znalezieniu następowało długie mierzenie garderoby. W latach, kiedy mieliśmy tremo — (potem zabrano je nam wyrokiem urzędu skarbowego), jakoś to szło i dopiero mierzenie bez lustra stało się ogromnym utrudnieniem.

Zdobycie nowej sukni czy innej części garderoby było wielkim ciężarem dla mieszkańców naszego domu. Musieli składać grosz do grosza ze swoich niedostatecznych dochodów, nierzadko odejmując sobie od ust. Wielką tragedią było więc, jeżeli suknia się nie udała, albo nie znalazła uznania u sąsiadów i znajomych. Zmartwienia mojej matki w takich wypadkach były nie do opisania.

Mama moja pracowała często od świtu do nocy, nigdy nie mając wolnej chwili. Klientki przychodziły o każdej porze, kiedy im, a nie jej, było wygodnie. Musiała je zawsze przyjmować, choć ich przybycie mogło wypaść w czasie jedzenia, spania lub innych niedogodnych okoliczności. Z tego powodu moje rodzeństwo nie miało nigdy miejsca, by spokojnie zjeść, odrobić lekcje lub wyspać się. Wszystko to razem denerwowało ojca. Gdy więc po powrocie z pierwszej wojny światowej zaczął lepiej zarabiać, wpłynął na mamę, by rzuciła pracę. Odtąd rzeczywiście mama miała dla nas więcej czasu, a warunki się poprawiły. Trwało to jednak krótko. Zarobki ojca, z zawodu kamasznika, zaczęły szybko kurczyć się i w końcu przestały wystarczać na utrzymanie rodziny. Matka zaczęła myśleć, by znów wrócić do swojego zawodu krawieckiego. Nie było to już jednak dla niej rzeczą łatwą. Otwartego warsztatu z szyldem i patentem nigdy nie prowadziła, ponieważ podatki zjadłyby zarobki, a podczas przerw w wykonywaniu zawodu straciła stałe klientki. Ponadto przestało jej dopisywać zdrowie.

Praca mojego ojca była zajęciem sezonowym. Jeden

zaczynał się kilka tygodni przed świętem Pesach* i trwał przez tygodnie letnie, drugi rozpoczynał się przed Rosz Haszana** i trwał przez zimę. W latach trzydziestych sezony te były coraz krótsze, aż w końcu prawie się nie zaczynały.

Podczas sezonu ojciec rozpoczynał pracę o czwartej, piątej nad ranem i kończył około jedenastej-dwunastej wieczorem. Harował ciężko, nigdy nie skarżąc się, choć nawet brakowało mu wtedy czasu na posiłki, które mama przynosiła do warsztatu. Zawsze czekały godzinami, aż znalazł chwilę na ich zjedzenie.

Po wojnie ojciec otworzył warsztat przy ulicy Foksal (obecnie 1 Maja), niedaleko dworca kolejowego. Chodziłyśmy tam z matką każdego popołudnia z obiadem dla ojca, czekając na niego aż do zamknięcia warsztatu późnym wieczorem. Nierzadko wracałyśmy bez niego do domu, bo miał jeszcze jakąś robotę do wykończenia.

Z ulicy Foksal przeniósł ojciec warsztat na Ruską 18 i pracował w nim aż do wybuchu drugiej wojny światowej. Do warsztatu było nam odtąd o wiele bliżej. Spędzaliśmy tam wszystkie wieczory, bawiąc się z okolicznymi dziećmi na placu targowym, gdzie zatrzymywały się chłopskie furmanki. Mieszkająca dookoła biedota żydowska kupowała u chłopów tanie warzywa, owoce, nabiał i drób. Mój ojciec od czasu do czasu wychodził z warsztatu, by kupić jakąś kurę. Mamie zawsze opowiadał, chcąc jej sprawić przyjemność, jaką to taniochę udało mu się dostać.

Klientelą mojego ojca byli szewcy. Dla nich szył cholewki z własnej lub powierzonej skóry. Szewcy jednakże rzadko mogli zapłacić ojcu za wykonaną pracę. Musieli czekać, aż klienci wykupią obuwie. Wtedy jednak stawiali przed dylematem: zapłacić kamasznikowi czy też kupić jedzenie dla rodziny.

* Pesach, Wielkanoc.

** Rosz Haszana, Nowy Rok; w kalendarzu żydowskim rok dzielono na 12 lub 13 miesięcy, a te na siedmiodniowe tygodnie.

Najczęściej zwyciężała ta ostatnia myśl. W ten sposób dochody mojego ojca, choć formalnie mogły być dość duże, w praktyce jednak były niewielkie. Wieczorami, najczęściej w piątki po pracy, chodził mój ojciec, by inkasować długi. Nierzadko taka wyprawa kończyła się tym, że widząc panującą nędzę pozostawiał parę złotych na sobotę. Nędza szewców była bowiem straszliwa. Ich warsztaty mieściły się na ogół w jednym pokoju, który służył równocześnie jako mieszkanie dla rodziny. A wyglądał najczęściej tak: przy oknie, leżącym dość często poniżej trotuaru, stał stolik, na nim leżały gwoździe, kawałki skóry i blaszana puszka z klejem. Z boku stolika wisiały młotki. Obok znajdowały się dwa taborety, jeden dla majstra, drugi dla ewentualnego klienta. Podłoga była zwykle zarzucona odpadkami ze skóry. W pozostałej części pokoju stały dwa łóżka, stół i kilka krzeseł. Na specjalnej ramie wisiało trochę garnków. W tej części pokoju spędzały czas dzieci, tu jadły, odrabiały lekcje, bawiły się, tu także gospodyni, jeśli miała z czego, gotowała posiłki dla rodziny.

Warsztat mojego ojca nie stanowił części naszego mieszkania, a w porównaniu z szewskimi był „pałacem”. Jak ten „pałac” wyglądał to już inna sprawa. Był to podłużny pokój, podzielony na dwie części drewnianą ścianką. W pierwszej ojciec pracował wspólnie z czeladnikiem i w niej też przyjmował klientów. Praca jego polegała na przykrawianiu cholewek. Wykonywał to stojąc przy specjalnej desce, często heblowanej, by usunąć ślady po nożu. Pracował tak do późna w nocy. Inne czynności, jak falcowanie, klejenie i zszywanie wykonywał czeladnik, a w późniejszych latach mój brat Uszer, który wyspecjalizował się w szyciu na maszynie. Druga część pokoju spełniała rolę magazynu. Tam znajdowała się skóra i potrzebne dodatki oraz maszyna, tak zwany słup do specjalnych operacji: tam także spożywali posiłki ojciec i pomocnik.

Do cholewek jako podkładki pod podszewkę używało się różnego rodzaju szmat. Kupowało się je w tzw. Kościepalni na Kalinowszczyźnie, która je dezynfekowała. Często chodziłam

tam, towarzysząc czeladnikowi. W „Kościepalni” znajdowały się góry szmat. Wcale niełatwe było znalezienie wśród nich odpowiedniego surowca.

Do klejenia cholewek używało się trzech rodzajów kleju: z mąki kartoflanej, pszennej oraz kauczuku. Pierwsze dwa rodzaje przygotowywaliśmy sami. Należało to do moich obowiązków.

Lublin do roku 1926 nie miał miejskiej elektrowni. Nieliczni abonenci pobierali prąd z małej prywatnej elektrowni usytuowanej przy Lubartowskiej 24, albo z więzienia. Reszta mieszkańców posługiwała się lampami naftowymi. Latem, kiedy dzień był dłuższy, oświetlenie nie sprawiało zbytniego kłopotu, gorzej było zimą. Trzeba było bowiem nosić naftę i stale czyścić szkła od lampy. Po wszystkich zabiegach oświetlenie warsztatu było jednak słabe, a na domiar złego lampa często kopciała i napełniała pokój nieprzyjemnym zapachem. Do ogrzewania warsztatu służył zaś żelazny piecyk, zwany z jakiegoś powodu cyganką, z którym było wiele kłopotu. Nigdy nie dawał dość ciepła, a poza tym trzeba było go chronić przed dość częstymi kontrolami straży ogniowej, która ze względu na bezpieczeństwo zabraniała jego używania.

Kłopoty z niewypłacalnymi szwecami miał, jak pamiętam, nie tylko mój ojciec. Podobnie zresztą jak dla wszystkich rzemieślników udrękę stanowiły podatki. Całymi dniami musiał się więc ojciec wystrzegać urzędników z Urzędu Skarbowego. Niektórzy byli bezlitośni, bo zapisywali wszystko, co znajdowało się w warsztacie. Wspomniana maszyna (do specjalnych operacji) i skromny zapas skóry zabierano w pierwszej kolejności. Po takiej wizycie cała praca była sparaliżowana. Zapisanymi przedmiotami ojcu nie wolno było się posługiwać, ponieważ odtąd prawnie nie należały do niego. Pewnego razu mój ojciec, zdenerwowany nieproszoną wizytą, wyrzucił urzędnika za drzwi. Postępek taki groził dużym wyrokiem sądowym. Kilka tygodni przeżyliśmy w wielkim napięciu i strachu o los ojca. Do procesu jednak na szczęście

nie doszło. W jaki sposób udało się ojcu załagodzić groźną sprawę, nie pamiętam.

Urzednicy skarbowi nie zadowalali się tylko kontrolą warsztatu. Robili także naloty na mieszkania, co nierzadko kończyło się rekwirowaniem dobytku. Zapisywali wtedy wszystko, co znajdowali, zostawiając jedynie stół i łóżka. W ten sposób straciliśmy kredens, z trudem kiedyś kupioną szafę i tremo.

Odsuwając możliwie jak najdalej dzień, w którym traciliśmy nasz dobytek, organizowaliśmy straż. Zadanie to należało do nas — dzieci. To my pilnowaliśmy ukazania się urzędników. Każde polskie słowo na schodach zapowiadało niebezpieczeństwo ich przybycia. W takich wypadkach szybko wbiegaliśmy po schodach do mieszkania i zamykaliśmy drzwi na klucz, by sekwestrator myślał, że nikogo nie ma w domu. „Zabawa w kota i mysz” nie na długo się zdawała, urzędnik wracał po godzinie, w najlepszym wypadku po kilku dniach i spełniał swój obowiązek.

Pewnego razu sekwestratorzy przyszedli po „zajęte” meble, z powodu niezapłacenia przez nas podatku, i wystawili je na licytację. Przez długie tygodnie mogliśmy je oglądać, razem z innymi „złośliwie” zalegającymi z podatkiem, przez okna magazynku Urzędu Skarbowego przy ulicy Zamojskiej 12. Kupowanie mebli wystawionych na licytację przez Urząd Skarbowy ludzie uważali za niemoralne, znajdowali się jednak i tacy, którzy je nabywali, dobrze na nich zarabiając. Do dziś nie mogę wyzbyć się tamtego przykrego uczucia i zdecydować się na kupno czegokolwiek na licytacji. Przypomina mi się zawsze tragiczna walka z Urzędem Skarbowym, który zabierał pokrzywdzonym resztki ich dobytku.

Dzień, w którym zabrano nasze meble, wrył się głęboko w moją pamięć. Wszyscy sąsiedzi przychodzili wyrazić nam współczucie i starali się pocieszyć. Czuliśmy się, jakby ktoś bliski nam umarł. Ocalała odzież, bielizna oraz naczynia z szafy i kredensu leżały na podłodze. Wszystko razem wygląda-

ło jak po trzęsieniu ziemi albo pożarze. Rozrzucone w nieporządku rzeczy czyniły mieszkanie jeszcze ciasniejszym, a my nie mogliśmy znaleźć sobie miejsca w tej ciasnocie. Nasze dwa pokoiki jakby się skurczyły. Tymczasem trzeba było znaleźć jakieś wyjście. W jednym z naszych pokoi znajdowały się dwie framugi. Moi rodzice postanowili wmurować w nie szafę na ubranie i bieliznę. Takie szafy miały dwie zalety, pierwszą: były tańsze, i drugą — Urząd Skarbowy nie mógł ich zabrać. Przez kilka wieczorów pracował więc stolarz, jakiś daleki krewniak i między framugami wprawił kilka półek i dwoje drzwi. Te ostatnie wyglądały jak prawdziwe drzwi od szaf meblowych. Trzeba było tylko pomyśleć o stole dla naszej sześciuosobowej rodziny. Rodzice dostali skądś niewielki stolik, a nasz stolarz poszerzył go i przedłużył kilkoma deskami. Stół wykorzystywaliśmy do jedzenia i do gry w ping-ponga. Miał on tę zaletę, że urzędnikowi nie opłacało się zabierać go za podatki. Służył nam — jak pamiętam — aż do wybuchu wojny, kiedy hitlerowcy zniszczyli nasz dom. Stół staraliśmy się zawsze przykrywać obrusem, by nam nie przypominał strat.

Wspomniałam już, jak wielką pozycją w budżecie rodziny było komorne. W latach trzydziestych moi rodzice nie mogli sobie z tym ciężarem poradzić. Gospodarz wprowadził wtedy w czyn groźbę powtarzaną od lat — eksmisję... i wyrok uzyskał. Eksmisji nie można jednak było przeprowadzić zimą, ani gdy ktoś z członków rodziny był obłożnie chory. Z „pomocą” przyszedł zły stan zdrowia mojej mamy, która często musiała leżeć w łóżku. Kiedy czuła się lepiej, staliśmy na straży, kiedy sygnalizowaliśmy pojawienie się komornika — kładła się natychmiast do łóżka. Tak przetrwaliśmy do wybuchu wojny.

Lokatorów naszego piętra wiązały nie tylko kłopoty, ale również wspólne spędzanie wolnego czasu. Dyskutowano wtedy na różne tematy, grano w loteryjkę lub w karty. Kobiety i dzieci, często zimą, wspólnie darły pierze. Do kina lub teatru chodziło się rzadko, ponieważ niewiele osób mogło sobie na to

pozwolić. Kobiety i dzieci współzawodniczyły ze sobą, kto więcej pierza potrafi zedrzeć. Nikt jednak nie mógł konkurować ze służącą Alterów, Tobcią, i Elką z Izbicy. Ponadto Tobcia, a głównie Elka z Izbicy znały niezliczoną ilość bajek. Podejrzewałam Elkę, że wiele z nich sama wymyślała, ponieważ były bardzo podobne. Tak czy inaczej za te bajki byłyśmy gotowe na wszelkie ofiary. Na początku bajki były różnorodne, ale gdy zabrakło fantazji, motywy zaczęły się powtarzać, traktując najczęściej o bandytach. Bajki wywoływały wielkie zainteresowanie pomieszone ze strachem i napięciem. Podczas opowiadania siedzieliśmy jak zakłęci, nie śmiejąc ruszyć się, ani nawet oddychać. Kiedy przerywała, odczuwaliśmy coś w rodzaju bólu fizycznego.

Czwarte piętro — jak pamiętam — miało dwa ciemne korytarze, na prawo i lewo od schodów. Ostatni kończył się mniejszym korytarzykiem. Wzdłuż każdego z nich znajdowały się mieszkania. W korytarzu na prawo mieszkała rodzina Śpiewaków — Chaim-Jankiel i Malcia.

Tak jak my mieli również tylko dwa pokoje, ale było ich za to dwoje. Mieszkanie miało jednak inną wadę. Jeden z pokoi i kuchnia nie miały okien, wobec tego przez cały dzień trzeba było palić światło. Śpiewakowie byli bezdziejni, przeżywając swój los jako tragedię. Malcia jeździła latem do Nałęczowa leczyć się, lecz kąpiele niewiele jej pomogły. Oboje kochali dzieci, a nie mogąc mieć własnych opiekowali się dziećmi sąsiadów. Ja na przykład czułam się u nich jak w domu. Podobnie inni. Przypominam sobie, że kiedy w latach 1914-1918 ojciec mój był na wojnie, a matka została sama ze mną, utrzymując nas ze swojej krawiecczyny, właśnie Śpiewakowie zawsze okazywali nam wiele życzliwości. Kiedyś podczas wojny zachorowałam bardzo ciężko i potrzebny był lekarz. W mieście panował stan wojenny i nie wolno było wychodzić z domu od wczesnego wieczoru do godzin porannych. Matka

moja była zrozpaczona, nie wiedziała, co począć. Chaim-Jankiel, nie zważając wtedy na groźące konsekwencje za przekroczenie zakazu, wyruszył po lekarza i sprowadził go.

Pewnego razu zdarzył mi się wielki wypadek. Byłam z mamą i kilkorgiem innych dzieci u Śpiewaków, dwoje z nich się pobiło i zaczęło płakać. Skarciłam je mówiąc, że psują robotę swoich ojców. Znaczenia moich słów oczywiście nie rozumiałam, powtórzyłam tylko powiedzonko starszych. Oburzona pani Śpiewak orzekła, że używam nieprzyzwoitych wyrazów. Nie wiedziałam, gdzie się schować ze wstydu. Nauczyłam się jednak wtedy dobrej zasady — nigdy odtąd nie używałam słów, których znaczenia nie rozumiałam.

Brak własnych dzieci nie był jedynym problemem Śpiewaków. Chaim-Jankiel miał trudności w poruszaniu się, od dzieciństwa utykał na jedną nogę. Kiedy w Markuszowie, małym miasteczku obok Lublina, złamał nogę, rodziców nie stać było na podróż do lekarza, w samym zaś miasteczku żadnego nie było. Noga zrosła się więc źle w kolanie i odtąd przy każdym kroku musiał zginać się we dwoje. Drugą dolegliwością była pogłębiająca się choroba oczu, grożąca ślepotą. Chaim-Jankiel krótkowzrocznym był od urodzenia, ale używając okularów widział nieźle. Ślepotą zupełną byłaby dla niego katastrofą. Na szczęście do tej tragedii nie doszło. Doktor Zajdman zalecił mu leżenie przez kilka tygodni w łóżku, zabraniając w tym czasie czytania. Sąsiedzi starali się mu pomóc głośnym czytaniem gazet, razem z nim przeżywając jego chorobę. Skończyło się na tym, że nawet przez okulary widział słabo. Od niego pożyczałam zawsze „Folkscajtung”, którą stale prenumerował jako członek „Bundu”*.

U nas w domu tylko okresami pojawiał się „Lubliner Tugblat”, bo na stały abonament nie było nas stać.

* Bund (niem.), Żydowska Socjalistyczna Partia założona w 1897 r. w Wilnie jako Ogólny Żydowski Związek Robotniczy w Polsce i Rosji; od 1915 r. samodzielna partia w Polsce.

Kiedy stała się modna fryzura z lokami, Chaim-Jankiel zaopatrywał mnie w sznurki, na które mogłam nawijać włosy. On też był pierwszym, który zauważył, że stałam się „całą” panną. Po likwidacji gimnazjum Szerowej zaktualizowało się moje przeniesienie do Gimnazjum Humanistycznego. I wtedy Chaim-Jankiel poprzez swojego brata, Fiszla, członka zarządu szkoły, pomógł mi uzyskać ulgę w opłacie czesnego. Tylko dzięki tej pomocy mogłam kontynuować naukę. Dalszą pokaźną pomoc od Śpiewaków otrzymałam ostatniego lata przed wybuchem drugiej wojny światowej, gdy za ich pośrednictwem zdobyłam pracę na półkolonii.

Półkolonie letnie dla biednych dzieci w Lublinie organizowało Towarzystwo Ochrony Zdrowia (TOZ) wykorzystując na nie łąki Kalinowszczyzny. W najcięższych warunkach, pod gołym niebem pracowali tam nauczyciele szkoły żydowskiej (Ciszo). Z pracy wakacyjnej nie mogli zrezygnować, ponieważ pensje mieli bardzo niskie, poza tym nigdy nie otrzymywali ich w ustalonym terminie, a nierzadko nawet w postaci weksli płaćników gminy żydowskiej, dość często nie wykupywanych przez dłużników.

W mojej sytuacji, kiedy innych możliwości zarobkowania nie mogłam oczekiwać, praca na kolonii była wielką pomocą. Chaim-Jankiel był spowinowacony z doktorem Herszenhornem, „duszą” półkolonii. W ogóle doktor Herszenhorn był człowiekiem, który całe swoje życie poświęcił organizowaniu pomocy dla żydowskiej biedoty, zaniedbując swoją prywatną praktykę lekarską. Cały swój czas poświęcał pracy społecznej, szczególnie TOZ i półkolonii, gdzie latem przez trzy tygodnie najbiedniejsze dzieci mogły zjeść do syta. Śpiewakom udało się nakłonić doktora Herszenhorna, by mnie zatrudnił jako wychowawczynię grupy. Pracując trzy tygodnie na tej kolonii zarobiłam 75 złotych. Z tą sumą opuściłam w 1939 roku Lublin mojego dzieciństwa i młodości.

Przed kryzysem gospodarczym lat trzydziestych Śpiewak pracował w hurtowni śledzi swojego brata Mojsze-Josela,

mieszczącej się w podwórzu przy Lubartowskiej 13. W okresie prosperowania handlu potrzebny był bowiem pomocnik przy odbiorze i dostawie towaru groszowym sklepikom żydowskim. W okresie kryzysu Chaim-Jankiel stracił pracę. Wykonywał wtedy inne dość rozpowszechnione wśród Żydów zajęcie, a mianowicie sędziego polubownego, czyli rozjemcy (*dajan*). Podczas jakiegoś sporu każda strona wybierała sobie zaufanego człowieka, który miał doprowadzić do porozumienia się stron. W momencie, gdy nie osiągnano zgody, zwracano się do „dajana”, nieoficjalnego sędziego polubownego. Takim sędzią był właśnie Chaim-Jankiel. Uważano go za mądrego i doświadczonego człowieka, znającego przy tym naukę żydowską. Jego dobry humor i dowcip pomagały w rozwiązywaniu najbardziej ostrych konfliktów. Był okres, kiedy Chaim-Jankiel dobrze zarabiał i Malcia mogła jeździć latem na kurację do Nałęczowa. W czasie pogłębiającego się kryzysu osłabł handel i zanikła potrzeba powoływania sędziego polubownego. Dla rodziny tej nastały ciężkie dni. W czasie wybuchu wojny w 1939 roku byli bez środków do życia.

W tym samym korytarzu, na prawo od schodów, mieszkała matka z kilkorgiem dzieci, które miały już własne rodziny. Staruszka umarła, kiedy byłam jeszcze dzieckiem; jej córki z dziećmi zajmowały dwa pokoje z kuchnią. W pokoju bez okna mieszkała Brucha z mężem i jedną córką. O jej mężu mówiono, że był trochę głupkowaty i często się z niego nabijano. Ona miała spory garb, była chorowita. Taką parę mógł tylko skojarzyć swat. Z ich oczkiem w głowie — córką — przyjaźniłam się. Niedługo cieszyła się Brucha swoją jedynaczką — zachorowała ona na szkarlatynę, nieuleczalną w owym czasie chorobę, i umarła jak wiele innych dzieci. Po śmierci Chajele Brucha była niepokieszona. Na domiar złego spotkało ją drugie nieszczęście, zmarł Dawid, jej mąż. Brucha została sama i sama zmuszona była prowadzić swój groszowy sklepik, mieszczący się w naszym domu po prawej stronie od bramy wejściowej.

Sklepik był niewygodny, bo mały, długi i wąski. Kupić można w nim jednak było wszelkie artykuły spożywcze. Klienci rekrutowali się przeważnie z mieszkańców domu. Kupowali według starej wagi, tj. na funty (1/4 kaszy, lut suszonych grzybów, 1/2 albo 1/4 masła, kawałek mydła). Żaden z klientów nie mógł pozwolić sobie na kupno towarów na kilka dni. Najczęściej kupowali na kredyt. Na gwoździu nad ladą wisiały kartki papieru z kontami poszczególnych kupujących. Po śmierci Dawida Brucha musiała sama zaopatrywać sklep, sama sprzedawać i prowadzić rachunki. Wszystko razem było ciężarem ponad jej wątłe siły. Sklep zaczął się więc kurczyć, a dochody zmniejszać, tym bardziej, że przybył jeszcze konkurent — sklep Alterów, w tym samym domu, po drugiej stronie wejścia do bramy.

Druga siostra — Hudeśł była wdową czy też porzuconą żoną, dokładnie nie pamiętam. Jej mąż wyemigrował do Ameryki i ślad po nim zaginął. Hudeśł nigdy się o jego losie nie dowiedziała. Sama musiała troszczyć się o utrzymanie siebie i trzech synów — Eliezera, Azriela, Chaimła. Założyła sklepik spożywczy na Lubartowskiej 31. W późniejszych latach wynajmowała stoisko na Targu Rybnym, sprzedając artykuły spożywcze. Każdego dnia rano wносиła swój towar, a wieczorem, za pewną opłatą, zanosila go do pobliskiego sklepu na noc. Była to ciężka praca dla tej niewysokiego wzrostu, o słabej kondycji kobiety. W czasie pierwszej wojny miała koncesję wydawania na kartki produktów spożywczych kobietom, których mężowie służyli w armii carskiej. Moja mama też miała taką *zapasną książkę*.

Przygotowanie kartek do rozrachunku należało do nas, dzieci z czwartego piętra. Każdego wieczora zbieraliśmy się przy dużym stole w pokoju z oknem. Jedno dziecko stało, drugie siedziało. Kleiłyśmy kartki na specjalnych kartonach, składając je razem według określonych ilości. Dla nas była to zabawa i znak, że jesteśmy osobami spełniającymi ważną i pożyteczną funkcję.

Wieczorami wykonywałyśmy jeszcze inną ważną pracę. Pomagałyśmy przy klejeniu torebek na produkty. Zrozumiałe, że Hudeś mogła kupować gotowe, ale były o wiele droższe, dlatego powierzała nam to klejenie.

Praca szła całkiem szybko, bo wprowadziłyśmy podział funkcji. Jedni rozsmarowywali klej zrobiony z mąki, inni sklejali torebki. Z ciekawości, kto z nas jest szybszy i sprawniejszy, często liczyliśmy, ile kto zdążył zrobić.

Kiedy Hudeś zlikwidowała sklepik i kupiła stoisko na targu, pomagałyśmy jej przy wynoszeniu i wnoszeniu towaru ze i do sklepu.

Hudeś miała trzech synów, z którymi się przyjaźniłam. Z najmłodszym Chaimem byłam nierozłączna. Z nim często się bawiłam, on robił dla mnie różne zabawki i wymyślał różne gry. Jedna z zabawek, rama na naczynia według ówczesnego modelu, była bardzo udana, bo znajdowały się w niej też szuflady na przyprawy. Chaim był bardzo zdolnym chłopakiem, ale niestety — skrofuły* na rękach i szyi sprawiały mu cierpienia nie tyle fizyczne, ile moralne. Nigdy nie gojące się rany i obandażowane dłonie powodowały, że dzieci nie chciały się z nim bawić.

W latach późniejszych Chaim nauczył się krawiectwa, ożenił się z siostrą mojej koleżanki ze szkoły, a skrofuły, na które nie było wtedy lekarstwa, zagoiły się, pozostawiając jednak szramy jakby po oparzeniu.

Chaim potrafił także przysparzać mi kłopotów i zmartwień. Lubił mnie na przykład straszyć. W czasie pierwszej wojny światowej Austriacy, po zajęciu Lublina, zaczęli rekwirować wśród ludności cywilnej różne przedmioty z miedzi, miedzianki, kłamki przy drzwiach. Z tego skorzystał Chaim i wmówił mi, że mojemu dziadkowi zabiorą jego jedyny złoty

* Skrofuły, ropne, długo nie gojące się przetoki, objaw gruźlicy węzłów chłonnych szyi; spotykane są zwykle u dzieci przebywających w złych warunkach higienicznych.

zab, a z naszych drzwi zdejmą „złote” klamki. Niewiele myśląc pobiegłam, by ratować mojego ukochanego dziadka. Ponieważ mojej mamy nie było w domu i nie zostawiła mi klucza od mieszkania, pobiegłam bez wierzchniej odzieży i w domowych pantofelkach. Drogę do mojego dziadka, na Szeroką 52, znałam dobrze, ale wysokiego rynsztoku na Ruskiej, przed Bet-Hamidraszem (domem modlitwy rzeźników) nie byłam w stanie przekroczyć. Długo stałam bezradna z moimi dwoma sztywnymi odstającymi warkoczykami, aż jakiś, w moim ówczesnym pojęciu, bardzo elegancki mężczyzna pomógł mi. Na wpol żywa dotarłam do mieszkania dziadków. Dziadek natychmiast zaczął mi rozcierać zeszywniałe ręce, usiłując uspokoić. Mama natomiast, przerażona ewentualnymi konsekwencjami mojej wyprawy, była gotowa poczęstować mnie kilkoma solidnymi klapsami. Uratował mnie jak zwykle dziadek, a Chaimł prawdopodobnie dostał w skórę za swój niefortunny żart.

Drugi syn, Azriel, był jako dziecko bardzo wesoły i pogodny, i umiał naśladować głosy ludzi, zwierząt i ptaków. Sam nadał sobie przydomek Byf. Dzieci szukały jego towarzystwa — było z nim zawsze wesoło i przyjemnie.

Po śmierci Hudesł, Azriel nagle się zmienił. Po wesołym i pełnym życia chłopcu nie zostało nawet śladu, zupełnie zatracił swoją żywotność, chodził smutny, nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Nic go nie cieszyło, nawet to, że w odróżnieniu od innych rówieśników potrafił się usamodzielnic i zarabiać nie najgorzej jako fryzjer. Azriel wmówił sobie także, że zachorował na gruźlicę, a w późniejszym okresie na jakąś weneryczną chorobę. Chodził od jednego lekarza do drugiego i mimo że badania wykazywały, że jest zdrowy, był przekonany co do swoich chorób. W końcu usiłował popełnić samobójstwo. Próby dokonał w czasie, gdy mieszkał razem ze swoją ciotką, Bruchą, w maleńkim pokoiku na pierwszym piętrze.

Pewnego poranka, kiedy schodziłam z czwartego piętra, natknęłam się na Azriela wychodzącego z ciemnego korytarza.

Oznajmił mi, że wypił jakąś truciznę. W pierwszej chwili nie uwierzyłam, ale gdy się mu przyjrzałam, zauważyłam, że dzieje się z nim coś nienormalnego. Zaczął zataczać się i piana wystąpiła mu na ustach. Przerazona usiłowałam wydobyć z niego, czym się otruł, ażeby lekarze wiedzieli, jak go ratować. Odpowiedzi już nie otrzymałam: Azriel upadł straciwszy przytomność. Zrozpaczona pobiegłam do sklepiku, do jego ciotki. Natychmiast poszła do niego, podczas gdy ja zadzwoniłam po pogotowie. Zabrali go od razu do szpitala Bożego Jana na Bonifraterską. Tam dokonali płukania żołądka i zatrzymali na kilka dni. Od tego czasu Azriel cierpiał na żołądek — wypity kwas solny wypalił mu rany. Po wyjściu ze szpitala wyjechał do Warszawy. Kilka razy spotkałam go tam; zginął razem z wieloma innymi Żydami warszawskimi podczas drugiej wojny.

Najstarszy z braci, Eliezer, bardzo wcześnie zaczął zarabiać jako subiekt i buchalter w sklepie, gdzieś na ulicy Grodzkiej. Pamiętam jego rozpaczliwe wysiłki, by otrzymać zwolnienie z wojska. Trzykrotnie w ciągu trzech lat stawał przed komisją wojskową i otrzymywał odroczenia z powodu niedowagi. Za trzecim razem został zwolniony z wojska. Kilka tygodni przed każdą komisją Eliezer, jak inni młodzi ludzie, usiłował stracić na wadze, głodując całymi dniami i spacerując całymi nocami. Pił poza tym sporo oleju rycynowego, by dostać rozwolnienia. Wszyscy sąsiedzi mu współczuli, ale służby wojskowej udało mu się uniknąć. Kiedy był pewien, że do wojska go nie wezmą, zaczął myśleć o ożeńku. Zwolniony z wojska szybko znalazł narzeczoną. Po ślubie mieszkali na ulicy Grodzkiej.

Zapamiętałam jeszcze inne wydarzenie z nim związane. Było to w roku 1920. Banda chuliganów napadła na Żydów mieszkających przy ulicach Kowalskiej i Lubartowskiej. Niektórzy bardziej tchórzliwi mężczyźni schronili się na strychu, Eliezer był jednym z nich. Sądzili, że napastnicy oszczędzą kobiety i dzieci. Kilku tragarzy pod przewodnictwem znanego w Lublinie właściciela platformy, zwanego

Hojze Bu, wielkiej krzepy człowieka, i drugiego znanego siłacza, Mojsze-Josła Śpiewaka, zorganizowało samoobronę i zanim napastnicy zdążyli dokonać swoich niecznych czynów, przepędzili ich z ulic i udaremniili wszelkie ich próby. Podczas tego wydarzenia moja mama stała przy oknie, ukryta za firanką, by jej nie spostrzegli napastnicy i nie obrzucili kamieniami. Mama drżała o los swoich dwojga dzieci, z których jedno leżało jeszcze w kołysce.

To samo mieszkanie dzieliły jeszcze dwie siostry, które do późnego wieku pozostały pannami. Genendł, starsza z nich, pierwsza znalazła narzeczonego, zaręczyła się i wyszła za mąż. Poznali się, gdy on wynajął mieszkanie u sąsiadów. Jego zarobki nie wystarczały jednak na utrzymanie szybko rosnącej rodziny. Genendł otworzyła więc, zgodnie z tradycją rodzinną, sklep spożywczy, przyjąwszy go od swojej siostry, Hudeś. Frontowy, małeńki pokoik z wejściem od ulicy służył jako sklep, w drugim, na zapleczu, gnieździła się w straszliwej ciasnocie cała rodzina. Lekko nie mieli, ciasnota, niedostatek i wreszcie najważniejsze — groźba zamknięcia sklepu przez komisję sanitarną — utrudniały życie.

Najmłodsza z sióstr, choć w późnym wieku, również wyszła za mąż. Mąż jej był właścicielem składu (według ówczesnego określenia) węgla i drzewa. Kupowało się u niego najwyżej jeden-dwa pudy (16 kg) węgla i kilka funtów (ok. 400 g) drzewa. Na większe zakupy jego klientów nie było stać; każdy z nich musiał oszczędzać, choć często z braku opału marzył razem z rodziną w mieszkaniu. Zakupione węgiel i drzewo odnosili do domów różni tragarze, rekrutujący się z najbiedniejszych ludzi. Ich zarobki były minimalne i przypadkowe.

Jak już wspomniałam, moja rodzina mieszkała naprzeciwko schodów. Dwa pokoiki z kuchnią nie miały więcej niż 25-30 metrów kwadratowych powierzchni. Gdy byłam jedynym dzieckiem, pokoiki te wystarczały. Gdy jednak rodzina powiększyła się do sześciu osób (razem z rodzicami), ciasnota stała się dokuczliwa, dosłownie nie było gdzie się ruszać.

Szczególny kłopot sprawiało spanie. Nie było mowy o ustawieniu łóżek dla każdego z osobna. Na noc ustawialiśmy więc dodatkowo polowe łóżka, które były bardzo niewygodne. W dwóch małżeńskich łóżkach rodziców musiały spać najmłodsze dzieci. Mnie z jednym z braci przez długie lata służyło łóżko dzieciinne, w którym ciągle brakowało miejsca dla naszych nóg. W ostatnich latach przed wojną znalazłam stałe miejsce na łóżku polowym, mój brat zaś w kuchni na drewnianej ławie, która w lepszych czasach była miejscem spania służącej. Ciasnota była nie do zniesienia, wszędzie stały różne konieczne w codziennym życiu rzeczy. Zmuszeni więc byliśmy wykorzystywać też przestrzeń pod łóżkami (z metalowymi gałkami, modne w czasie, kiedy moi rodzice pobierali się), tym bardziej, że zajmowały one prawie cały pokój.

Drugim miejscem „przechowywania” koniecznych w gospodarstwie przedmiotów była podłoga pod szafą. Na szafie i na naszym wysokim kaflowym piecu przechowywaliśmy naczynia specjalne, przeznaczone na święto Pesach, a w święto naczynia używane na co dzień.

Sprzątanie w naszym ciasnym mieszkaniu zajmowało bardzo dużo czasu i wyczerpywało siły. Każdy z przedmiotów trzeba było przecież wyjąć i odkurzyć lub umyć. Cały ciężar sprzątania spoczywał przez długie lata na mojej mamie. Gdy podrosłam, przejąłem tę funkcję jako najstarsza z rodzeństwa. Zapału do sprzątania dodawało mi współzawodnictwo z Glikl Rapaport, córką sąsiadów z korytarza na lewo od schodów. Glikl poświęcała wszystkie swoje siły, by utrzymać w czystości ich mieszkanie, tej samej zresztą wielkości co nasze. Nie chciałam pozostać za nią w tyle. Po skończeniu pracy pokazywałyśmy sobie rezultaty, a sąsiedzi oceniali, która z nas osiągnęła lepszy połysk podłogi. A wymagały one wiele trudu: trzeba je było myć, malować czerwoną farbą i smarować pastą. Po tych zabiegach dopiero można było je czyścić szczotką i filcami do połysku. Dawniej, jak pamiętam, zadowalano się tylko myciem, było jednak trudno doprowadzić podłogę do naturalnego koloru drewna.

Mojego ojca poznałam, gdy miałam prawie pięć lat. Urodziłam się w 1913 roku, a w 1914, po wybuchu wojny, zmobilizowano ojca do carskiej armii. Przez cały czas, aż do powrotu w 1918 roku, nic o nim nie słyszeliśmy. On sam powiedział nam dopiero, że dostał się do niewoli. Znałam go więc tylko z dużego portretu wiszącego nad jego łóżkiem. Miał na nim czarne wąsy z zakręconymi końcami do góry i czarne kędzierzawe włosy. Po powrocie miał wąsy opadające w dół, a po gęstej czuprynie pozostało niewiele. Nie chciałam się do niego przyznać. Razem z nim wrócił również ojciec Heńci, która wraz ze swoją matką, a koleżanką mojej mamy mieszkała wtedy u nas. Cztery długie lata przebywał ojciec na froncie. Wrócił niespodziewanie nocą i zapukał do drzwi. Jak opowiadała mi mama, obie były przerażone tym nocnym pukaniem i bały się otworzyć. Podejrzały, że dobija się jakiś dezerterski z rosyjskiej armii, wcale nierzadki wypadek w owym czasie. Matka moja, w odpowiedzi na pytanie — kto się dobija do drzwi, usłyszała nie znany sobie głos mężczyzny: „Nu, otwórz”. Nikt przecież nie wiedział, że podczas tych wojennych czterech lat głos mojego ojca zupełnie się zmienił w wyniku ciężkiej choroby gardła, jaką przebył. Uratowało go długotrwałe leczenie w wiedeńskim szpitalu.

Po otwarciu drzwi mamie przedstawił się okropny widok. Ojciec był zmieniony nie do poznania: wychudzony, zarośnięty, w marynarce z jednym rękawem dłuższym, drugim krótszym, w pantoflu na jednej nodze, w kaloszu na drugiej. Wszystko to razem i on sam brudny, nie widzące chyba wody i mydła od tygodni. O całym dramatycznym wydarzeniu nocy dowiedziałam się dopiero nad ranem. Noc przespałam spokojnie.

Cztery wojenne lata nie były jedynymi, w których mój ojciec służył w carskiej armii. Przedtem jeszcze odsłużył normalną w jego czasach służbę wojskową, trwającą cztery lata i odbył sześciotygodniowe specjalne ćwiczenia. Jak mawiano — mój ojciec nie z jednego pieca chleb jadł. Za to widział kawał

świata: Austrię, Węgry. Odwiedził także swojego brata w Charbinie w Mandżurii, gdzie chciał nawet się osiedlić, ale w końcu wrócił do Lublina, do mojej mamy.

Ciężkie lata wojny i niewoli zmieniły jego charakter i zniszczyły zdrowie. Stał się trochę zamknięty w sobie i powściągliwy w okazywaniu myśli i uczuć. Fizycznie nigdy już nie wrócił do dawnego stanu, pozostał blady, chudy, z zapadniętymi policzkami.

Zaraz po powrocie wrócił do swojego zawodu, chociaż mama nieźle zarabiała jako krawcowa, starając się od razu wziąć na siebie obowiązek utrzymywania rodziny. Chciał widocznie zrekompensować mamie ciężkie chwile wojenne, gdy musiała zarabiać na utrzymanie i z trudem zdobywać potrzebne do przeżycia produkty, kiedy zdobycie kawałka białego chleba lub cukru należało do szczęściarzy.

Z tego okresu utkwił mi w pamięci charakterystyczny fakt: piłyśmy z mamą herbatę, zagryzając kawałkiem cukru. Mój kawałeczek szybko zjadłam, mama zaś część swojego zachowała do następnej szklanki herbaty. Wykorzystałam moment, gdy poszła do sąsiadki po gorącą wodę, i zjadłam pozostawiony przez nią kawałeczek cukru. Ze strachu i wstydu schowałam się za drzwiami w sypialni. Mama nie robiła mi żadnych wyrzutów, ale ja sama nie mogłam sobie przez długie lata wybaczyć tamtej słabości.

Pierwszy warsztat po wojnie otworzył mój ojciec przy ulicy Foksal. Wybrał ją dlatego, że już przed wojną miał tam swój warsztat i liczył na dawną klientelę. Wśród kamaszników uważany był za dobrego fachowca. Nie przeszkadzało mu, że podczas tych czterech wojennych lat zdobyli uznanie Mojsze Fiszader z Lubartowskiej 31 i Mojsze Smolar. W krótkim też czasie zajął miejsce między Fiszaderem i Smolarem.

W 1919 roku rodzina powiększyła się, urodził się mój brat, Uszer — pierwszy syn. Ojciec był szczęśliwy. Kupował mu słodycze i najlepsze owoce i w ogóle wyróżniał go. Zrozumiałe, że to postępowanie ojca budziło moją zazdrość i... postanowiłam wyrzucić brata przez okno.

W sobotę ran, kiedy wszyscy leżeliśmy w łóżku, rodzice pozwolili mi spełnić moje postanowienie. Uszer miał już wtedy trzy miesiące, ja niespełna sześć lat. Rodzice w napięciu obserwowali moje zachowanie. Podeszłam do kołyski, spojrzałam na niego i zostawiłam na tym samym miejscu. Był tak ładny, że mi się zrobiło szkoda wyrzucać go przez okno. Od tego czasu pogodziłam się z obecnością mojego brata, choć nadal czułam żal do ojca, że wyróżniał Uszera. Często go przewijałam, prałam jego pieluszki. Sąsiadki chwaliły mnie nawet za opiekę nad bratem.

Mamę moją, gdy była młoda, zwano rudą Gitlą. Miała rude włosy uważane w owym czasie za wielką wadę. Mamie jednak w niczym one nie przeszkadzały. Była jedynaczką. Wcześniej nauczyła się zawodu, a w ogóle była jedną z ładniejszych dziewcząt, cieszącą się powodzeniem u chłopców. W dość młodym wieku zaręczyła się z kamasznikiem Mojsze, który poza nią świata nie widział i nie żądał nawet obowiązkowego w owym czasie posagu. Ona jednak narzeczonym się nie interesowała, podobał się jej mój ojciec. Prawdopodobnie na zaręczyny z Mojsze zgodziła się pod naciskiem rodziców, którzy wykorzystali sytuację, kiedy mój ojciec był w wojsku. Bali się, że tam znajdzie sobie inną. Matka zaś opóźniała wciąż ślub, aż ojciec wrócił. Zerwała wtedy zaręczyny i wyszła za niego za mąż. Po ślubie ojciec wyjechał na rok do swojego brata do Charbina, chcąc tam osiedlić się, ale ze względu na mamę, która na wyjazd się nie zgodziła, wrócił.

Mojsze nie dawał za wygraną. Podczas służby ojca w wojsku carskim, w czasie wojny i jego pobytu w Charbinie, przychodził do nas często, przynosząc zawsze trochę słodyczy dla mnie i obie zapraszał do kinematografii (jak nazywano

wtedy kino). Nadal gotów był ożenić się z moją mamą i wziąć na siebie obowiązek utrzymywania i mnie. Postępowanie Mojsze, był kawalerem, i chęć ożenienia się z kobietą z dzieckiem były odosobnionym wydarzeniem w owych czasach. Dla niego moja mama była jednak jedyną interesującą go kobietą. Żadna dziewczyna nie miała dla niego uroku. Nie ożenił się też przez długie lata. W końcu, kiedy mój ojciec dawno był w domu, a ja wyrosłam na sporą dziewczynę, znalazł sobie pannę o tym samym, co moja mama imieniu. Chciał choć w ten sposób zrekompensować sobie stratę.

A tymczasem nasza rodzina znowu powiększyła się. W 1923 roku urodziła się moja siostra Chaja-Gołda, nazywana Helą, w 1925 roku przybył drugi brat Szlomka. W mieszkaniu zrobiło się weselej, choć jeszcze ciasniej, a i ciężar utrzymania domu stał się teraz dla rodziców większy.

Naszym marzeniem było wynajęcie większego mieszkania, o trzech pokojach z kuchnią. Moi rodzice kilka razy oglądali takie mieszkania, nigdy jednak nie mogli urzeczywistnić swojego marzenia. Komorne i odstępne zawsze były za wysokie na ich możliwości. Mieszkała więc moja rodzina ciągle w tych dwóch pokojach z kuchnią, aż Niemcy wysiedlili nas stamtąd razem z innymi sąsiadami.

Pierwsze mieszkanie — pokój z kuchnią w długim korytarzu na lewo od schodów — zajmowało małżeństwo Alterów z dwojgiem dzieci: Nechele i Awromele — oczko w głowie rodziców. Alterowie Rywkały i Mordcha wprowadzili się później niż inni lokatorzy z czwartego piętra; byli trochę młodszy. Pojawienie się ich wiele zmieniło w domu. Równocześnie z mieszkaniem wynajęli sklep na prawo od bramy. Sprzedawali artykuły spożywcze. Ich sklep był drugim w tym samym domu. O Alterach mówiono, że „położyli” Bruchę. Ona — samotna kobieta, nie mogła z Alterami konkurować. Tych dwoje bardzo energicznych ludzi w krótkim więc czasie

przejęło prawie całą jej klientelę. Mordcha jeździł do okolicznych wiosek i skupował produkty żywnościowe, w szczególności masło i sery. Pierwszy z tych artykułów dawał im bardzo dobre zarobki. Masło zakupione przerabiali bowiem w domu, przygotowując rzekomo różne gatunki. Do późna w nocy słyhać było u nas przez ścianę, jak przygotowywali to masło. Poza tym Rywkały była specjalistką w sprzedawaniu swoich „różnych” gatunków masła. Zawsze spokojna i zrównoważona pokazywała klientom zgromadzony towar przekonywując swoim grzecznym prośbą (*gitigs*) o jego najlepszej jakości; tylko co u chłopą zrobione — mówiła. W wypadku skargi klienta, że masło jest gorzkie, spokojnym głosem pytała: — naprawdę? — nie smakuje? i od razu zaczynała przynosić inne kawałki, aż znalazł się taki, który zadowolił skarżącego się.

Zdolności Mordchego do robienia zakupów w połączeniu z „talentami” Rywkały jako sprzedawczyni dawały dobre rezultaty. Mówiono o nich, że dorobili się sporego mająteczku. Mieli jednak i kłopoty. Nechely, ich córka, jako dziecko potrafiła, jak się zdawało, krzyczeć bez przyczyny godzinami. Rzuciła się często na podłogę lub wprost na ulicę i krzyczała. Ojciec w takich wypadkach bił ją, ale to nie pomagało. Dzieci sąsiadów bały się jej. Możliwe, że Nechely w ten sposób wyrażała swój protest przeciwko rodzicom, którzy zajęci handlem poświęcali jej zbyt mało czasu.

Awromele był przeciwieństwem Nechely i wielką pociechą rodziców. Był spokojnym, normalnie rozwijającym się dzieckiem. Kiedy zachorował na straszną w tym czasie szkarlatynę, na którą nie znano leków, rodzice byli zrozpaczeni. Wszystko skończyło się jednakże szczęśliwie, chłopak wyzdrowiał.

Dom prowadziła matka Rywkały, którą sąsiedzi nazywali Czarownicą. Przewisko prawdopodobnie dał jej zięć, dla którego nigdy nie miała łaskawego słowa i była przysłowiową teściową. Potrafiła „zamawiać” skutki „złego oka”, czyli „uroku”, wymierzyć dziecko, czy nie jest „złamane”, lać wosk, który miał wykazywać sprawcę urzeczenia.

Pewnego dnia nagle zachorował Mordcha. On, który nigdy nie miał żadnych dolegliwości, był pełen energii życiowej, dostał jakiegoś ataku i zmarł. Rywkały w pierwszej chwili zupełnie się załamała, zdawało się, że się z tego uderzenia losu nie podniesie. Wszyscy myśleli, że razem ze śmiercią Mordchy nastąpi też koniec ich sklepu, źródła utrzymania. Rywkały szybko jednak wzięła się w karby. Sklep prowadziła teraz wspólnie z dziećmi, które pomagały jej w zakupach i sprzedaży. Szczególne zdolności wykazała Nechele. Przejęła po matce jej sposób obchodzenia się z klientelą, potrafiła też za przykładem ojca wybrać dobry towar.

Walka z policją, komisją cen i komisją sanitarną

Sklepiki Bruchy i Alterów, jak wszystkie inne na tej i innych ulicach Lublina, musiały toczyć zaciętą walkę o swą egzystencję. Specjalną czystością nie grzeszyły. Ciasnota i brak czasu nie sprzyjały higienie. Tam, gdzie sklepik obsługiwało kilka osób z rodziny, jak u Alterów, sytuacja była lepsza, ale samotna Brucha nie miała żadnych możliwości dbania o czystość. Dla niej każda wizyta komisji sanitarnej kończyła się protokołem i karą, dlatego traktowała taką inspekcję jak jakąś zarazę lub dopust Boży. Po wizycie nastrój był podobny do nastroju sądowego dnia — czekano na wyrok. Zdarzały się komisje które litowały się nad losem biednej kobiety i patrzyły przez palce na wszystkie braki, inne jednak były bezwzględne.

Podobnie traktowano wizyty komisji cennikowej, która wymagała podawania ceny na każdym artykule. Dla właścicieli sklepików przestrzeganie tego przepisu było ogromnym obciążeniem. Wymagało bowiem czasu i znajomości języka polskiego. Tymczasem większość handlujących nie dysponowała żadnym z nich.

Trzecią zmorą był zakaz handlu w niedzielę oraz w go-

dzinach rannych i wieczornych, tzn. w godzinach niedozwolonych. Sklepiki żydowskie były zamknięte w soboty. Jedni czynili to z powodów religijnych, innych zmuszało towarzystwo Szomrej Szabas*, surowo karzące tych, którzy odważyli się na nieprzestrzeganie soboty. Popularną karą było ogłoszenie chajrem. Podobnie w niedzielę władze powiatowe nie pozwalały otwierać sklepów. Policjant, którego nazywano popularnie przodownikiem, miał za zadanie pilnować, by sklepiki stosowały się do zakazu. Właściciele nie mogli sobie pozwolić na luksus zamykania sklepików na dwa dni w tygodniu i w wymienionych porach każdego dnia, ponieważ właśnie w tym czasie przychodzili klienci, którzy wcześniej nie zdołali zgromadzić kilku groszy potrzebnych do zakupów.

„Zabawa” w kotka i myszkę między policjantami i sklepiarkami mogłaby być śmieszną, gdyby nie tragiczne jej konsekwencje dla ostatnich. A wyglądało to wszystko tak: policjant stawał przed jakimś sklepikiem albo wybierał sobie określoną przestrzeń między kramami i spacerował po niej tam i z powrotem, obserwując swoje ofiary. Właściciele sklepików starali się wykorzystywać chwilę, gdy policjant oddalał się od nich. Wtedy szybko zdejmowali sztabę z drzwi, otwierali sklep, wpuszczali klientów i z powrotem zamykali drzwi. Nierzadko zdarzało się, że policjant nagle się odwracał i łapał „przestępców” na gorącym uczynku. Niezwykłą szybkość działania musiano więc wykazać i przy wypuszczaniu klientów. Czasami jednak kupujący musieli godzinami czekać wewnątrz w ciasnocie i duszności, bo policjant ani na chwilę nie opuszczał swojego punktu obserwacyjnego. W lepszej sytuacji byli ci, którzy posiadali dwa wejścia, z tych jedno od podwórza. Takich „szczęśliwców” było jednakże niewiele. Protokół policjanta powodował zawsze dotkliwą stratę. Po zapłaceniu

* Szomrej Szabas, Towarzystwo Ochrony Sabotu; szabas, szabat (hebr. *szabba*ṭ), świąteczny dzień odpoczynku obchodzony przez żydów w sobotę, trwający od piątku wieczorem do zachodu słońca w sobotę.

kary mogła powstać też sytuacja, że właściciel tracił możliwość zakupu nowego towaru, nie mógł zapłacić komornego, albo nawet nie miał z czego przeżyć z rodziną. Komisje i policjanci byli więc prawdziwą zimą dla handlarzy prowadzących małe sklepiki.

W późniejszym czasie Alterowie przenieśli się na pierwsze piętro, zajęli większe metrażowo mieszkanie po rodzinie Kafermanów, po samobójczej śmierci Kafermana. Do pierwszego mieszkania Alterów wprowadziło się zaś małżeństwo z synem. Ich źródłem utrzymania był handel owocami. Z nimi nie zdążyliśmy się już zaprzyjaźnić.

Naprzeciwko Alterów, w tym samym korytarzu, mieszkała rodzina nazywana przez wszystkich „rybakami”. Nazwa pochodziła od stolika na targu, a właściwie balii z rybami. Osobliwością tego handlu było to, że istniał tylko w czwartki i piątki. Wtedy kobiety żydowskie zaopatrywały się w ryby na sobotę. Wypadało kupować duże ryby w całości albo część wielkiej. W pojęciu gospodyń takie były bardziej podzielne. Wśród kupujących było wiele kobiet, które mogły sobie pozwolić wyłącznie na tańsze rodzaje, np. płotki, albo na najdrobniejsze rybki, z których można było robić tylko „kulki”. Zakup drobnych rybek był trochę krępujący. Rodzaj nabywanych ryb świadczył bowiem o sytuacji materialnej klienta, a sprzedawca zawsze lepiej traktował tych, którzy zamawiali karpia. O naszym „rybaku” pamiętam tylko jedno — nie żył w zgodzie z żoną. Mówiono o nim, że gdzieś w mieście miał inną kobietę (rzecz niezbyt powszechna w owych czasach). Ile w tym było prawdy, trudno dziś powiedzieć. Jego żona w końcu zachorowała i zmarła. Mieszkanie zajęła po nich rodzina Fajnow. Sąsiedzi nie mogli wybaczyć Fajnowej, że była o kilka lat starsza od męża i bardzo chorowita. Para ta, w przeciwieństwie do poprzedniej, żyła w zgodzie i oboje „trzęśli się” nad swoim jedyńkiem. O małżeństwie zdecydowało jej „dobre” pochodzenie, które zastąpiło „nie najlepiej” urodzonemu partnerowi posag.

Głębiej w tym samym korytarzu zajmowali mieszkanie Becherowie. On był trochę roztargnionym, wysokim, chudym mężczyzną, zawsze ogolonym i świecko ubranym, podobnie jak inni na czwartym piętrze. Nazywano go „piszący podania”, co wśród wszystkich budziło szacunek. Zajmował się bowiem pisaniem różnych podań do władz. Był to zawód, który wymagał trochę znajomości prawa oraz biegłej znajomości języka polskiego. Niewielu Żydów starszego pokolenia mogło się tym pochwalić. Skupieni w dzielnicach żydowskich, rozmawiali między sobą po żydowsku. W domu (na przykład), w którym mieszkaliśmy, jedynym Polakiem był dozorca.

Pokój z kuchnią po Becherach zajęła jeszcze jedna rodzina o nazwisku Fajn, spokrewniona z poprzednio wspomnianymi. Kobieta również zaliczała się do „dobrze urodzonych”, jako że pochodziła ze znanej rodziny Rotów. Trudno mi powiedzieć, skąd ta jej pozycja socjalna — może z powodu sklepu kolonialnego na Lubartowskiej 5 lub czegoś innego. Gorzej było z ojcem rodziny, nie mógł pochwalić się odpowiednim drzewem genealogicznym. Uważano go zresztą za prostaka i nieuka. Rzeczywiście był człowiekiem trochę „odstałym” i nieopanowanym. Często dochodziły odgłosy krzyków z ich mieszkania. Ich jedyna córka odziedziczyła po ojcu cechy charakteru. Nigdy nie można było przewidzieć, co jej strzeli do głowy. Nikt więc nie utrzymywał z nią kontaktów towarzyskich, a o przyjaźni w ogóle nie mogło być mowy. U Fajnow na początku wojny w 1939 roku znajdowało się jedyne w całym domu radio. Choć Niemcy zabronili posiadania takiego aparatu i wszystkie rekwirowali, Fajnowie je zatrzymali. W dzień wynosili je na dach, wieczorem zabierali do domu. Ich aparat był jedynym źródłem informacji o przebiegu początku wojny.

W dalszej części korytarza mieszkała rodzina, którą nazywano „papierosnikami”. Przydomek pochodził od formy zarobkowania: robili papierosy, które sami potem sprzedawali. Dzieci z czwartego piętra pomagały im w pracy, napelniając

gilzy tytoniem i gotowe papierosy układając do pudełek. Sprzedaż odbywała się w sklepiku przy ulicy Probostwo. Przez uliczkę przebiegała maleńka rzeczka, którą dowcipnisie nazywali morzem „kokebeby”. Kobiety z okolicznych ulic i uliczek przychodziły tam płukać bieliznę, wybijając ją kijankami, tj. specjalnymi drewnianymi łopatkami. Ulica Probostwo „wstała” się w późniejszym okresie spółdomami, czyli wspólnymi, kooperatywnymi domami dla bardziej zamożnych ludzi.

Rodzina „papierośników” miała troje dzieci: dwóch synów i córkę. Córkę uważali rodzice za najlepszą z dzieci. Uczyła się kilka lat w gimnazjum, uchodziła za ładną i udaną. Rodzice wydali ją młodo za mąż za syna dość zamożnego kupca konfekcji tzw. tandetnej z ulicy Koziej.

Starszy syn Ezriel interesował się najstarszą córką swoich najbliższych sąsiadów, Rapaportów. W ich zaręczynach uczestniczyli wszyscy sąsiedzi czwartego piętra, do ślubu jednak nie doszło.

Młodszy syn, Motł, miał opinię niezbyt mądrego. Jego postępek przed swoim ślubem można prawie potraktować jako anegdotę. Kilka dni przed ślubem usiłował rozrąbać duży kawał węgla. Pech chciał, że odprysk wpadł mu do oka. Nikt nie potrafił mu tego wyjąć, musiał więc skorzystać z pomocy lekarza, któremu postawił ultimatum, że oko musi zostać wyleczone do ślubu. Wśród sąsiadów długo nabijano się z niego z tego powodu.

W korytarzu obok „papierośników” — jak wspomniałam, mieszkali Rapaportowie. Ich córka, narzeczona Ezriela, po śmierci ojca wzięła na siebie cały ciężar utrzymywania rodziny. Ojciec jej zajmował się specyficznym rodzajem handlu — jeździł często do Warszawy i sprowadzał różne towary potrzebne cukiernikom. Handel swój prowadził nielegalnie, bez patentu, tj. zezwolenia władz, a więc i bez opłacania podatków. Z tego powodu miał zawsze dużo kłopotu z ukrywaniem towaru. Z chwilą znalezienia go przez władze podatkowe groziła mu konfiskata i wysoki wymiar podatku, a więc strata

wszystkiego, co zdobywał z ogromnym trudem. Prosił więc zawsze sąsiadów, by przechowywali jego towar u siebie. Nie każdy mógł mu w tym pomóc, nikt nie dysponował przecież wolną przestrzenią w mieszkaniu, a poza tym wielu miało swoje kłopoty z Urzędem Skarbowym. W momencie kontroli sąsiad ryzykował także wielką karą i wysokim wymiarem podatku.

Wielu zmartwień przysparzał Rapaportom ich jedynak, sprzedając za grosze towar rodziców bez ich wiedzy i narażając ich na duże straty. Syn, na którego rodzice czekali jak na Mesjasza, zupełnie ich zawiódł. Długie lata chłopak moczył się nocą, ciekło mu też z nosa. Rodzice nie rozumieli, że trzeba leczyć obie dolegliwości, stosowali natomiast bardzo surowe kary, myśląc że on postępuje złośliwie. Nie wpuszczali go do domu, ścielili mu nawet zimą na korytarzu, gdzie sypiał na zawsze mokrej pościeli. W ostatnich latach przed wybuchem wojny, a kilka lat po śmierci ojca wyjechał do Warszawy, tam znalazł pracę i prawdopodobnie wyleczył się. Po wybuchu wojny, kiedy władze kazały mężczyznom opuścić miasto, wrócił do Lublina i potem chyba wyjechał do Związku Radzieckiego.

Troskę o utrzymanie rodziny po śmierci ojca przejęła najstarsza siostra, Necha. Choroba ojca zaczęła się, jak mówili jego bliscy, od krwotoku z nosa. Wkrótce potem zmarł. Trudno powiedzieć, jaka była faktyczna przyczyna śmierci, wylew krwi do mózgu lub bardzo rozpowszechniona wówczas gruźlica, dość że krótka choroba skończyła się katastrofą. Można przypuszczać, że rodzina znała chorobę i ukrywała ją przed innymi, albo też lekarze się na niej nie poznali. Wszyscy przypuszczali, że śmierć ta zmieni dotychczasowy byt rodziny. Okazało się jednak, że Necha doskonale sobie poradziła. Przejęła w zupełności dostawę towarów, znalazła też drogę do dostawców.

Młodsza z sióstr Rapaport, Glikl, poświęciła natomiast swój czas utrzymaniu porządku w mieszkaniu — dwóch pokoikach i kuchni. Błyszczało u nich w każdym kąciку, ale jej

twarz stawała się coraz bledsza i bledsza, nabierając zielonkawego odcienia. Równocześnie wyizolowała się zupełnie, nie miała żadnych kolegów, ani koleżanek. Matka, zmartwiona tym jej stanem, za pośrednictwem swata starała się znaleźć dla niej męża. Próby te jednak speliły na niczym, a potem wybuchła już wojna...

Najmłodsza siostra na początku wojny chodziła jeszcze do szkoły, albo tylko co ją ukończyła. Żadnych szans na otrzymanie pracy, jak większość młodzieży, nie miała. Nawet nauczanie się zawodu było dla niej niemożliwe, ponieważ każdy majster żądał wysokiej opłaty za naukę, a uzyskane kwalifikacje nie zapewniały pracy — były to lata zmniejszających się zarobków i wzrastającego bezrobocia. Sytuacja Żydów pod tym względem była szczególnie ostra, znacznie gorsza niż dla reszty społeczeństwa. Żydzi nie mieli dostępu ani do państwowych ani komunalnych posad, niełatwo im też było otrzymać pracę w fabryce. Zamożni Żydzi chętniej zatrudniali Polaków — wydaje się, że wyjątek stanowiły garbarnie Zylbersztajna i Brykmana, w których większość robotników była Żydami. O jedno miejsce w magistracie długo walczyły żydowskie partie socjalistyczne, udało się w jednym wypadku i to na krótko. W policji służyło dwóch Żydów. Jeden z nich — Świątosławski — po uzyskaniu tam miejsca, kosztem przejścia na katolicyzm, przez cały czas starał się specjalnie dawać we znaki Żydom. Mimo to nigdy nie awansował wyżej „przodownika”. Po jego wyjeździe do Warszawy w Lublinie pozostał tylko Tanenbaum.

Duże mieszkanie na drugim piętrze zajmowali Grynbergowie. Rodzina była bardzo liczna: oprócz rodziców było czterech synów i dwie córki. Z młodszą z nich chodziłam do szkoły podstawowej i dlatego byłam w ich domu częstym gościem; widziałam ich życie i walkę o egzystencję. Ojciec handlował zbożem, ale mówiono, że do handlu się nie nadawał. I rzeczywiście, jego zarobki z dnia na dzień kurczyły się i tym samym zmniejszała możliwość utrzymania rodziny.

Dorastające dzieci nie miały żadnych możliwości zarobienia na swoje utrzymanie, nie mówiąc już o tym, że ze względu na swoje pochodzenie nie każdą pracę wypadało im wziąć. Rodzina postępowała według zasady, że biedy swojej nie należy pokazywać, ukrywali ją też skrętnie. Grynbergowie byli także zdania, że dzieci ich, a przede wszystkim dziewczęta, powinny otrzymać wykształcenie. Starsza córka musiała jednak przerwać naukę w gimnazjum, młodsza zaś szkołę średnią ukończyła z wielkim trudem i z pewnym opóźnieniem spowodowanym chorobą płuc. Przez pewien czas musiała pozostawać w domu, odpoczywać i dobrze się odżywiać. Cała rodzina poświęciła wiele pracy, by przywrócić jej zdrowie.

Najmłodszy syn, Abramek, absolwent gimnazjum, był bardzo zdolnym chłopcem, dobrze się uczył, ale podobnie jak wielu innym dzieciom kłopoty sprawiały mu skrofuły, na które wtedy nie znano jeszcze lekarstwa. Z powodu tej choroby koledzy omijali go.

Na lewo od schodów na tym piętrze mieszkała młoda matka z córką. Matka zawsze leżała w łóżku, złożona jakąś nie znaną dla sąsiadów chorobą. Kiedy umarła, jej córka, Blumele, została sama. Utrzymywali ją prawdopodobnie krewni z rodziny Fajnow, w przeciwnym wypadku nie miałyby z czego żyć. Uczęszczała do gimnazjum, a o jej zdolnościach opowiadano cuda. Była trochę starsza ode mnie, ale zawsze trzymała się z dala od sąsiedzkiej młodzieży. Udało jej się wyjechać gdzieś za granicę na studia. Może przeżyła, uniknąwszy losu Żydów polskich.

Naprzeciwko schodów jeden pokój zajmował robotnik piekarski ze swoją żoną i jedyną córką. Trójka ta opuściła mieszkanie, gdy on stracił pracę.

Przy Lubartowskiej 21 mieliśmy też „własną” czteroosobową rodzinę złodziei. Kobieta, którą nazywano „złotą rączką”, odsadywała karę więzienia bardzo rzadko, za to jej mąż, któremu szczęście nie dopisywało, prawie zawsze „siedział”.

Rodzina owa miała swoje moralne zasady, według których postępowała, a nawet którymi się szczyliła. Mawiali: — nie kradnę u sąsiadów, przeciwnie, chronię ich przed innymi złodziejami. Mieli też ambicję, by ich dzieci zostały wychowane na uczciwych ludzi. Z ich córką rozmawiałam czasami przez okno w korytarzu między trzecim a czwartym piętrzem. Przez nie widać było okno z ich mieszkania na czwartym piętrze lewej oficyny domu.

Kiedy wspominam mieszkańców mojego domu muszę wymienić kilka szczególnie nieszczęśliwych osób — chorych psychicznie. Pierwszym z nich był młody chłopak, lat około dwudziestu, o ciemnej miłej twarzy. Jak pamiętam, był zawsze obdarty i brudny. Nikt nie wiedział, czy i gdzie mieszka. Często odwiedzał kobietę mieszkającą z córką i synem na piątym piętrze, gdzie mieściły się komórki na węgiel i drzewo oraz strych do wieszania bielizny. Od nich prawdopodobnie dostawał trochę strawy, czasami nocleg. Kobietę nazywał Szewale. Dzieci wołały do niego: — *Hulelu a szos, Szewały a knak*. — Po śmierci Szewały przychodził nadal, ale córka i syn zmarłej więcej się nim nie zajmowali. Sami zresztą nie mieli środków na utrzymanie. Strzał, o którym wspominał — jakby przewidział, albo jak to ludzie wtedy wierzyli — wymówił w „złej godzinie”. Zginął od kuli jako jedna z pierwszych ofiar hitlerowców, podejrzany o... szpiegostwo.

Częstym gościem był stary człowiek, którego przezywano Mojsze bojdem (Mojsze strych). Kapota czy palto (trudno to było określić z powodu okropnego stanu), które obwiązywał w talii sznurem, było jego jedyną odzieżą. A za pazuchą miał swój magazyn — cały dobytek: kawałki darowanego przez mieszkańców chleba. Od czasu do czasu dostawał trochę czegoś ciepłego. Sypiał na schodach albo na strychu (stąd jego przydomek). Że człowiek ów w ten sposób żył latami — trudno sobie wyobrazić. Zginął w getcie razem z innymi Żydami.

Dom odwiedzała też zwariowana Chawele ze swoją równie nienormalną córką Libele i jej dzieckiem. Wszystkie trzy

przychodziły żebrać. Czasami udawało im się zarobić parę groszy myciem podłóg. Ich odwiedziny dzieci zawsze wykorzystywały, by się trochę pośmiać, choć sytuacja tych kobiet była raczej tragiczna a nie śmieszna.

Do „kuriozów” domu należał jeszcze głuchoniemy brat rzeźnika Itczy. Przychodził on czasami do brata, ale mieszkał u swojej siostry Mali. Póki żyła, miał jakie takie lokum, po jej śmierci zaś cierpiał głód. Rodzina Itczy wstydziła się go, a poza tym bano się, że przeszkodzi córkom w dobrym zamążpójściu.

Wśród żebraków, którzy odwiedzali nasz dom, jedni starali się wzbudzać współczucie, opowiadając o swojej tragicznej sytuacji. Drudzy byli agresywni — przychodzili każdego dnia, żądając jałmużny. Kiedy im odmawiano, przeklinali i wyzywali odwiedzanych. Do nich zaliczał się pewien głuchoniemy. Stukając laską o podłogę, wygrażał mieszkańcom. Nie ustępował, póki czegoś nie dostał. Jeszcze inni przychodzili w określone dni tygodnia i bez słowa czekali na datki.

Moja mama miała swoich faworytów wśród żebraków, jednemu z nich zawsze dawała parę groszy. Był ułomny, chodził kaczkowatym krokiem, przerzucając ciało z jednej nogi na drugą. Nigdy nie żądał, stał cicho i czekał, a nawet, gdy nic mu nie dawano, życzył wszystkiego najlepszego i żegnał się przyjętym — dobrego dnia.

Żebracy niechętnie brali kawałki chleba albo resztki gotowanego jedzenia. Chleba nie mogli długo przechowywać, na raz nie mogli też zjeść wszystkich resztek. Takich żebraków gospodynie widziały niechętnie, a oni sami tracili wszelką szansę dostania czegokolwiek.

Do „domowników” należy też zaliczyć różne bezdomne koty, które żałośnie miauczały całymi nocami, w szczególności w marcu, w okresie parzenia się.

Lubartowska 19 i trzy piękne dziewczęta

Z domów oznaczonych numerami 19, 21, 23, budynek przy Lubartowskiej dziewiętnaście stał najbliżej Targu Rybnego. Do wszystkich domów można było wejść od ulicy Targowej. Kiedy więc brama do naszej kamienicy była od tej strony zamknięta, by skrócić sobie drogę, chodziliśmy „ich” bramami. Wielkie znaczenie to przejście miało dla mojej matki, kiedy nosiła za dużo jak na jej siły produktów zakupionych na targu, a potem musiała z tym ciężarem pokonać przeszło 90 schodów do czwartego piętra. My, dzieci, za późno zrozumialiśmy, że należało jej pomagać.

Kontakt z sąsiadującymi domami nawiązywaliśmy też w czasie, gdy nie mogliśmy korzystać z opisanej tu już „toiletę”.

Trzecią wreszcie okazją była zamknięta woda z powodu pękniętej rury lub nie opłaconych przez gospodarza należności za nią. Branie wody z sąsiednich podwórek było bardzo wygodne. Oszczędzano długiej drogi do i od pompy, czas na stanie w kolejce i unikano dość wysokiej opłaty za wodę.

Po śmierci pierwszej żony mojego wuja poznałam rodzinę jego drugiej małżonki (mieszkała pod dziewiętnastką). Mieli kilka córek i jednego syna. Ojciec, Pejsach, lubił żartować i bawić się ze mną. Nazwał mnie „kózką”, bo podobno, jak twierdził, lubiłam skakać. W owym czasie Pejsach Grynszpan miał sklepik na Noworybnej z różnego rodzaju wyrobami z żelaza i niezłe sobie radził. Była to właściwie framuga w ścianie domu, niedaleko od wejścia na tę ulicę z Lubartowskiej. W domu wuja dziwił mnie zawsze zwyczaj, że przy posiłkach zjadano bardzo dużo chleba. Kromki kroił „na okrągło”, przez całą szerokość bochenka sam Pejsach. Każdy dostawał po trzy-cztery takie „płachty”. Pierwszy raz w życiu widziałam takie kawały chleba podawane do jedzenia. Dopiero w czasie drugiej wojny zrozumiałam, że tak jadają ludzie, dla których chleb jest

wyłącznym albo prawie jedynym pożywieniem. Do karmienia Pejsach miał sporo osób. Wszyscy byli młodymi ludźmi w okresie, kiedy rośnie się wzdłuż i wszerz. Przy jedzeniu wyróżniał się syn, o wzroście ponad przeciętnym, a tuszy poniżej przeciętnej. Najstarsza z córek mieszkała już wtedy z własną rodziną w Warszawie i żyło się jej dosyć dobrze. Miała ładne i ładnie urządzone mieszkanie na Chłodnej, z telefonem (rzadkość w owym czasie). Lubelskie rodzeństwo — siostry i brat, szczylicili się siostrą z Warszawy. Wielkim świętem był dla nich jej przyjazd z córką — bardzo ładną dziewczyną — do Lublina, lub odwiedziny kogoś z członków rodziny u niej, w Warszawie. Wszyscy wiązali duże nadzieje z ową ładną córką siostry. Myśleli, że wyjdzie ona za mąż za przysłowiowego księcia z bajki, który przyjedzie z daleka na białym koniu, zakochany po uszy. Specjalnych sukcesów młodej dziewczyny nie doczekali się. Zamiast księcia długie lata adorował ją młodzian, który nie mówił o małżeństwie. Prawdopodobnie nie mógł pozwolić sobie na założenie rodziny. Jak można się domyśleć, liczył na pomoc finansową rodziców panny, których sytuacja w tym okresie bardzo się pogorszyła.

Jedna z Grynszpanówien, Ita, wyemigrowała do Ameryki, gdzie nie wiodło się jej przez długie lata. W końcu jednak zaczęło się jej lepiej powodzić — pomogła wtedy drugiej siostrze, a potem i bratu przyjechać do niej. Możliwe, że ktoś z nich żyje uniknąwszy swoim wyjazdem wojennego losu Żydów w Polsce.

Kilka lat przed wybuchem drugiej wojny światowej zmarł Pejsach. Pierwsze bomby rzucone na Lublin zniszczyły dom, do którego przeniosła się rodzina z Lubartowskiej 19. Ich „nowe” mieszkanie znajdowało się na Jezuickiej, gdzie w owym czasie mieszkał mój stryj Boruch, z żoną i dwiema córkami. Wszyscy byli jednymi z pierwszych ofiar, zostając bez dachu nad głową, bez swego skromnego dobytku, w końcu pozbawieni i życia.

Z Lubartowskiej 19 zapamiętałam trzy piękne dziewczyny. Jedną z nich była Hela Fuksman (miała bardzo ładnego brata), blondynka o niebieskich oczach, uczennica, jak mi się zdaje, szkoły Radzikowskiej. Rodzice posyłali tam dziewczęta, które nie wykazywały bądź to zdolności, bądź chęci do nauki. Hela była tą, która nie zdradzała zbyt dużego zapału do nauki. Możliwe, że wpłynął na nią podziw mieszkańców dla jej urody. Wcześniej zaczęła interesować się chłopcami. Była też jedną z pierwszych, która wyłamała się spod zakazu oglądania filmów w godzinach wieczornych. Podczas takiej eskapady spotkała swoją nauczycielkę. Skandal był nieunikniony, grożono wydaleniem ze szkoły. Rodzicom udało się temu zapobiec, przyrzekając, że więcej się to nie powtórzy. Hela jeszcze za czasów szkolnych znalazła, jak to wtedy określano, sympatię, chłopaka, z którym „chodziła” kilka lat. Był bardzo przystojnym, ładnym, roslim i szerokoplecym młodzieńcem o nazwisku Szwed. Rodzice jego byli dość zamożni — mieli sklep na Pijarskiej czy Królewskiej, w którym handlowali rękawiczkami.

Młodzi byli jakby stworzeni dla siebie. On codziennie przychodził do Heli i razem wybierali się na spacer. Wszyscy uważali, że pobiorą się po ukończeniu szkoły. Nagle stało się coś nieoczekiwanego — przestali się spotykać. Przyczynę znalazło chyba niewielu. Można się tylko domyślać, że była to zazdrość — denerwowało go jej „rzucanie oczu” na innych chłopców. Wyciągnął wnioski i poszukał sobie innej, niezbyt atrakcyjnej dziewczyny. Miał dosyć piękności, której nigdy nie był pewien. Jednak i druga zawiodła go swoimi staraniami podobania się innym. Potem zresztą Bluma — tak nazywała się druga wybrana — zaangażowała się w ruch komunistycznym i została aresztowana. Wkrótce wybuchła wojna; on prawdopodobnie podzielił los innych, Bluma zaś wyszła za męża za wysoko postawionego komunistę, z którym spotkała się w armii. Oboje mieszkają w Warszawie, przedwcześnie emerytowani.

Drugą piękną dziewczyną była Klajnerówna. W przeciwieństwie do Heli była czarnulką o świeżych policzkach i czarnych oczach, nie wykorzystywała też swoich możliwości u chłopców. Była skromną dziewczyną, nie zadzierając nosa.

Trzecia dziewczyna nazywała się Trusówna. Na horyzoncie pokazała się trochę później. Była młodsza od tamtych i zakwitła nagle jak piękny kwiat. Przedtem niczym się nie wyróżniała, nic nie zapowiadało też jej późniejszego rozwoju. Poza piękną twarzyczką odznaczała się wdzięczną i zgrabną figurką, którą mogła konkurować z modelkami najlepszych salonów mód. Kiedy czasem myślę o kapryśkach natury, wspominam obie siostry — jedna wyjątkowo piękna, druga o przeciętnej urodzie.

Lubartowska 23

Z tego domu znałam mniej osób. Warhaftig, gospodarz, był trochę zasymilowanym Żydem. Jego żona, w owym czasie młoda kobieta, była zawsze elegancko ubrana i miała blond farbowane włosy, co było wtedy rzadko praktykowane wśród kobiet. Ich dwie córki były blondynkami nie wyróżniającymi się niczym specjalnym. Uczyły się w gimnazjum, potem wyjechały prawdopodobnie do Francji. Tam, jak głosi fama, przeżyły wojnę.

W tym samym domu mieszkała rodzina Szpilfoglów. Ojca znałam z okresu, kiedy był dyrygentem orkiestry teatru żydowskiego, której członkiem był także mój dziadek, grający na flecie i altówce. Szpilfogel był uważany za dobrego muzyka. Jego brat grał razem z nim; był drugim skrzypkiem. Pierwsze skrzypce grał sam Szpilfogel, dyrygując równocześnie. Z jego dwóch synów starszy studiował na uniwersytecie w Warszawie. Studia te musiał jednak przerwać z powodu paraliżu nóg. Długie lata nie mógł opuszczać mieszkania. Czasami, jeżeli

ULICE LUBLINA W RÓŻNYCH OKRESACH ROZWOJU MIASTA



1. Lubartowska 21 (47) — dom rodzinny Autorki

2. Zamojska 5 — gmach dawnego gimnazjum Szperowej





3. Niecała 3 (dziś Georgi Dymitrowa) — gmach dawnego Gimnazjum Koedukacyjnego przy Towarzystwie Zakładania Szkół Żydowskich

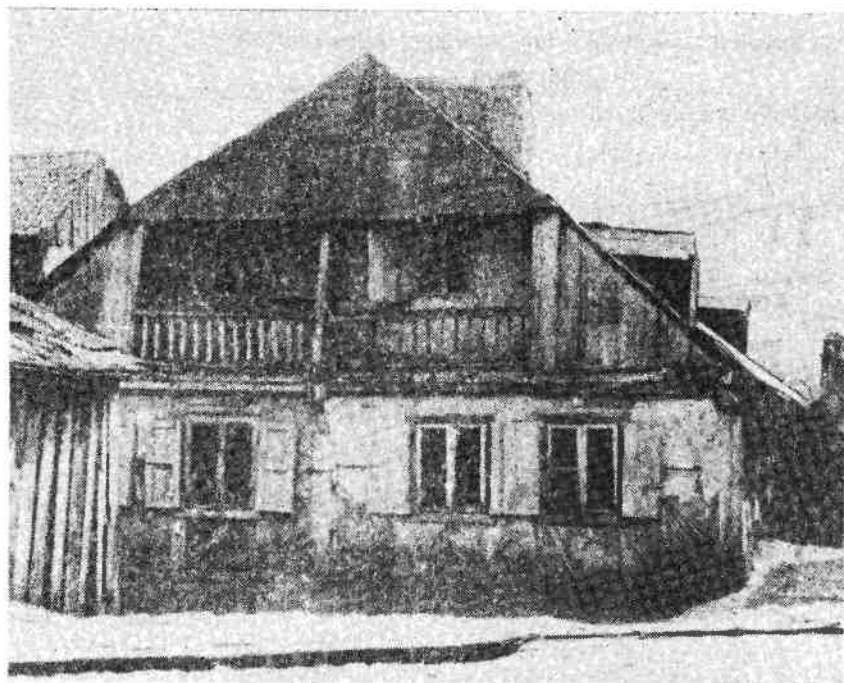
4. Ruska, ok. 1900 r. — cerkiew Przemienienia Pańskiego





5. Melamed z dziećmi w chederze przy ul. Ruskiej, ok. 1930 r.

6. Dom przy ulicy Podwale, ok. 1917 r.





7. Krawiecka, ok. 1938 r. (nie istnieje) — jedna z uliczek Podzamcza

8. Dolna Panny Marii (dziś Podgrodzie), ok. 1939 r.

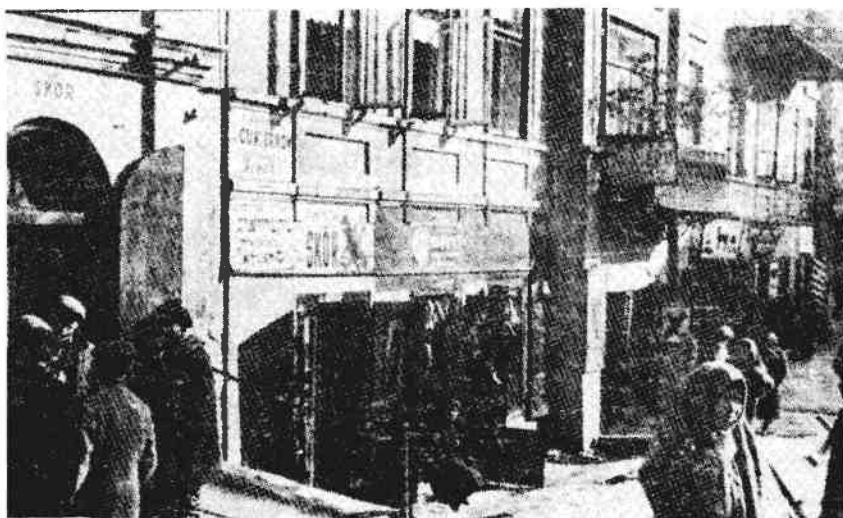




9. Kowalska, ok. 1938 r. — sklepy rzemieślnicze: kamasznika S. Klajnmana i kupca różnych skór

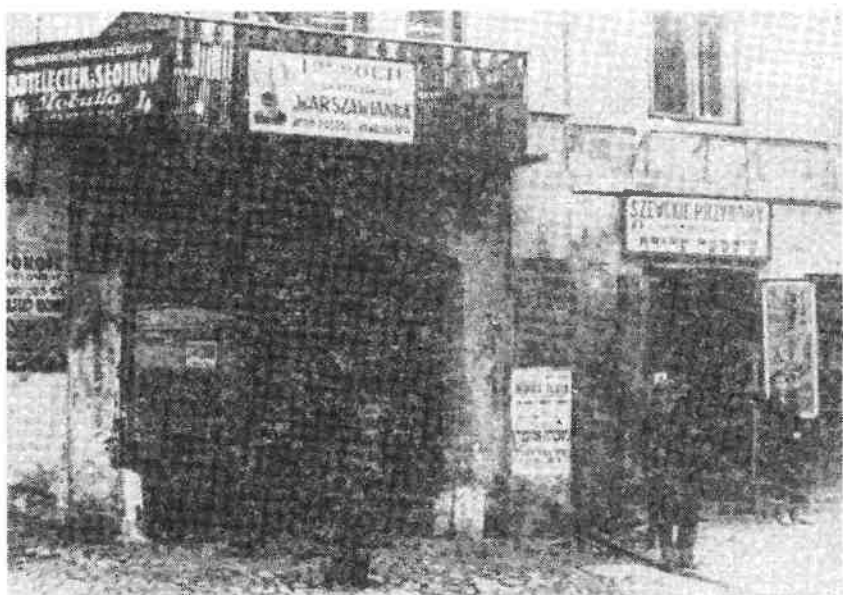
10. Kowalska, ok. 1938 r. — sklepy i warsztaty szewskie, m.in. Icka Borensztajna oraz sztyl Wojewódzkiego Związku Drobnych Kupców w Lublinie





11. Kowalska 4, ok. 1938 r. — charakterystyczna, ciasna zabudowa ulicy, z wieloma małymi sklepami i szyldy reklamowe, m.in. fabryki cukierków i czekolady „Franka”.

12. Kowalska 4, ok. 1938 r. — balkon z reklamami: fabryki octu spirytusowego „Warszawianka” Antoniego Postoja, konkurencyjnej sprzedaży różnych butelek i słoików „Mobuta” oraz... but w witrynie sklepu z przyborami szewskimi

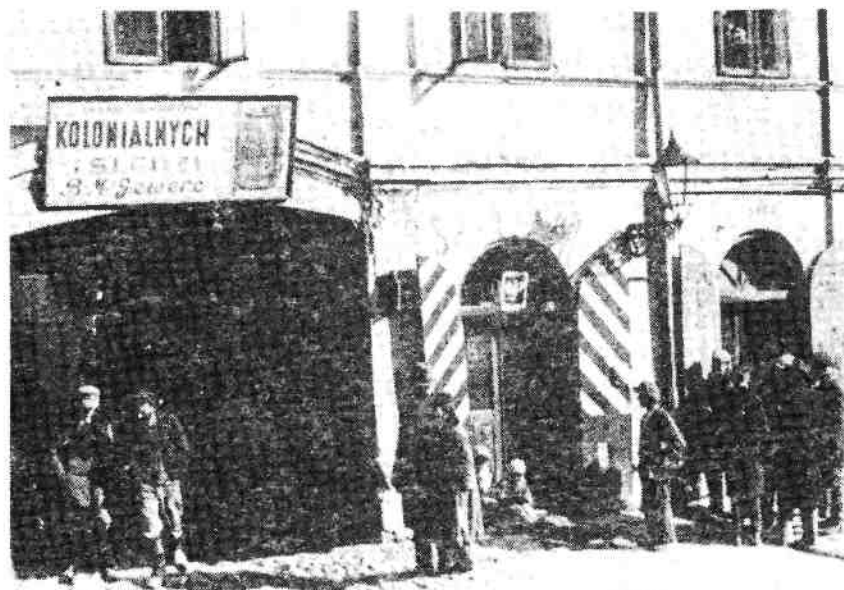




13. Kowalska, ok. 1938 r.

14. Kowalska 6, ok. 1938 r. — mieszkańcy i przechodnie

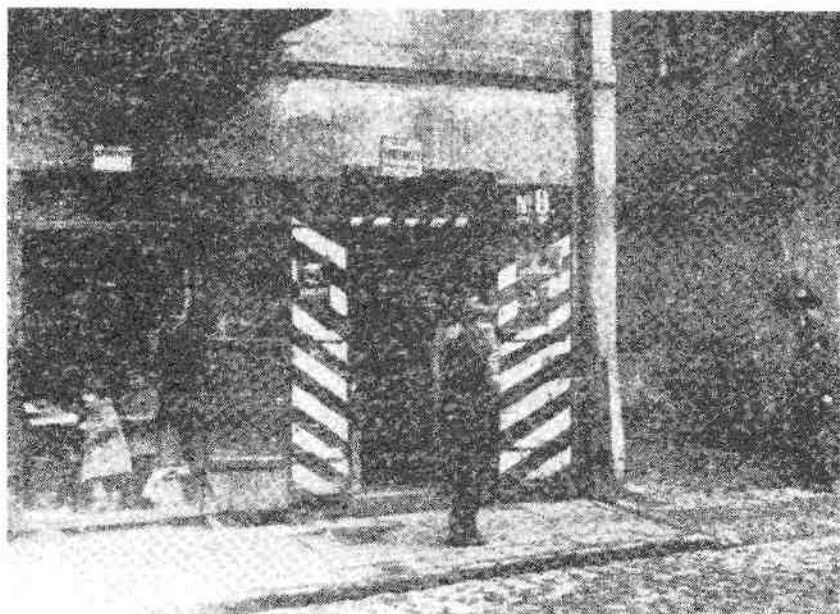




15. Kowalska 2, ok. 1938 r. — reklamowy szyld składu towarów kolonialnych i śledzi B. M. Gwercera

16. Kowalska, ok. 1938 r. — reklamy na murze





17. Kowalska 8, ok. 1938 r. — kamienica narożna z ulicą Cyruliczą

18. Kowalska, ok. 1938 r. — sklepy na piętrze, m.in. pracownia cholewek B. Flumena





19. Kowalska 12, ok. 1938 r. — sklepy różnych branż

20. Kowalska 14, ok. 1938 r. — sklep z lakociami B. Tasiemki





21. Kowalska 12, ok. 1938 r.

22. Kowalska, ok. 1938 r. — skład materiałów aptecznych i farb „Higiena”,
salon fryzjerski „L. Miller i Ska”





23. Uliczka Starego Miasta (dawniej część Nowej), ok. 1935 r. — dom z reklamą drukarni „Polonia”

24. Uliczka Starego Miasta (dawniej część Nowej), ok. 1935 r. — w głębi sklepy przy Olejnej



pogoda dopisywała, można go było zobaczyć w fotelu na balkonie. Przeważnie jednak siedział w domu, zupełnie odizolowany od świata. Ojciec wszystkie swoje siły i dochody poświęcał na leczenie chorego, ale nic nie pomagało. Dopiero po kilku latach, przy pomocy laski trzymanej w drżących rękach, zaczął pokazywać się na ulicy, ale nigdy do zdrowia nie wrócił. Przyczyny choroby nikt nie znał, „złe języki” informowały natomiast, że paraliż spowodowała choroba weneryczna, nieuleczalna w owym czasie.

Drugi syn grał razem z ojcem. Był bardzo popularnym muzykiem. Gdy z powodu specyficznej sytuacji teatru żydowskiego, któremu nie przydzielano żadnych subsydiów ani ze strony rządu ani ze strony władz komunalnych, skończyła się praca w orkiestrze, dwaj Szpilfoglowie zaczęli grywać na weselach i balach. Zarobki jednak były coraz mniejsze, coraz mniej ludzi mogło sobie pozwolić na angażowanie orkiestry w ogóle, a w szczególności Szpilfoglów, uchodzących za żądających wysokich gaż. Nie pomogło nawet, kiedy muzycy ci obniżyli swoje żądania, ludzie bali się do nich zwracać.

U Warhaftigów mieszkała rodzina Idla Goldmana, z zawodu drukarza. O nim albo o jego ojcu zwykł był mój wuj, Szloma Fernand, opowiadać, że uczył się u nich sztuki drukarskiej. Z okresu swojej pracy u Goldmanów (lub Szpirów) wuj często opowiadał taką historię:

Było to w roku 1905. W Rosji zaczęła się rewolucja. Pewnego wieczoru w drukarni zjawiała się grupa młodych ludzi, którzy z rewolwerami w rękach zmusili obecnych do wydrukowania dla nich jakiejś ulotki. Młodzi ludzie należeli do socjalrewolucyjnej partii (S.R.). Chcąc nie chcąc drukarze musieli wykonać robotę. Między nimi był także mój wuj, którego potem wyśmiewali, że bardzo się przestraszył terrorystów. Prawdę powiedziawszy śmiać się nie było z czego. Terrorysty gotowi byli użyć broni, a poza tym za wykonanie takiej pracy, nawet pod przymusem, groziło kilka lat więzienia albo zsyłka. Carskie władze były w takich wypadkach nieubła-

gane, szczególnie w stosunku do Żydów mieszkających na terytoriach polskich.

Najstarszy syn Idla Goldmana (co do imienia i nazwiska nie jestem zbyt pewna), gdy został zaaresztowany za działalność komunistyczną, wydał policji kilku swoich współtowarzyszy. Odtąd wśród komunistów uważano go za zdrajcę i zaczęto bojkotować. Wytykały mu postępek także i inne grupy Żydów, wśród których wydanie kogokolwiek policji uważane było za hańbę; za największą obelgę uważano, jeżeli ktoś zasłużył sobie na miano *a muser* (donosiciel). Jego dwaj bracia, z których najmłodszy również znalazł się w ruchu komunistycznym, bardzo cierpieli z powodu czynu brata. Średni brat, który był chłopcem słabym fizycznie, pełen kompleksów — bał się np. pokazywać w towarzystwie kolegów.

Dom Szyferów

Naprzeciwko naszego domu stała dwupiętrowa kamienica. Należała do Szyferów. Z tego domu zapamiętałam tylko dwie smutne córki gospodarzy, które godzinami wysiadywały beczynn timer na balkonie. W czasach młodości miały znajomych, którzy dotrzymywali im towarzystwa. Z biegiem lat pozostały zupełnie samotne. Jeżeli kiedyś dbały o eleganckie stroje i modne uczesania, teraz przestały dbać o swój wygląd i zaniedbane siedziały nadal same na balkonie.

U Szyferów w podwórzu znajdowała się fabryka, do której matka posyłała mnie po butelkę octu. Chodziłam tam niechętnie: właściciel (czy też jego pracownik) nie należał do ludzi uprzejmych. Poza tym straszyla mnie panująca tam ciemność i wilgotność lokalu. Jedna rzecz mi się tylko podobała — olbrzymie beczki z kranami. Przyczyna posyłania mnie przez matkę do fabryki była prosta — tam ocet był tańszy.

Lubartowską 22 odwiedzałam jeszcze z powodu „góry” z gliny, znajdującej się w głębi podwórza podzielonego budynkiem fabryki na dwie części. Chodziłam tam po trochę gliny, potrzebnej do zaklejania szpar między kaflami kuchni. Gospodarz domu nie był zadowolony z takich odwiedzin, nakazał więc dozorcę, by nikogo do owej „góry” nie dopuszczał. Dozorca, który mieszkał w środku podwórza, między dwiema jego częściami, skrupulatnie wypełniał zalecenia chlebobdawcy. Nie lada kunszt trzeba było wykazać, by przedostać się niepostrzeżenie obok tego cerbera. Najprościej było wtedy, kiedy on był poza domem, lecz należało to raczej do rzadkości. Poza tym w pracy pomagała mu cała rodzina. A więc kiedy już komuś poszczęściło się dostać bez przeszkód do „góry”, czekała go jeszcze droga powrotna. Było niemożliwością pokonanie jej ze „zdobyczą” bez razów, a tych dozorca nie żałował.

U Szyferów w domu znajdował się także dom modlitwy (*a sztybl*) dla Żydów. Tam zakradał się czasami mój sąsiad, Chaim-Jankiel Śpiewak, bundowiec z przekonania, zaliczający siebie do ateistów. Swoje odwiedziny w tym domu zwykł usprawiedliwiać, że mógł tam spotkać swoich przyjaciół oraz przyszłych klientów sądów polubownych. Dla mnie dom modlitwy odgrywał specjalną rolę w czasie świąt żydowskiego Nowego Roku i Sądnego Dnia (*Jom Kipur*). Kiedy uczestnicy modłów zaczęli pokazywać się ze swoimi aksamitnymi woreczkami, z akcesoriami do modłów (*tales* i *syder**), wiedziałam, że wkrótce moi rodzice wrócą do domu, skończy się samotny wieczór i czekają nas świąteczne dania, a nade wszystko świąteczne owoce: winogrona, pomarańcze i arbuz. Na święta mój ojciec kupował trochę takich owoców, na które normalnie nie można było sobie pozwolić. My, dzieci, cieszyliśmy się, kiedy Żydzi zaczęli pokazywać się, po „Kol-Nydre” i po

* *Tales* (hebr. *talliṯh*), uroczysta szata wierzchnia, używana przez wyznawców judaizmu podczas modlitw. *Syder*, modlitewnik.

„Nyle”. Podczas tych wieczorów nastrój był szczególnie, a w powietrzu czuło się jakby strach. Rozumieliśmy dosłownie, że Bóg podpisuje kartę losu dla każdego z nas i naszych bliskich. Po „Nyle” wieczorem wiedzieliśmy, że wszystko to mamy już za sobą i czeka nas coś przyjemnego — kawałek nadziewanej ryby, uszka z mięsem na rosole świątecznym, a przede wszystkim wspomniane owoce.

Sklep z kwaszonymi i mrożonymi jabłkami. Rodzina „Ciapów”

Lubartowska 20 była miejscem, gdzie według nas, dzieci, sprzedawano najlepsze przysmaki: kiszone jabłka latem i mrożone zimą. Sklep należał do właściciela znanego jako Aron „Ciap”. Takich jabłek nigdy potem nie jadłam, nie znalazłam ich też w żadnym kraju po wojnie i nawet po powrocie do Lublina. Przepadły razem z Żydami i z ich specyficznym pieczywem i potrawami, jak np. gotowane obwarzanki, gorące babki lub gorący groch.

Handlem tymi „delikatesami” duża część żydowskiej biedoty ratowała się od głodu. Sprzedażą zajmowały się przeważnie kobiety, które cały swój „towar nosiły ze sobą” — obwarzanki w koszyku, gorący groch w żelaznym garnku, owiniętym w szmaty, by dłużej utrzymać ciepło. Nawoływania: „Gorący groch, gorące babki”, „świeże obwarzanki”, rozlegały się całymi nocami. „Handel” grochem najbardziej „kwitł” na Kowalskiej i Szerokiej albo na mostku prowadzącym z Kowalskiej do Zamku. Za tymi handlarzami wiecznie uganiali się policjanci, często zabierając im „towar”, a nierzadko rozdeptując go wprost na ulicy, przy akompaniamencie rozpaczliwych krzyków rujnowanych handlarek. Po takiej „operacji” zostawały one zupełnie bez środków do życia.

Aron „Ciap” posiadał swój sklep długie lata i z tego jako tako mógł utrzymać swoją rodzinę. Radości przysporzyła mu też jedna z córek, wychodząc za mąż za zamożnego człowieka o nazwisku Oksenhandler (handlarz bydłem), od którego zawodu powstało nazwisko rodzinne. Jego żona — Rajzla „Ciap” była od najmłodszych lat koleżanką mojej matki. Rodzice obu koleżanek mieszkali wtedy na Czwartku (albo Świętego Mikołaja). Znajomi utrzymywali, że Rajzlę spotkało szczęście; trudno mi powiedzieć, czy ona też tak uważała. Była w oczach znajomych bardzo ładną i udaną dziewczyną. On był natomiast starszym od niej, tęgim, nieruchawym mężczyzną, nie grzeszącym urodą. Takiego bogactwa, w jakim się znalazła, nigdy nie mogła sobie wyobrazić. Z Czwartku, gdzie mieszkała z rodzicami w rozpadającym się domku, nagle znalazła się na ulicy Pijarskiej w luksusowym mieszkaniu, wyposażonym w najelegantsze i najmodniejsze meble. Na podłodze stał zegar takiej wielkości, jakiego nigdy przedtem nie widziałam. Zegar ten zresztą był dla mnie przez wiele lat znakiem największego luksusu. Mieszkanie składało się z wielu pokoi. Kiedy myślałam o lepszym mieszkaniu dla mojej rodziny, najwyższe moje emocje sięgały trzech pokoi z kuchnią. Jej mieszkanie przekraczało tę liczbę, choć nigdy nie udało mi się jej ustalić.

Kontakt mojej matki z Rajzlą utrzymywał się i po jej zamążpójściu. Kiedy odwiedzała ją od czasu do czasu, zabierała mnie ze sobą. Bawiłam się wtedy z jej dwojgiem dzieci, które były mniej więcej w moim wieku. Gdzieś we Francji żyje prawdopodobnie jeszcze jej syn. Obie koleżanki — moja matka i Rajzla, każdego roku na Rosz Haszana i Jom Kipur wynajmowały sobie miejsca do modlitwy (z jakiegoś powodu nazywane miastami) w sali Elego na Rybnej. Tam spędzały razem te dni i my, dzieci, tam je odwiedzałyśmy.

Według ówczesnych pojęć mieszkanie Rajzli było urządzone ze smakiem, z gustem ubierała się też sama Rajzla. Kiedy

pytano się, skąd czerpie wiadomości, jak należy urządzić mieszkanie i jak dobierać odpowiednią garderobę, odpowiadała, że za pieniądze zawsze można znaleźć wszelkiego rodzaju dobrych doradców.

Szkoła Powszechna

Dom Szustaka, mieszczący się przy Lubartowskiej 18, miał dla mnie specjalne znaczenie. Tam znajdowały się dwie z czterech żydowskich szkół otworzonych po odzyskaniu niepodległości przez Polskę po pierwszej wojnie światowej. Przed południem pracowała szkoła nazwana od nazwiska kierowniczkii — Sztatmanowej. Po południu lokal zajmowali uczniowie szkoły Borawskiej, wśród których i ja się znajdowałam kilka lat, począwszy od 1921 roku. Moi rodzice zapisali mnie najpierw do Mandelkernowej, na Lubartowskiej 24. Nie mogę wyjaśnić dlaczego uważano jej szkołę za trochę elitarną. Mnie jednak nie poszczęściło się tam dostać. Pierwszego dnia, kiedy jedna z nauczycielek zrobiła przegląd kandydatów, mnie nie zatwierdziła. Wytłumaczyła mi, że jestem za mała, miałam sześć lat. Gdyby jednak pech zaoszczędził mi wtedy kataru, chyba by mnie zakwalifikowała. Mój nos nie był w najlepszym porządku, na domiar złego nie miałam chusteczki i nauczycielka posłała mnie do domu, zalecając przyjść za rok. W roku następnym zostałam przyjęta do szkoły Borawskiej, przy Lubartowskiej 18. Rodzice, podobnie jak ja, nie chcieli próbować po raz drugi szczęścia w szkole elitarniej.

Wymienione trzy szkoły konkurowały ze sobą o prestiż. Prawdopodobnie walkę tę rozpoczęły kierowniczki, potem dołączyli się do nich nauczyciele, a w końcu uczennice. Wśród dzieci największym prestiżem cieszyli się uczniowie szkoły Mandelkernowej, potem Borawskiej, a na końcu Sztatmanowej. „Bój” ten toczył się przez wszystkie lata mojej nauki,

przybrawszy najostrejsze formy między dwiema ostatnimi placówkami. Obie szkoły znajdowały się w tym samym lokalu, dla obu było zbyt ciasno i bardzo niewygodnie dla nauczycieli i uczniów, obie też kierowniczki dążyły do uzyskania lokalu do dyspozycji swojej szkoły. Trwało to wszystko razem przez kilka lat, aż moja szkoła uzyskała lokal na Karmelickiej. Budynek nie był w ogóle przygotowany do potrzeb nauczania, nie rozwiązywał też problemu ciasnoty, ale stąd było blisko do humanistycznego gimnazjum przy Niecałej (późniejszej Wyszyńskiego*, a obecnie Sławińskiego) i można było korzystać z jej kilku sal.

Czwarta żydowska szkoła znajdowała się na Zamojskiej, daleko od żydowskiego skupiska i była przeznaczona dla chłopców. Dlaczego założono aż trzy szkoły dla dziewcząt i jedną dla chłopców? Prawdopodobnie Żydzi niechętnie posyła-li chłopców do tzw. świeckich szkół, z prowadzoną w ogromnej mierze nauką języka polskiego i innych przedmiotów. Woleli „chedery”, tj. szkoły religijne, uważając, iż w ten sposób w swoim pojęciu strzegli chłopców przed odejściem od religii.

Szkoły nazwane tu przeze mnie żydowskimi były takimi w tym sensie, że chodziły do nich początkowo wyłącznie dzieci żydowskie, a personel składał się także z Żydów. Nie uczono tam jednak jidysz, ani hebrajskiego. Było natomiast kilka godzin tygodniowo religii i historii żydowskiej, według opracowanego dla tego celu podręcznika historyka Szypera. Zamiast katolickiego pacierza dzień zaczynaliśmy odmówieniem *mojdi ani*, porannej modlitwy żydowskiej przetłumaczonej na język polski. Na terenie szkoły mogliśmy rozmawiać tylko w języku polskim. Oznajmiła nam o tym Borawska, kierowniczka i zarazem nauczycielka pierwszej klasy, zaraz na pierwszej lekcji.

Drugą pierwszą klasę prowadziła Wajcenblitówna, wysoka,

* Tu (również na innych stronach) ulica imienia Mariana Kazimierza Wyszyńskiego (1890-1934), działacza politycznego i społecznego, autora broszury *Kujmy broń* (1915), deklaracji politycznej Związku Młodzieży Polskiej „Zet”.

szczupła, krótkowzroczna panna w okularach, zwanych pince-nez, „siedzących” na nosie przy pomocy specjalnego przycisku. Dzieci zawsze się z niej nabijały, nie cieszyła się też żadnym autorytetem i nikt nie słuchał jej zaleceń. Z powodu krótkowzroczności i dziwnych strojów nazywałyśmy ją Pani Kuku. Borawska natomiast od pierwszej chwili budziła w nas ogromny strach. Za najmniejsze odstępstwo od jej ideału dyscypliny karała srogo. Żądała na przykład od nas, byśmy przez cały czas siedziały nieruchomo, z rękami założonymi do tyłu. Za najmniejsze odchylenie stawiała do kąta, albo wyrzucała za drzwi.

Mój pierwszy dzień w szkole zakończył się straszliwym incydem. Mimo zakazu mówienia po żydowsku odezwałam się do mojej sąsiadki z ławki w tym języku; powiedziałam jej, że zgubiła pieniądze i leżą na podłodze. Moja reakcja, gdy zobaczyłam jej zgubę, była spontaniczna. Umiałam już wtedy mówić po polsku, ale z przyzwyczajenia odezwałam się po żydowsku.

Trudno mi powiedzieć, czy Borawska oceniła mój postępek jako próbę złamania dyscypliny, czy też bardzo się zlekła o swój autorytet, ale kazała mi natychmiast opuścić klasę i więcej się nie pokazywać. Z płaczem pobiegłam do domu i opowiedziałam rodzicom o wydarzeniu. Następnego dnia mój ukończony dziadek poszedł ze mną do Borawskiej z prośbą, by pozwoliła mi przyjść do szkoły. Nauczycielka długo nie chciała o tym słyszeć, ale w końcu dała się uprosić. Od tego dnia bałam się jej jak ognia, choć później traktowała mnie już lepiej dzięki postępom w nauce jej przedmiotu — matematyki. Na lekcjach tych często dostawałyśmy zadania, które rzucały błąd strach na wszystkie dzieci. Borawska żądała podania obrazowego schematu rozwiązania zagadnienia. Według tego schematu trzeba było następnie formułować pytania i dokonać obliczeń, pod koniec zaś dać odpowiedź na postawione pytanie. Jej sposób nauczania przekraczał możliwości siedmio- i ośmioletnich dzieci. Tylko nieliczna grupa dawała sobie z tym

radę. Należałam do tych szczęśliwców i w ten sposób zyskałam jej sympatię. Mimo to nigdy, po tym wspomnianym wypadku, nie przyjmowałam bez strachu jej wejścia do klasy. Wszystkie zresztą drżałyśmy po jej pojawieniu się, a gdy wychodziła, witałyśmy to spontaniczną radością. Do jej metod należało opracowywanie jednego przedmiotu w ciągu kilku dni, a nawet tygodni. Potem nagle, bez uprzedzenia, zabierała się do innego przedmiotu. Prowadziło to nieuchronnie do poświęcenia całej pracy domowej aktualnemu przedmiotowi i zapomnienia innych. A kiedy wracała do nich, często nic nie pamiętałyśmy. Wtedy sypały się na nasze głowy straszliwe dla nas dwójce, przed którymi nie było obrony. Doświadczaliśmy uczucia, że usiłowała nas „łapać” na gorącym uczynku — braku umiejętności.

Jak długo przebywała w klasie Borawska, tak długo panowała atmosfera przygnębienia. Muszę jednak przyznać, że dzięki niej nie miałam potem kłopotów z matematyką; dała mi dobre podstawy.

Gimnastykę, roboty ręczne i tzw. kobiece (cerowanie, szycie i haftowanie) zawsze zaniedbywałam. Na gimnastykę nie było żadnych warunków w szkole — brak sali i wszelkich innych urządzeń. Rysunku natomiast uczyła nas nauczycielka nazwiskiem Wajsberg. Umiała wprawdzie rysować i malować, ale uczyć nie potrafiła. Jej lekcje były dla mnie, nie mającej żadnych zdolności do rysunku, okazją do łapania dwój, jeżeli nie udało mi się skorzystać z pomocy innej, uzdolnionej pod tym względem uczennicy. Czasami pomagała mi w moich kłopotach rysunkowych dziewczynka o nazwisku Hamerman. Odplącałam jej pomocą w matematyce. Wielkiej ochoty do pomocy moja koleżanka nie przejawiała, musiałam ją długo prosić, nim zechciała mi coś narysować.

Gdy byłam w pierwszej klasie, drugą prowadziła Halperinowa. Była jedyną nauczycielką w szkole, która nie obawiała się Borawskiej. Odnosiło się nawet wrażenie, że Borawska bała się Halperinowej. Wydaje mi się, że między nimi toczyła się

walka o metody nauczania i posadę kierowniczkę. Halperinowa miała jeszcze tę przewagę, że dzieci darzyły ją sympatią. Ona zresztą poświęcała wszystkie swoje siły, by pomóc swoim uczennicom dostać się do seminarium nauczycielskiego, co dla dzieci żydowskich było prawie niemożliwe.

Dwie uczennice mają jej do zawdzięczenia dostanie się do tej uczelni. Jedna z nich, Sobolówna, pochodząca z biednego domu, przeżyła okupację w klasztorze. Kiedy spotkałam ją po wojnie w Lublinie, zamierzała zostać zakonnicą. Opowiedziała mi też wtedy o śnie, który miał się jej przydarzyć — objawieniu św. Marii w czasie okupacji. Sobolówna obiecała wstąpić do klasztoru za cenę uratowania jej życia. Prawdopodobnie dotrzymała danej obietnicy. Druga bardzo zdolna dziewczyna, której Halperinowa pomogła, nazywała się Witman i była krewną wspomnianej nauczycielki. Udało się jej po ukończeniu seminarium dostać pracę w szkole, co było niecodziennym wydarzeniem dla Żydówki w tym okresie.

Wśród nauczycieli, których zapamiętałam, był Kuna, ładny mężczyzna, ale o słabych kwalifikacjach pedagogicznych. Uczył nas religii. W późniejszym okresie jego miejsce zajął Pinchas Gewerc, syn zamożnego kupca, zamieszkałego przy ulicy Cyruliczej, z wejściem od Lubartowskiej.

Z Kuną miałam nieprzyjemny incydent. Przyczyny nie pamiętam, ale że wyrzucił mnie za włosy z klasy, doskonale sobie przypominam. Czułam się nieszczęśliwa i bardzo pokrzywdzona. Był to pierwszy wypadek (nie licząc incydentu z Borawską), żeby nauczyciel miał do mnie pretensje z powodu wykroczeń przeciwko regułom zachowania i dyscypliny szkolnej. Na ogół nauczyciele oceniali mnie jako spokojną i zdyscyplinowaną i nagle takie wydarzenie. Według mojej oceny Kuna postąpił niesprawiedliwie i jako niesprawiedliwy człowiek pozostał dla mnie do końca swojej pracy. Byłam zadowolona, kiedy opuścił szkołę, a na jego miejsce przyszedł inny nauczyciel. Równocześnie nastąpiły także inne zmiany personalne — przyszły dwie siostry Kejsmanówny. Bronia

uczyła polskiego, Mania — matematyki. Obie były dobrymi nauczycielkami. U Broni specjalnych sukcesów nie miałam, natomiast Mania pozytywnie oceniała moje umiejętności w matematyce. Jej lekcje, szczególnie poświęcone algebrze, były dla mnie prawdziwą przyjemnością. Sądzę, że większość uczennic lubiła jej lekcje. Obie siostry spotkałam po wojnie. Bronia, którą zawsze uważano za niezbyt zdrową, umarła kilka lat po wojnie. Mania mieszkała w Warszawie, wyszła za mąż i piastowała jakiś wysoki urząd w szkolnictwie. Między uczennicami krążyła pogłoska, że Bronia nieszczęśliwie kochała się w Gewercu, jego jednak bardziej interesowała Mania, charakteryzująca się dużą energią i miłością do życia. Bronia zawsze robiła wrażenie przygnębionej i apatycznej. Kiedy Borawska ciężko zachorowała na oczy i potem zmarła, kierownictwo przejęła Mania. Miało to miejsce po moim ukończeniu szkoły.

Domy, w których mieściły się szkoły, były zupełnie nie dostosowane do ich potrzeb i zadań. Stały ciasno przy jezdni, gdzie zawsze panował szum i ruch, który przeszkadzał w nauce. Poza tym na wyższych piętrach mieszkało wielu lokatorów. Nierzadko podczas mycia podłóg u lokatorów woda kapiała na głowy dzieci, zalewając ławki. O żadnej wentylacji czy elektrycznym oświetleniu nie było mowy. Klasę oświetlała lampa naftowa, która swoim słabym ogieńkiem nie wszędzie docierała, a na domiar złego często kopciała, wydając nieprzyjemny zapach. Klasy, choć były duże i przeznaczone dla 20-25 uczniów, musiały pomieścić 40-50. W ławkach siedziało więc po czworo, a nawet pięcioro dzieci. Niemożliwością było siedzieć wygodnie i wygodnie czytać lub pisać.

Kolejną niedogodnością, a właściwie mordęgą, była szatnia na wierzchnią odzież. Liczba wieszaków była bowiem niewspółmierna do potrzeb. Palta kładłyśmy z konieczności jedne na drugich na podłodze. Urastała z nich codziennie cała góra. Po lekcjach czekała nas ciężka praca, by spod tej góry wydobyć własną odzież. Nierzadko dochodziło do bójek między zdenerwowanymi dziećmi. Szczególnie sytuacja ta dawała się we

znaki zimą, kiedy każdy musiał się cieplej ubierać. Znalezienie płaszcza trwało wtedy bardzo długo i prowadziło nieraz do konfliktów z woźną o imieniu Mała, która nie należała do zbyt przyjemnych ludzi. Dla niej, starszej kobiety, nie było rzeczą łatwą wysiadywać w małym, przepelnionym po brzegi odzieżą pokoju, w odpowiednim czasie sygnalizować dzwonkiem paury i lekcje, i po zajęciach sprzątać wszystkie pokoje dla następnej szkoły — uczono się bowiem na dwie zmiany. Poza tym zawsze była zagrożona utratą pracy, gdyby jakiś inspektor podczas kontroli ocenił negatywnie jej sprzątanie.

Dniom wizytacji szkoły przez inspektora Powtaka towarzyszył strach oraz napięcie wśród uczniów i nauczycieli. Nigdy nikt nie wiedział, czym skończą się jego wizyty, czy oceni pozytywnie umiejętności dzieci i nauczycieli. Nie wiedzieliśmy też nigdy, kiedy przybędzie i jak długo będzie trwała jego hospitacja. Po zakończeniu pobytu wszyscy oddychali z ulgą. Nauczyciele czekali jednak na jego „wyrok”. Od niego przecież zależało, czy nauczyciel będzie mógł nadal wykonywać swój zawód.

Innym utrapieniem były też wizytacje komisji higienicznej. Większość dzieci w mojej szkole pochodziła z biednych rodzin. Nie stać ich więc było na przestrzeganie odpowiedniej czystości. Wielu mieszkało w ogromnej ciasnocie, nierzadko w suterenie, bez wody, gdzie o łazience nikomu się nawet nie śniło. Nikt nie posiadał też dość bielizny i ubrania na zmianę. Pranie bielizny w prymitywnych warunkach było męką. Wymagało noszenia wody z daleka, gotowanie zaś bielizny zamieniało jedyny nieraz pokój w łaźnię parową, gdzie trudno było oddychać. Bieliznę wieszano się w domu na sznurkach, które wędrowały między mieszkańcami. W tych warunkach higiena była bardzo daleka od wymogów. I dlatego odwiedziny komisji były tragicznym przeżyciem dla dzieci. A te, które komisja oceniła jako brudne, musiały poddawać się przymusowej kąpieli; ich odzież oddawano do dezynfekcji. Kąpielisko znajdowało się przy Unickiej, po drodze do tzw. Nowego

Cmentarza. Dzieci wyznaczone do kąpeli przeżywały ogromny wstyd, nierzadko stając się pośmiewiskiem dla pozostałych. Pomoc udzielana dzieciom zamieniała się w tortury. Podobną rolę odgrywało dożywianie. Do uczniów, którzy mieli prawo do otrzymywania raz dziennie bułki i szklanki mleka, przylgnęło przezwisko „żebracy”. Atmosfera dokoła nich była nie do zniesienia.

Nauka w szkole była obowiązkowa, ale mimo to nie wszystkie dzieci mogły ukończyć siedem klas. Niektórzy rodzice musieli korzystać z ich pomocy przy sprzedaży grochu lub babek jęczmiennych, inni przy wykonywaniu rzemiosła. Sama nauka była też bezpłatna, ale i tak wiązało się to z za dużymi dla większości wydatkami. Dziewczeta musiały nosić obowiązkowe mundurki, granatowe z białymi kołnierzykami, i czarne fartuchy z alpagi, w późniejszych latach fartuchy z satyny szyte jako sukienki z białymi kołnierzykami. Chłopców obowiązywał granatowy garnitur z wypustkami, różnymi w różnych szkołach, i odpowiednia czapka. Każdemu potrzebne były książki, przybory do pisania, bloki do rysunków, kredki i farby. Wszystko razem przekraczało możliwości wielu rodzin. Niemało łez przelewali rodzice uczniów przy zakupach tych wymienionych i koniecznych akcesoriów. Kłopoty te towarzyszyły przez cały rok. Ludzie nie mieli żadnych możliwości, by wyposażyć we wszystko swoje dzieci. Każdy ołówek, każdy zeszyt był problemem. Szczęśliwi posiadacze tych „skarbów” czuli się jak królowie wobec tych, którzy zmuszeni byli pożyczać. Nierzadkie były wypadki, że z powodu braku pióra lub zeszytu uczniowie nie mogli odrobić zadanych lekcji i byli wyrzucani z klasy, albo karani stanieniem w kącie. Po lekcjach niejeden z nich musiał rozpoczynać wędrówkę do kolegów, by pożyczyć konieczną do odrobienia lekcji książkę. Gdy wreszcie udawało im się książkę pożyczyć, bywali zbyt zmęczeni, by odrobić zadaną lekcję. Wielu rodziców załamywało się pod ciężarem tych kłopotów i zabierało przedwcześnie dzieci ze szkoły.

Dokoła bezpłatnej szkoły sfery zamożniejsze stworzyły negatywną opinię, wyrażając się o niej z ogromnym lekceważeniem. Już samą nazwę „Powszechna” wykorzystywano do wyrażenia swej pogardy. Znak S.P. (Szkoła Powszechna) na czapkach tłumaczyli złośliwie jako *Symche Parch*. Dzieci bronily się przed przewiskiem, chowając czapki na ulicy i wkładając je dopiero przed wejściem do szkoły, by uniknąć wymówek lub kary od nauczycieli za przekroczenie dyscypliny szkolnej.

Przez sześć lat nauki w powszechnej moim zmartwieniem był worek na przybory szkolne uszyty przez moją matkę. Worek był oczywistym dowodem przynależności do pogardzanych powszechniaków. Pierwszy worek był z kolorowego materiału; kiedy się podarł, miałam nadzieję, że dostanę normalny raniec*, względnie teczkę. Moja nadzieja pozostała w sferze marzeń — dostałam drugi worek, tym razem z czarnego aksamitu, który wyglądał trochę lepiej. Dopiero w siódmej klasie ojciec zdobył dla mnie czarną skórzaną teczkę, wyglądającą całkiem jak kupiona, ale była trochę mniejsza. Teczka ta podniosła mój prestiż wśród uczniów. Służyła mi przez długie lata i jako pamiątka po moim ojcu wędrowała ze mną po ZSRR w czasie wojny, razem ze mną wróciła do Polski, a potem zawędrowała do Szwecji.

W pierwszej klasie były razem ze mną dziewczynki w różnym wieku, różnica dochodziła do pięciu-sześciu lat. Przyczyną był brak szkół za czasów carskich. Po odzyskaniu niepodległości rząd polski wprowadził obowiązkową szkołę siedmioklasową. Rodzice posłali wtedy do pierwszej klasy nawet te dzieci, które przekroczyły wiek. Liczba uczniów w klasie dochodziła do pięćdziesięciu. Ciasnota była wielka, niełatwo było oddychać. Przeszkadzał też zapach ropy, którą smarowano podłogę. Ropa miała być środkiem dezynfekującym. Nie wiem tylko, czy rzeczywiście najlepszym. Zapach

* Raniec, tornister.

ropy był nieprzyjemny, a podłoga była zawsze czarna i robiła wrażenie brudnej.

Duża liczba dzieci w klasie sprzyjała tworzeniu się różnych grup i różnych przyjaźni czy kontaktów. Jedne utrzymywały się dłużej, inne szybko się rozpadały. Zawsze trapił nas zresztą dylemat natury moralnej. Nauczyciele zabraniali podpowiadać słabszym uczniom w czasie lekcji, nie pozwalali też przepisywać prac domowych i klasowych. Stosowanie tych zaleceń nie odpowiadało oczywiście opinii większości uczennic, które uważały, że są one przeciwne pojęciom solidarności i koleżeństwa. Dzieci codziennie były wystawiane na konflikt różnych ocen, a nie było rzeczą łatwą rozstrzygnięcie dylematu lojalności. W pierwszym wypadku groziły surowe kary, specjalnie ze strony Borawskiej — na przykład czwórka ze sprawowania mogła zdyskwalifikować ucznia jako kandydata do następnej klasy. W wypadku natomiast postępowania w myśl zaleceń nauczycieli, uczennica była narażona na izolację i na miano podlizywaczki.

Uczennice Szkoły Powszechnej

Jedną, z którą przyjaźniłam się przez pewien czas, była Brucha Gutharc, ciemnooka i ciemnowłosa dziewczynka o miłej twarzy, z dołeczkami na obu policzkach. Mieszkała na Cyruliczej 3 w domu Fajgele, córki Abrama Lejzera, do którego można było wchodzić od strony Kowalskiej 4. W podwórzu zatrzymywały się chłopskie furmanki, z których gospodarze wiejscy sprzedawali mąkę, mleko, ser lub jajka. Tam kobiety żydowskie starały się kupować potrzebne produkty po niższej cenie. W mieszkaniu u Bruchy nigdy nie byłam; domyślałam się, że wstydziła się swojej biedy. Należała do tej grupy, która korzystała z dożywiania i kąpieli na Unickiej. Ojca wtedy już nie miała, zmarł albo zginął w czasie

pierwszej wojny światowej. Pozostała jej matka i prawdopodobnie starszy brat.

Przyjaźń nasza nie trwała długo — przyczyny jednak nie pamiętam. Odnosiłam zawsze wrażenie, że jest ode mnie znacznie starsza, choć byliśmy rówieśnicami. Może ciężka sytuacja w domu uczyniła ją przedwcześnie dojrzałą. Zapamiętałam jeszcze jeden szczegół — Borawska zmieniła jej imię z Bruchy na Bronię, a moje z Rojzy na Różę. Nowymi imionami opatrzyła nasze wszystkie zeszyty i książki.

Kolejną moją przyjaciółką była Goldberżanka, którą pamiętam jako bardzo zdolną matematyczkę, z łatwością rozwiązującą zadania Borawskiej. Nauczycielka skupiła wszystkie uczennice odznaczające się dobrymi wiadomościami z tego przedmiotu na ostatnich ławkach, wzdłuż ściany prowadzącej do kancelarii i pokoju nauczycielskiego równocześnie. Wspólna ławka zbliżyła nas. Goldberżanka miała wtedy prawdopodobnie trzynaście-czternaście lat i była dobrze rozwinięta fizycznie. W towarzystwie siedmiolatek czuła się jak ich starsza siostra. Przy Lubartowskiej 1, gdzie mieszkała, byłam częstym gościem. Ich siedzibą była drewniana przybudówka w podwórzu, oparta o ścianę murowanego domu. Składała się z jednego pokoju i przedsionka. Naszą przyjaźń zakończył jej wyjazd do Palestyny.

Następną moją koleżanką była Hinda Gajerman. Miała rude kędzierzawe włosy i niebieskie, zawsze śmiejące się oczy. Mieszkała niedaleko od nas, przy ulicy Probstwo, w pierwszym domu tej niewielkiej uliczki. Było tam zawsze ładnie i czysto, a dbały o to obie siostry, Hinda była młodszą. Ukończyła Szkołę Powszechną i należała do szczęśliwych, które wkrótce potem dostały pracę. Wiele dziewcząt zazdrościło jej — miała zatrudnienie i mogła się lepiej ubierać. Hinda wyrosła na bardzo ładną dziewczynę. Ze swoim uśmiechem na ustach budziła sympatię u ludzi. Nasza przyjaźń nie trwała długo. Ona zaczęła wcześniej pracować i usamodzielniała się, mnie udało się kontynuować naukę.

Dzieci, które przyjaźniły się ze sobą, zawsze chodziły razem do i ze szkoły, odrabiały razem lekcje i korzystały wspólnie z posiadanych książek. Było to rzeczą naturalną, że dzieci z Lubartowskiej 21 zbliżyły się do siebie. Cyrla-Cesia Holzhe-
kier, Sara Grynberg, Leja Kaferman i jej siostra Pipa (po
zrównaniu się z nami, repetując klasę) razem ze mną stworzyły
grupę, która zjednoczyła wszystkie cztery piętra. We wcześniej-
szych latach, kiedy sytuacja materialna mieszkańców dwóch
niższych pięter była lepsza, nie wypadało im bawić się z
dziećmi z wyższych pięter. Stan ten zmienił się równocześnie z
pogorszeniem się dochodów. Wzrastająca bieda zrównała
wszystkich i umożliwiła przyjaźń.

Wielu zmartwień przysparzała nam Cyrla. Rodzice obar-
czyli ją ciężarem sprzątanania i gotowania dla całej rodziny.
Spełniała rolę służącej. Musiała obsługiwać wszystkich człon-
ków licznej rodziny i wypełniać wszystkie ich żądania. Dużo
pracy dla siebie wymagała jej najstarsza siostra Fela, która
uczęszczała do gimnazjum i była z tego tytułu wyróżniana
przez wszystkich. Szczególnie dało się to odczuć, kiedy zaczęli
do niej przychodzić chłopcy. Stało się wtedy zwyczajem, że do
jej dyspozycji oddawano największy i najładniejszy pokój.
Miała prawo go zamykać, gdy przychodziły do niej koleżanki i
koledzy. Nikt z rodziny nie miał wtedy do niej dostępu.

Po pobycie w Otwocku Fela wróciła z wiadomością, że
bardzo zainteresował się nią jakiś warszawski student. Rzeczy-
wiście, po pewnym czasie zaczął przyjeżdżać do niej przystoj-
ny blondyn. O mało wtedy nie zmieniłam swojego ideału urody
chłopca. Po zobaczeniu gościa doszłam do wniosku, że i
blondyni mogą się podobać. Podczas tych wizyt zniknął z
horyzontu drugi jej kolega — Dawid Giewerc. Wracał jed-
nak zawsze „na posterunek”, gdy gość opuszczał Lublin i
systematycznie przychodził każdego dnia. Wyglądem zewnętr-
nym Dawid nie mógł równać się z warszawianinem, ale był
bardzo zdolnym młodym człowiekiem, jednym z najlepszych
uczniów i abiturientów Humanistycznego Gimnazjum, a po

ukończeniu prawa, jednym z najzdolniejszych adwokatów. Został też pretendentem do ręki Fajgele-Feli po śmierci na gruźlicę znajomego z Otwocka.

Drugą siostrą, która w miarę wzrostu jej roli w jatce, gdzie rodzice sprzedawali mięso, zyskiwała coraz większe prawa do usług Cesi, była Gucia. Naukę w szkole przerwała w szóstej klasie i prawie zupełnie przejęła kierownictwo w jatce. Jako dla zarabiającej usankcjonowane zostały jej prawa do korzystania z usług Cesi, która siłą rzeczy zaczęła zaniedbywać naukę. Według zasad pojętej w grupie solidarności i ja zostałam zmuszona do zaniechania odrabiania lekcji i opuszczania szkoły.

Cesia z powodu swojej ciężkiej pracy w wieku dwudziestu lat wyglądała na trzydzieści parę. Straciła prawie wszystkie ładne zęby, ponieważ rodzice nie posyłali jej do dentysty. Nigdy nie dostawała porządniejszego ubrania. Dla Feli musiało być, dla Guci również, dla Cesi nigdy nie starczyło. W ostatnich latach przed wojną próbowała wyzwolić się spod ciężkiego rodzinnego kieratu i poszukała sobie pracy u jakiejś rodziny na Wieniawskiej. Mówiła, że ma tylko zajmować się dziećmi, ale faktycznie do jej obowiązków należała praca w całym gospodarstwie. Sytuacja Cesi polepszyła się jednak o tyle, że oprócz jedzenia dostawała jeszcze pewną zapłatę.

Inna moja koleżanka — Leja Kaferman była zdolną, chętnie pomagającą innym dziewczyną, ale twarz jej nie przyciągała ludzi z powodu ostrych rysów i wysuniętego trochę do przodu podbródka, który nadawał jej wyglądowi zacięty wyraz. Siostra Lei była jej kontrastem — pulchniutka, zawsze w dobrym humorze, nie miała jednak zbyt „tęgiej” głowy do nauki.

Wszystkie dzieci z Lubartowskiej 21 odrabiały lekcje w domu Sary Grynberg, gdzie znajdował się pokój specjalnie przeznaczony na ten cel. Było to życzeniem matki Sary, której nie wypadało, żeby córka chodziła do mnie na czwarte piętro, albo do Cyrli na trzecie, tym bardziej, że jej ojciec lubił

zaglądać do kieliszka (niezwykły nawyk w „naszym” domu). Przewali go z tego powodu Icze Walenty. Ale istniała i druga przyczyna zbierania się u Sary. Jej siostra mianowicie miała za sobą kilka lat gimnazjalnych i czasami nam pomagała. Wiedziałyśmy, że zależało jej na udzielaniu pomocy Sarze, której czasem pisała nawet wypracowania z polskiego, chciała też, by Sara wyróżniała się jako najlepsza w grupie.

Wśród uczennic, które chodziły ze mną do szkoły podstawowej, zapamiętałam trzy spokrewnione Szternówny. Z jedną z nich, Maszą, przyjaźniłam się przez wiele lat. Mieszkała w tym samym domu, gdzie znajdowała się szkoła. Pochodziła z wielodzietnej rodziny. Była dziewczyną bardzo wrażliwą, wymagającą szczególnej uwagi i ciepła, ale o ile pamiętam, nigdy nie miano dla niej czasu. A Masza była nieszczęśliwa z powodu kompleksu tęgich nóg, obiektu kpin dzieci. Nie pomagały zdolności i zapał do nauki. Z jej imieniem zawsze łączyły uczennice przezwisko: „stołowe nogi”. Rodzice, którzy uchodzili za skąpych, nie rozumieli potrzeb i kompleksów Maszy. Obawiali się, że nie wyjdzie za mąż i zawsze pozostanie na ich utrzymaniu. Marzeniem Maszy było pójść po ukończeniu gimnazjum na wyższe studia. W ten sposób chciała prawdopodobnie zrekompensować swoje „braki” w wyglądzie. Rodzice jednak nie zgodzili się. Zrozpaczona Masza postanowiła zakończyć życie.

Pewnego dnia jak bomba gruchnęła wśród koleżanek wieść, że Masza usiłowała popełnić samobójstwo wypijając dużą dawkę kwasu solnego. W nas jakby piorun uderzył. Czułyśmy się współwinne. Wyrzuty czyniły sobie przede wszystkim te, które śmiały się z jej nóg. Nie był to pierwszy wypadek, poprzednio Masza wstrząsnęła nami wbijając sobie igłę w palec u prawej ręki. Nie wiem, czy igłę udało się usunąć, ale palec pozostał sztywny. Możliwe, że tym krokiem chciała zwrócić uwagę swoich rodziców i uzyskać od nich trochę więcej ciepła. Może też miała nadzieję, że zmieni stosunek dzieci do siebie. Kiedy wróciła do szkoły po dłuższej nieobecności, dała się

zauważyć poprawa w ich zachowaniu. Uważały ją nawet trochę za bohaterkę, która zdobyła się na tak „odważny” krok. Próba samobójstwa wpłynęła też na decyzję rodziców posłania jej do gimnazjum, a potem na studia do Belgii. Spełniły się marzenia, ale lekkiego życia Masza w Belgii nie miała — pomoc z domu przychodziła nieregularnie i była niedostateczna. Kiedy Masza przyjeżdżała na wakacje do Lublina, unikała swoich koleżanek, robiła też wrażenie wytrąconej trochę z równowagi.

W tej samej klasie były z nami dwie kuzynki Maszy: Lola i Nechama. Lola zaliczała się do najzdolniejszych. Borawska wyróżniała ją i radziła kontynuować naukę. Loli jednak z powodu złych warunków materialnych nie udało się pójść do szkoły średniej. Była bardzo życzliwą i dobrą dziewczyną. Jej małe oczy zawsze uśmiechały się do każdego przyjaźnie. Mimo że nauczycielka uważała ją za wybitnie zdolną, nigdy nie zadzierała nosa, przeciwnie, do wszystkich odnosiła się jednako mile.

Nechama nie była tak zdolną jak Lola. Wszyscy lubili ją za przyjemny wygląd, za wielkie, czarne oczy i zrównoważony sposób bycia.

Dzięki Loli i Nechamie poznałam Drugą Wołę — Kalinowszczyznę. W soboty albo inne dni wolne od nauki chodziłam do nich. Spacerowałyśmy wtedy po najbliższych łąkach i sadzie. Lola ze swoją dużą rodziną mieszkała w pokoju, który kiedyś był sklepem. Żadnych zmian nie wprowadzono; jeśli dobrze pamiętam okna nie było, a światło wpadało przez oszkloną górną połowę drzwi wejściowych. Przez te drzwi wyglądała Lola, oczekując mojego przybycia. Do mieszkania wchodziłyśmy rzadko, chętniej natomiast korzystaliśmy ze świeżego powietrza i biegania dookoła, a ja poznawałam nową dla mnie dzielnicę miasta. O tym, gdzie mieszkała Nechama, nie wiedziałyśmy; do domu do niej nie chodziłyśmy.

W klasie była też uczennica o nazwisku Sztajn. Pamiętam doskonale jej szeroką twarz o trochę mongolskich oczach, w

których czaił się jakiś szelmowski uśmieszek. Była i Diamentówna, która wyróżniała się swoim częstym płaczem, trwającym godzinami. Borawska niezbyt się tym przejmowała.

Inna dziewczynka, Brafmanówna, „wsławiła się” częstym mdleniem. Borawska na początku bardzo się tym denerwowała i poświęcała jej dużo czasu. Wkrótce jednak zaczęła podejrzewać, że Brafmanówna symuluje, bo zbyt częste omdlewanie łączyło się w czasie z nie odrobionymi lekcjami domowymi lub klasówkami. Nie wiem, czy dziewczynka rzeczywiście symulowała, czy też była chora. Siedem klas ukończyła, potem wstąpiła do organizacji nabożnych dziewcząt, zwanej Bnos Jakow, która znajdowała się w domu Szyfera, przy ulicy Lubartowskiej 22.

Hamermanówna mieszkała na Sierociej, uliczce prostopadłej do Bonifraterskiej (dziś Biernackiego). Dziewczynka ta wyróżniała się swoją pedantyczną czystością i zdolnościami do rysunku i malowania. W czasie, gdy jej siostrzeniec, student medycyny, Zygielwaks zastępował Borawską, jej rola w klasie nagle wzrosła, nagle zaawansowała ona do „lepszych”. W imię sprawiedliwości warto zaznaczyć, że Zygielwaks starał się traktować ją na równi z innymi. Niektóre dzieci uważały jednak, że Hamermanówna stała się ważną osobą i zaczęły zabiegać o jej względy. Dla mnie była godna zazdrości z powodu jej zdolności do rysunku, których brak odczuwałam dotkliwie i co było powodem wielu moich zmartwień.

Engelsberżanka i Turkieltaubówna mieszkały natomiast w tym samym domu przy Bonifraterskiej. Podwórze było tam bardzo duże, mogły więc mijać tygodnie, a nawet miesiące, a mieszkający nie spotykali się. Dlatego i wymienione uczennice nie zbliżyły się do siebie, choć chodziły do tej samej klasy. Być może dzieliła je też sytuacja ich rodzin. Pierwsza pochodziła z dość zamożnego domu, druga z biednego, gdzie za punkt honoru uważano ukrycie swojej sytuacji. Najbardziej zależało na tym starszej siostrze, która nosiła się zawsze z pewną elegancją. Taką samą cechą zewnętrzną odznaczała się nasza

koleżanka, zawsze pouczana i musztrowana przez siostrę. U Turkieltaubówien raziło mnie, że wszystko musiało być „jak powinno być”. Ta cecha spowodowała oddalenie i unikanie towarzystwa koleżanki. Prawdę powiedziawszy, trudno było jej coś zarzucić, ale osoba jej stwarzała napiętą atmosferę. Z nikim nie przyjaźniła się. Z Engelsberżanką spotkała się u mnie w domu, dokąd obie przychodziły.

Szejwa Funt i Sara Macharowska pojawiły się po likwidacji równoległej pierwszej klasy, prowadzonej przez Wajcenblitówną. Szejwa była córką urzędnika pracującego u właściciela niewielkiego banku. Kiedy zaprzyjaźniłam się z nią, ich sytuacja ekonomiczna była dobra — mieli kilkupokojowe mieszkanie, w którym znajdował się też fortepian, instrument niezbyt często spotykany w żydowskich domach. Ojciec, choć chasyd, miał „otwarte” i chętnie do korzystania z życia oczy. Próbował nieraz ukraść pocałunek od koleżanek córki. Żona, niezbyt ładna, słaba kobieta, młodo umarła. Dawid, ojciec Szejwy, choć miał dwóch dorosłych synów i dwie córki, długo nie czekając, ożenił się po raz wtóry z młodą i ładną kobietą. Od tego czasu sytuacja Szejwy zmieniła się radykalnie. Zaczynało brakować dla niej miejsca w domu. Jej matka zawsze czuwała, by dzieciom niczego nie brakowało, a Szejwa zaliczała się wtedy do szczęśliwych w klasie. Od początku nauki wiedziała, że jeśli zda egzamin po ukończeniu Szkoły Powszechnej, znajdzie się w gimnazjum. Uczyła się też gry na fortepianie u nauczyciela muzyki.

Szejwa po Powszechnej została uczennicą ekskluzywnej szkoły Heleny Czarneckiej, gdzie miały wstęp tylko zamożniejsze dzieci. Potem wyjechała do Warszawy, gdzie studiowała romanistykę. Chciała zostać nauczycielką języka francuskiego. Niestety, najbliższe lata nie były pomyślne dla Żydów. Do szkół państwowych przestano przyjmować nauczycieli żydowskich, nawet w „żydowskich” powszechnych zaczęto zatrudniać prawie wyłącznie Polaków. Nie lepiej było w szkołach prywatnych. Istniejące w Lublinie dwa gimnazja żydowskie nie

dysponowały wolnymi miejscami, a ich istnienie było stale zagrożone. Szejwie pozostało tylko jedno — zamążpójście. Kiedy zjawił się kandydat starszy od niej, nie odtrąciła go. Był synem właściciela młyna w Chełmie. Jemu prawdopodobnie zaimponowała jej młodość, dyplom ukończenia romanistyki i umiejętność gry na fortepianie, które dodatkowo otwierały mu drzwi w lepszych sferach. Jej zaimponowało prawdopodobnie jego bogactwo i szeroki gest. Ślub odbył się dość szybko.

Do tak prędkiej decyzji niewątpliwie przyczynił się kompleks nóg Szejwy. W przeciwieństwie do wspomnianej już tu Maszy, Szejwa miała nieproporcjonalnie chude nogi. Między sobą żartowałyśmy, że powinnyśmy zmieszać razem ich nogi i potem podzielić na równe części — obie pozbyłyby się swoich „wad”. Dla koleżanek był to przedmiot żartów, dla Szejwy zbolewały problem. Bała się, że z powodu nóg żaden chłopak nie zainteresuje się nią. Dlatego szybko skorzystała z okazji. Reakcja koleżanek była różna. Jedne ją potępiały, uważając ten krok za niemoralny — sprzedała się za pieniądze, inne ją usprawiedliwiały. Rolnik był eleganckim, sympatycznym i ładnym mężczyzną, który mógł sprawiać przyjemności — zaprowadzić do eleganckiego lokalu, do kina czy teatru. Były i takie, które jej po prostu zazdrościły. Moja przyjaźń z Szejwą przetrwała długie lata.

Po wojnie opowiedziano mi, że Szejwa ze względu na męża nie chciała próbować szans uratowania się w czasie okupacji. Mając aryjski wygląd, znając język polski i posiadając pieniądze miała pewne możliwości uratowania się, ona jednak do ostatniej chwili nie opuściła swego męża.

Wojnę w Polsce po stronie aryjskiej przeżyła Sara Macharowska, z którą wiązała mnie długoletnia przyjaźń, począwszy od pierwszej klasy szkoły powszechnej poprzez lata w gimnazjum. I do dnia dzisiejszego, choć los rzucił mnie do Szwecji, ją do Argentyny — nie zerwałyśmy kontaktu.

Droga życiowa Sary była jednym pasmem ciężkich trosk i zmartwień. Mieszkała na Krawieckiej, ulicy największej nędzy

żydowskiej. Jej ojciec „handlował” atramentem, a faktycznie proszkiem do robienia atramentu. Kupował pewną jego ilość, wsypywał go do małych torebeczek i wędrował od domu do domu, proponując „towa”. Dzień, w którym nie udało mu się dokonać „transakcji”, był dniem dosłownego postu dla rodziny.

Sytuacja taka trwała długie lata, aż dzieci podrosły i zaczęły trochę zarabiać. Najstarszy syn znalazł pracę w fabryce waty, młodszy w sklepie przyborów rymarskich. W domu zmieniło się na lepsze. Sara również starała się zarabiać, udzielając prawie od pierwszej klasy korepetycji — pomagała dzieciom w odrabianiu lekcji. Sara oddawała swoim podopiecznym wiele godzin każdego dnia, zawsze więcej, niż się im należało. Zamiast umówionej godziny, siedziała z nimi dwie i trzy. Po takich lekcjach wracała zmęczona i głodna. Siły, które potrzebne jej były do własnej nauki, oddawała innym, nierzadko bez wynagrodzenia. Jej punktualność i uczciwość w pracy czasem wykorzystywali rodzice tych dzieci.

Przy Lubartowskiej 30 lub 32 miała Sara jedną ze swoich korepetycji. Ojciec dziewczynki był krawcem. Sam był prawdopodobnie analfabetą, ale pragnął, by jego córka zdobyła jakieś wykształcenie. Jak mogę ocenić z perspektywy lat, dziewczynka nie wykazywała żadnych chęci do nauki, była trochę niedorozwinięta psychicznie. Wszystkie wysiłki Sary spełzały na niczym. Wysiadywała z nią godzinami, czując, że jej praca jest bezowocna. Po takiej lekcji wracała straszliwie zmęczona i przygnębiona. Mimo swojej ciężkiej harówki i poświęcenia, wynagrodzenie dostawała z wielkim opóźnieniem, czasami drobnymi ratami, w końcu krawiec w ogóle przestał jej płacić.

Mimo nędzy i głodu Sara ukończyła Szkołę Powszechną i razem z kilkoma innymi z naszej klasy dostała się do gimnazjum. Tutaj otrzymała wprawdzie dużą ulgę w opłacie, ale czesne, choć obniżone, było dla niej nowym ciężarem. Nauka w gimnazjum wymagała większej pracy własnej, tymczasem ona musiała powiększyć liczbę godzin na korepetycje, ponieważ z domu nie mogła oczekiwać żadnej pomocy.

Rodzinie przybyło jeszcze jedno dziecko, lecz z powodu ciężkiej nędzy okazało się ono fizycznie i psychicznie niedorozwinięte. Dziewczynka przez wiele lat nie umiała nawet siedzieć, nie mówiąc o chodzeniu lub mówieniu. Matka darzyła nieszczęsne stworzenie nieograniczoną miłością i cierpliwością. Z nadzieją w oczach pytała mnie często, czy nie widzę poprawy. By sprawić jej przyjemność, zapewniałam ją, że widzę postępy i z pewnością z biegiem lat dziewczynka wyrośnie z tego stanu. Matka zawsze witała mnie uśmiechem. Promieniowała ciepłem. Z cierpliwością przypatrywała się, kiedy jej młodszy syn usiłował Sarę i mnie nauczyć tańczyć. Zazwyczaj razem z synem przyspiewywała do tańca naszej trójce. Jej miły i przyjemny uśmiech witał mnie zawsze, gdy odwiedzałam ją w czasie studiów Sary w Warszawie.

Zanim Sarę i mnie złączyła głęboka przyjaźń, byłam przyjaciółką Rochmy Rapaport (Romy, jak przemianowała ją Borawska). Znałam ją od dawna, mieszkała przy Grodzkiej 16, dokąd przychodziłam do mego wuja, który tam mieszkał z pierwszą żoną. Rochmę widywałam też podczas odwiedzin u jej ciotki, zajmującej mieszkanie pod nami, o piętro niżej. Była wśród tych szczęśliwych, którym udało się dostać do gimnazjum. Jej starsza siostra ukończyła seminarium nauczycielskie i dostała pracę w swoim zawodzie. Wykształcenie zdobyła też młodsza siostra. Nie było to jednak częste zjawisko, by kilkoro dzieci z jednej rodziny mogło kontynuować naukę po szkole powszechnej.

Fruchtmanówna, córka właściciela sklepu z owocami przy Lubartowskiej 16, była również naszą wspólną koleżanką. Niewielkiego wzrostu, zaliczała się do ładnych dziewcząt w klasie. Do Lublina przyjechał jakiś młody człowiek z Ameryki. Wkrótce rozeszła się wieść, że się w niej zakochał. Miłość zakończyła się ślubem. Potem wyjechali do USA. Wiele dziewcząt jej zazdrościło. Długie lata koleżanki nic o niej nie wiedziały. W każdym razie uniknęła losu innych Żydów w Lublinie. Jej bratu udało się przeżyć okupację w Polsce. Po

wojnie otworzył owocarnię w tym samym miejscu, co rodzice. Po pewnym czasie wyemigrował również do USA. Od Sary Macharowskiej dowiedziałam się, że oboje mieszkają tam do dziś.

Tematem moich rozmów z koleżankami byli zawsze nauczyciele – chcę więc jeszcze wrócić do postaci Borawskiej. Przedstawiłam ją jako surową i wymagającą osobę, z której powodu dzieci żyły w ciągłym napięciu i strachu. Trudno ją jednak scharakteryzować jako złego człowieka. Zupełnie możliwe, że wyznaczyła sobie rolę bardzo surowej, żądającej od dzieci posłuszeństwa. Nie wykluczone też, że wierzyła, iż tylko w taki sposób może wpłynąć na nasze dobre postępy w nauce. Rzeczywiście większość uczniów przygotowywała się starannie do jej lekcji, mimo to – wywoływani do odpowiedzi – ze strachu wszystko zapominali. Wymagała na przykład Borawska doskonałej znajomości tabliczki mnożenia. Potrafiła godzinami męczyć nią dzieci, zaskakując znienacka pytaniami. Wszystkie wtedy siedziały cały czas w napięciu, nie wiedząc na kogo i kiedy nieszczęśliwy los padnie. Przechodziła szybko z jednego końca klasy na drugi, „rzucała” nazwisko albo wskazywała nagle ręką nieszczęśliwego delikwenta, który najmniej się tego spodziewał. Nigdy też nie pozostawiała czasu na pomyślenie.

Borawska starała się wpajać w dzieci miłość do zwierząt i ptaków. Opowiedziała nam raz historię o ptaszku ze złamanym skrzydełkiem, którym zaopiekowało się troskliwie jakieś dziecko i ptaszek wyzdrowiał... Tym dzieckiem okazała się ona sama. Opowiadaniem swoim chciała też dać dzieciom do zrozumienia, że pod surowością kryją się głębokie uczucia. Pewną zagadką jest dla mnie stosowanie przez tę nauczycielkę ostrych kar za mówienie po żydowsku. Może w jej przekonaniu zmiana nazwiska, używanie polskiej mowy i przejęcie polskich obyczajów miały pomóc dzieciom w życiu późniejszym. Faktem jest, że własne dzieci wychowywała w tym samym duchu. Były zupełnie zasymilowane. Można też

przypuszczać, że dokładnym wypełnieniem zarządzeń władz chciała zapewnić sobie lepszą pozycję i stałą pracę — utrzymywała przecież rodzinę.

Wzdłuż Lubartowskiej

Okolo 1917 roku mój wuj Szloma ożenił się po raz drugi. W drodze do niego musiałam przejść koło domu oznaczonego numerem trzydzieści, gdzie mieścił się komisariat policji, niechętny żydowskiej biedocie. Domu tego nie można było minąć bez uczucia strachu. Mój wuj z żoną i synem zajmowali jeden pokój z kuchnią przy Lubartowskiej 52. Jego druga żona była ładną, o kilka lat od niego młodszą kobietą, zawsze upiększającą życie. Ich małe mieszkanie było ładnie sprzątnięte i urządzone, a ona sama starała się być w miarę możliwości elegancka, mieć „lepsze maniere” i przestrzegać „odpowiedniej” etyki. Swoje imię zmieniła nawet z Cypy na Cesię i najchętniej rozmawiała w języku polskim. Jej syn musiał kobiety całować w rękę przy przywitaniu i pożegnaniu. Tego samego wymagała od mojego wuja. Całowanie w rękę stało się i dla mnie przyczyną kłopotu. Przy każdym spotkaniu oczekiwała tego ode mnie, na co ja nie miałam zbytnej ochoty. W moim domu takiego zwyczaju nie praktykowano, nie chciałam więc przyjąć nowego sposobu bycia. Zaczęłam uciekać z domu, gdy spodziewaliśmy się jej odwiedzin. Staralam się również omijać ją przy przypadkowym spotkaniu na ulicy.

Każdego dnia po obiedzie ciotka moja robiła dokładny makijaż, czesała się starannie i wkładała jakiś elegancki strój. Zimą paradowała w żakiecie z popielic, dziedzictwie po pierwszej żonie wuja. Popielicami według poprzedniej mody podbijano wierzch z jakiegoś czarnego materiału. Z popielic zrobiła sobie Cesia długie futro, a gdy się częściowo zniszczyło, przerobiła je na żakiet. Futro i żakiet miały kolor beżowy, a

dla mnie były oznaką największej elegancji. Taki strój nie zdobił zbyt często kobiet żydowskiej biedoty, zaś mojej ciotce dodawał specjalnego blasku i robił wrażenie, że wuj należał do lepiej sytuowanych. Jej żakiet i pelisa z karakułowym kołnierzem wuja przypominały czasy, kiedy dobrze prosperowała jego drukarnia. Teraz wskutek wzrastającej szybko konkurencji i działającego bojkotu żydowskich rzemieślników zamówienia stawały się rzadsze. Pewna krótka poprawa nastąpiła w drukarni w momencie, kiedy Heniek, syn wuja, zaczął mu pomagać. Lepiej znał język polski, mógł więc zastąpić korektora i zecera, z których pomocy wuj przedtem musiał korzystać. Zmniejszył się więc koszt prowadzenia drukarni. Pomocą był też jego wygląd — klienci nie od razu mogli rozpoznać w nim Żyda. Nazwisko Fernand, dobra polszczyzna i „dobry” wygląd dały rezultat. Długo ta „prosperity” nie trwała. W latach trzydziestych dochody z drukarni były minimalne.

W tym samym domu, na tym samym piętrze mieszkała czteroosobowa rodzina — rodzice i dwóch synów, którzy ukończyli żydowską powszechną szkołę dla chłopców. Byli moimi rówieśnikami. Rodzice ich handlowali rybami na targu zwanym Rybnym. Powodziło im się nie najgorzej.

W domu na rogu ulicy Lubartowskiej i Ruskiej mieszkali i prowadzili piekarnię Blizakowie. Wejście prowadziło od Ruskiej. Z tej rodziny pamiętam starsze siwowłose małżeństwo, od którego wzięła nazwę i dobrą sławę piekarnia jako jedna z najlepszych w okolicy. I rzeczywiście — chleb smakował znakomicie. Kiedy zaczęłam tam przychodzić, w piekarni pomagała starsza córka (nosiła chyba imię Perla), potem pojawił się jej mąż (był zupełnie łysy), którego wszyscy znali pod mianem Litwak. Litwak szybko zajął czołowe miejsce w rodzinie i stopniowo wszystkich usunął w cień. Nie lubiłam go; możliwe, że działało ogólne niechętnie nastawienie do „Litwaków”, do których Żydzi polscy nie czuli sympatii i nie

mieli do nich zaufania. Perla považala swojego męża, ale widać było, że się go trochę boi. Druga córka była kaleką od urodzenia, nie umiała chodzić ani mówić. Siedziała zawsze na krześle podobnym do tego, w którym siedzą niemowlaki. Miała już wtedy lat około dwudziestu. Obawiałam się jej z powodu dźwięku mruczenia i pomrukiwania, jaki wydawała. Możliwe, że w ten sposób nawiązywała kontakt z otoczeniem, nikt jednak nie chciał się nią zajmować. Robiła na mnie wrażenie dzikiego i niemego zwierzątka.

W domu przy Lubartowskiej znajdowała się apteka. Zapamiętałam tylko nazwisko jednego z dwóch właścicieli: Kotowski. W aptece tej wszyscy z okolicy kupowali swoje leki. Moja rodzina czasem tylko zaglądała do apteki, ponieważ rzadko korzystaliśmy z opieki lekarskiej. Musiało się już stać coś bardzo poważnego, abyśmy poszli do lekarza. Opłata za wizytę była zawsze zbyt wysoka dla biednej kieszeni. „Naszym” lekarzem, u którego czuliśmy się swobodniej, był doktor Cynberg. Mieszkał w Rynku, na prawo od Bramy Krakowskiej. Robił wrażenie człowieka z ludu, ale przede wszystkim mówił z pacjentem po żydowsku. Z receptą od Cynberga chodziłam do apteki Kotowskiego.

Kotowski, wysoki mężczyzna, o dużych wąsach, wzbudzał we mnie pewien rodzaj strachu. Długo zazwyczaj wystawałam pod drzwiami, zanim odważyłam się wejść. Apteka ta ze swoimi ciemnobrunatnymi szafami i szafkami, o białych guzikach-uchwytach, pełnymi butelek i buteleczek różnej wielkości, stała się dla mnie wzorem. Do dziś nie mogę się przyzwyczaić do apteki o innym wyglądzie.

Dom przy Lubartowskiej 29 nazywano domem Rotów. Z jednym z nich — Heńkiem Rotem, uczyłam się w Humanistycznym Gimnazjum. Przedtem o Rotach wiedziałam tylko tyle, że zaliczano ich do zamożnych rodzin. W domu tym mieszkał

też rabin zwany der Trysker rebe*. Przewisko to dotyczyło właściwie jego córek, gorszących niektóre środowiska swoimi modnymi strojami i towarzystwem, w którym znajdowali się Polacy. Jak wiadomo przebywanie z nie-Żydami było potępiane przez fanatyczne sfery żydowskie. „Przestępstwo” było tym większe, że popełnione przez córki rabina.

Pierwszy dom, w który uderzyła hitlerowska bomba, mieścił się przy Lubartowskiej 31 albo 33. W tym domu mieszkała znajoma mojej mamy, Sura-Łaja. Była bieliźniarką z zawodu i siostrą koleżanki mojej matki jeszcze z czasów wspólnej troski o mężów powołanych do armii carskiej w latach pierwszej wojny. Do mieszkania Sury prowadziły wysokie schody, które z trudem pokonywałam swoimi krótkimi dziecinnymi nogami. Kiedy zdyszane dostawałyśmy się nareszcie do jej jedyne go pokoju, musiałyśmy od razu usiąść. Ale i to nie było rzeczą prostą, bowiem w pokoju było bardzo ciasno. Stała tam maszyna do szycia, łóżko i dwa taborety, zawsze zarzucone białym płótnem. Kiedy matka i ja siadałyśmy na taboretach, dla Sury-Łaji pozostawało miejsce na łóżku. Pamiętam ją jako samotną, przedwcześnie owdowiałą kobietę. Nosila perukę, a usta były zupełnie bezzębne. Ona i moja matka miały zawsze sporo trosk do wzajemnego zwierzenia.

Charakterystyczną cechą ciasno zabudowanej ulicy Lubartowskiej był zupełny brak na niej zieleni. Miejscem, gdzie rosły nieliczne drzewa, był dziedziniec żydowskiego szpitala oraz sad naprzeciwko niego. Tu mieszkańcy Lubartowskiej i ulic sąsiednich szukali trochę wytchnienia. Sad ów miał wszystkiego kilkaset metrów kwadratowych, drzew nie było w nim też zbyt

* Rebe — tutaj przywódca duchowy i religijny grupy chasydów — jego zwolenników.

wiele, ale w okolicy pozbawionej zieleni był miejscem poszukiwanym. Gospodarz sadu wcale nie był zachwycony odwiedzającymi, zabronił nawet wchodzić, ale mimo to zawsze gromadziły się w nim kobiety z dziećmi, szukając trochę słońca albo schronienia w cieniu anemicznych drzewek.

Obraz ulicy Lubartowskiej byłby niepełny bez wymienienia tragarzy, którzy tworzyli charakterystyczny jej element. Stali oni zwykle grupami i czekali na klientów, którzy wynajęliby ich do dźwigania ogromnych ciężarów na długie dystanse. Pracę tę wykonywali tylko silni, barczyści mężczyźni. Żyły na ich rękach były zawsze nabrzmiałe jak postronki, a dłonie pełne odcisków. Tragarze byli solidarną grupą, zorganizowaną w związku zawodowym kierowanym przez Lajbla Lerera, znanego działacza bundowskiego. O nim opowiadano historię, za którą wielu ludzi go potępiło, a mianowicie, że zostawił żonę dla innej, młodszej kobiety. Z osobą Lerera wiąże się też wydarzenie, jakie miało miejsce podczas tzw. fołksfrontu, na wspólnym zebraniu bundowców i komunistów, na którym Fajwel Kamień z ramienia KPP zgłosił rezolucję. W momencie, gdy zebranych zaatakowała policja, Lerer, nie bez ryzyka, ukrył dokument, ratując Kamienia i wielu innych od ewentualnego wyroku długoletniego więzienia za przynależność do komunistycznej partii.

W roku 1920 jakaś grupa ze społecznego marginesu spróbowała zorganizować napad na Żydów z ulicy Lubartowskiej i sąsiadującej z nią Kowalskiej. Dzień ten pamiętam dokładnie. Stałam wtedy w mieszkaniu obok kołyski mojego brata, a matka moja z przerażeniem wyglądała oknem, wystrzegając się, by nie dostać kamieniem. Rozpacz i strach mieszkańców były tym większe, że nikt nie znał liczby napastników i nikt też nie wiedział, jaką bronią rozporządzali. Napastnicy nie zdołali przeprowadzić swojego zamiaru. W obronie mieszkańców stanęli tragarze pod przewodnictwem „Hojzebu”. Pomógł też wydatnie w samoobronie drugi siłacz, Mojsze-Josł Śpiewak, brat mojego sąsiada Chaima-Jankla.

Specyficznym elementem ulicy Lubartowskiej była jednak fabryka wag i odważników, należąca do Hessa. Zegar z wieży fabrycznej odmierzał czas całej okolicy i wyznaczał jej rytm. Syrena fabryczna natomiast kierowała dniem mieszkańców. Jednym oznajmiała czas rozpoczęcia pracy, innym czas modlitwy. Młodzieży szkolnej obwieszczała, że muszą spieszyć się do szkoły. Hessa znała cała ulica. Często można było go widzieć jadącego bryczką w towarzystwie swojej jasnowłosej córki.

W latach dwudziestych w fabryce wybuchł pożar, zagrażając innym domom. Paliła się kilka dni. Ludzie sądzili, że nadszedł koniec świata. Nikt nie mógł wyobrazić sobie Lubartowskiej bez fabryki, zegara wyznaczającego z wieży czas i fabrycznej syreny.

Choć zegar po pożarze pozostał na swoim miejscu, fabryka nigdy już nie odzyskała dawnej świetności. Przez pewien okres pracowała tylko jej część, w końcu zaprzestano produkcji. Na miejscu pozostał tylko właściciel ze swoją jasnowłosą córką, która budziła nadal ciekawość, pokazując się często ze swoim narzeczonym. W późniejszych latach część budynków zajęła fabryka muchołapek „Bengal”.

Piekarnia Trejglów pojawiła się nagle. Na początku nikt z mieszkańców nie miał odwagi przestąpić jej progu. Stopniowo zaczęli pojawiać się pierwsi klienci, od których dowiedziano się, że Trejglowie są bardzo uprzejmymi sprzedawcami, a ich pieczywo wyróżnia się doskonałym smakiem. W ten sposób Trejglowie zdobywali coraz więcej klientów i wkrótce stali się konkurentami żydowskich piekarzy.

Miała też Lubartowska swoje typy z półświatka. Motyka, lubelski Al-Capone, miał swoją „rezydencję” w domu oznaczonym numerem 23, albo na placu między Lubartowską a Ruską. Tam też wszystkie swoje interesy przeprowadzał przy pomocy nieodłącznego noża. Był postrachem mieszkańców całej okolicy. My, dzieci, omijałyśmy go z daleka, choć „obowiązkiem” było go znać. Miałam „szczęście” często go

widywać, ponieważ mieszkałam w domu sąsiadującym z miejscem jego „operacji”. Nie zawsze jednak dopisywało mu szczęście w „interesach” — został porżnięty tą samą bronią, którą zawsze wojował. Dostał nożem w brzuch, twarz i nogę. Przez kilka miesięcy musiał kurować się w szpitalu. Gdy wyszedł, kulał na jedną nogę i miał długą szramę na policzku. Opowiadano mi po wojnie, że Motyka podczas okupacji starał się jakoby pomagać Żydom. Dokładnie jego postępowania nie udało mi się ustalić.

Szpital żydowski

Szpital żydowski, nazywany wśród Żydów Hegdysz (przysłup dla biednych chorych), znajdował się przy końcu ulicy Lubartowskiej, za nim stał tylko jeden dom, którego właścicielami byli Szyfowie. Szpital był otoczony niskim murkiem. Na jego dziedziniec po obiedzie przychodziły biedne żydowskie kobiety, szukające dla siebie odpoczynku po całodziennych trudach. Tutaj dzieliły się „ostatnimi wiadomościami”, tutaj zwierzały się ze swoich kłopotów i trosk. Ich dzieci znajdowały towarzystwo do różnych gier i zabaw. Jedne bawiły się w „kliję”, inne żelaznym kółkiem, jeszcze inne piłką zrobioną ze szmat.

Przez wiele lat oglądałam szpital poprzez sztachety ogrodzenia. Z bliska przyjrzałam się jego wnętrzu, kiedy mój dziadek ciężko zachorował i znalazł się tam jako pacjent. W rozmowach moich rodziców i ich znajomych często słyszałam opinię, że jeżeli szpital istnieje, istnieją także cuda. Mówili chyba o tragicznych warunkach, w jakich leczono tam chorych. W szpitalu brakowało bowiem środków na medykamenty, na jedzenie dla chorych, na pensje dla lekarzy i niższego personelu: nigdy też nie dostawali oni swojej gaży w określo-

nym terminie. Szpital nigdy nie otrzymywał żadnych dotacji od państwa, ani władz komunalnych. Istniał dzięki funduszom otrzymywanym z gminy żydowskiej i datków osób prywatnych.

Odwiedzając mojego dziadka, obserwowałam życie toczące się w szpitalu — brakowało rzeczy najniezbędniejszych. Pacjenci rekrutowali się z najbiedniejszych warstw społeczeństwa żydowskiego i nie mogąc liczyć na pomoc z domu byli często głodni. Śmiertelność wśród nich była duża, ponieważ najczęściej przychodzili do szpitala wtedy, kiedy lekarz niewiele już mógł pomóc. Szczególnie duża była śmiertelność na oddziale chirurgicznym, którym kierował doktor Rozen. Cieszył się niezаслужenie nie najlepszą opinią. Przeprowadzane przez niego operacje zawodziły z powodu złego wyposażenia szpitala i okropnego stanu pacjenta, który najczęściej przychodził za późno. Obiektywne warunki przypisywano zatem brakowi kwalifikacji lekarza.

Wśród lekarzy szpitala znany był też doktor Mandelbaum, długoletni jego dyrektor, który w czasie niemieckiej okupacji znalazł się na Węgrzech i tam zmarł. O jego śmierci dowiedziałam się od żony Franciszki, która przeżyła okupację w klasztorze. Otwierając swój gabinet we własnym domu przy ulicy Bernardyńskiej 10 stał się Mandelbaum konkurentem Cynberga, po którym przejął stanowisko dyrektora szpitala. Z jego rodziny żyje córka, Krystyna Modrzewska, mieszkająca obecnie w Szwecji. W Polsce ukończyła dwa fakultety: medycynę i antropologię, i jest pracownikiem naukowym, prawdopodobnie w drugiej ze wspomnianych dziedzin. Opublikowała też kilka książek beletrystycznych. Syn doktora zmarł lub zginął podczas okupacji, żona zaś zmarła w Lublinie po wojnie, mając powyżej osiemdziesięciu lat.

Jeszywa

W latach dwudziestych, niedaleko szpitala, na rogu ulic Lubartowskiej i Unickiej zaczęto budowę wyższej uczelni religii żydowskiej (Jeszywa), w której mieli kształcić się młodzi

chłopcy z całego świata. Inicjatorem był ówczesny rabin — Szpiro. Na uroczystość położenia kamienia węgielnego zjechali chasydzi, rabini i wielu pobożnych Żydów z całego świata. Ulice wypełniły czarne kapoty, czapki sobolowe i białe pończochy galicyjskich Żydów. Wszyscy pragnęli uczestniczyć w niecodziennym święcie — powstaniu uczelni, która zdobyła w późniejszych latach ogromną sławę pod nazwą Jeszywas Chachmej Lublin (uczelnia mądrości). Dlaczego wybrano właśnie Lublin na siedzibę unikalnej w świecie uczelni — trudno mi powiedzieć. Możliwe, że działał autorytet rabina, będącego wielką osobistością i mądrym, wykształconym człowiekiem, nawet w znaczeniu laickim. Możliwe też, że Lublin został wybrany z powodu bogatej tradycji żydowskiej i środowiska liczącego kilkadziesiąt tysięcy osób. Wielu Żydów lubelskich ofiarowało pieniądze na Jeszywę. W mieszkaniach pojawiły się skarbonki, płynęły sumy od Żydów z całego świata. W ten sposób w mieście już i tak pełnym kontrastów, obok Katolickiego Uniwersytetu, wyrosła wyższa uczelnia religii żydowskiej. Na otwarcie zjechały się znowu tysiące Żydów z całego świata i ulice znów wypełniły się czarnymi kapotami, czapkami sobolowymi i białymi pończochami.

Lubelska Jeszywa była czymś nowym w świecie religijnym, a warunki dla studiujących były tu zupełnie inne, niż w dotychczasowych uczelniach tego rodzaju. Duże i jasne pokoje mieszkalne otrzymały nowoczesne urządzenia higieniczne. Doskonale wyposażone zostały sale wykładowe. Dobre warunki miały zachęcić młodych ludzi z bogatych domów do studiowania w Lublinie. Specjalną atrakcją był model zburzonej przed wiekami świątyni jerozolimskiej, wykonany prawdopodobnie ze szczerogo złota.

Jeszywas Chachmej Lublin była obiektem mojej ciekawości. I choć wstęp na nią kobiet był właściwie niemożliwy, udało mi się zwiedzić ją dzięki znajomości z synem Gedaliego (od śledzi), który uczył się muzyki u mojego dziadka. Nie bardzo wierzyłam w obietnicę tego rozpieszczonego jedynaka i ekscen-

trycznego młodzieńca, którego znałam z różnego rodzaju wybryków. Tym razem dotrzymał słowa i wprowadził mnie do Jeszywy, gdzie zobaczyłam obszerne sale, studentów i galerię, z której mogłam wszystkich obserwować. Dla nich moje pojawienie się w towarzystwie po świecku ubranego młodzieńca było czymś niezwykłym. Staliśmy się nawet obiektem ukradkowych spojrzeń. Jedne z nich wyrażały zdziwienie, inne oburzenie. Przez cały czas czułam się czymś w rodzaju intruza, albo nawet przestępcy. Wizyta w Jeszywie nie trwała długo, ale mnie wydała się niezwykłym snem.

Rektora Jeszywy, rabina Szpirego, miałam okazję spotkać kilka razy. Podczas świąt państwowych wygłaszał przemówienia do dzieci z czterech wymienionych szkół powszechnych. Dzieci polskie chodziły wtedy do kościoła, my gromadziliśmy się w synagodze i słuchali przemówień rabina.

Ogromnym przeżyciem był dla mnie pogrzeb rabina Szpirego. Obserwowałam go z balkonu Alterów, sąsiadów z czwartego piętra, bo tylko stamtąd mogłam widzieć dokładnie cały kondukt pogrzebowy. Przestrzeń od Bramy Krakowskiej aż do rogatki lubartowskiej była wypełniona uczestnikami uroczystości. Widok tak ogromnej masy ludzi zapierał oddech. Pierwszy i ostatni raz widziałam zgromadzonych na jednym miejscu tylu Żydów. Wśród tradycyjnych czarnych kapot gdzieś tam tylko bielili się pończochy galicyjskich Żydów lub sobolowa czapka.

Po wojnie odwiedziłam cmentarz żydowski. Niemcy zdemolowali go zupełnie, pozostało jednak mauzoleum rabina Szpirego.

Ruska

Na rogu ulicy Ruskiej i Targowej, naprzeciwko placu, gdzie zatrzymywały się chłopskie furmanki, mieścił się dom modlitwy (a *Besmedresz*) rzeźników. Tam modlił się mój ojciec.

Każdej soboty niewielki pokój na parterze wypełniał się po brzegi wiernymi. Każdy wkładał w te modły swoje troski i żale. Każdy robił to na swój sposób. Jedni prosili, drudzy starali się o względy Boga, inni z gniewem upominali się o „swoje”. Ci, którzy nie umieli czytać, układali własne teksty, prośby lub żądania. Pokój Besmedreszu miał około 20 metrów kwadratowych, ciasnota była więc ogromna i trudno było oddychać, ale modląc się nie zwracali na to uwagi zajęci staraniem, aby głos ich usłyszał Bóg i osiągnęli upragnioną pomoc.

Z Ruskiej 11 zapamiętałam zakład fryzjerski. Właścicielem był kaleki młody człowiek przezywany „Dus bekl” (policzek). Jakby dla ironii pracował u niego urodziwy Szama Grajer, który w czasie okupacji zrobił majątek na skazanych na śmierć mieszkańcach getta.

Z „Policzka” wszyscy się nabijali. Specjalne żarty i kawały dotyczyły jego zainteresowania ładnymi dziewczętami. Wmawiano mu więc, że wszystkie dziewczęta za nim szaleją, a on usiłował nawet umawiać się na randki. Autorami tych niewybrednych żartów były dzieci z okolicy.

Przy ulicy Ruskiej 13 spędzałam dużo czasu i dlatego jej okolica była mi dobrze znana. W domu tym miała sklepik-„sodówkę” i tam też mieszkała siostra mojego dziadka, Chumely, ze swoim mężem Berkiem i córką Rojzą, moją imienniczką. Obie prawdopodobnie otrzymałyśmy imiona po tej samej krewnej. We wcześniejszych latach rodzina Geldfarbów (takie było ich nazwisko) mieszkała w Warszawie, gdzie Berek handlował papierosami. Kiedy „interesy” się skończyły, Berek postanowił przenieść się do Lublina. I tu wynajęli pokój na parterze przy ulicy Ruskiej. W jednej części przedzielonego drewnianą ścianką pokoju urządzili sobie mieszkanie, a w drugiej „sodówkę”. Połączenie mieszkania ze sklepikiem miało

swoje dobre i złe strony. Byli wprawdzie zawsze pod ręką, na usługi groszowych kupujących, ale i nigdy nie mieli spokoju, nie mówiąc już o ciasnocie, w której zmuszeni byli się gnieździć. W części mieszkalnej zawsze było straszliwie duszno. Cierpiała z tego powodu cała trójka — ludzie chorzy. Berka nękała ciężka astma, której towarzyszyły częste ataki duszności. W późniejszych latach ratował się specjalnego rodzaju papierosami o nazwie „Astmosan”, łagodzącymi napady kaszlu.

„Sodówka” była źródłem utrzymania Geldfarbów. Wydzielona na ten cel część pokoju miała kształt małego prostokąta. Na ścianie naprzeciwko wejścia mieściło się kilka półek zastawionych pudełkami i puszkami z kilkoma rodzajami najtańszych cukierków. W puszkach przechowywano „landrynki”, które sprzedawano na wagę. Na lewo od drzwi stało kilka woreczków z pestkami z dyni lub słonecznika, czasami trochę włoskich orzechów, albo innych, w zależności od sezonu. Przy tej samej ścianie, lecz bliżej wyjścia, stał balon z wodą sodową. Balon umieszczony był w beczce i obłożony lodem z solą. Latem w drugiej beczce, także z lodem i solą, znajdowała się miedziana bańka z lodami. Balon z wodą obłożony lodem przywożono początkowo codziennie z fabryki Wajcenfelda, usytuowanej na ulicy Targowej, z wejściem od Lubartowskiej 21.

Właścicielami drugiego sklepu tego typu byli Wajcenfeldowie, handlujący w domu Szyferów. Sklep otwierali w soboty, co było powodem trwającego latami konfliktu, wygranego przez Wajcenfeldów, z rabinatem i pobożnymi Żydami. Lody robił Berl Goldfarb. Była to ciężka praca, polegająca na długim kręceniu w beczce z lodem i solą przygotowanej w bańce masy. Wymagało to wiele wysiłku, a sił z powodu astmy nie miał on zbyt wiele. Korzystać musiał więc z naszej — dzieci — pomocy, a ponieważ nigdy nie traktował nas zbyt

grzecznie, niezbyt łatwo przychodziło mu prosić o tę pomoc.

Gros klientów Berła stanowiły dzieci. Uważały go za złoźnika i człowieka złego. Osobiście znałam go z wielu momentów, kiedy potrafił być bardzo przyjazny dzieciom. Potrafił ciekawie opowiadać i wyjaśniać rzeczy dla nas nieznane i niezrozumiałe. Miał też duże poczucie humoru. Zapamiętałam ciekawy spacer z nim i jego córką po Ogrodzie Saskim. W „ciemnej alei” pokazał nam statuetkę, która w jego wersji miała przypominać szubienicę, miejsce straceń z czasów carskich. Nigdy nie udało mi się ustalić, ile prawdy było w jego opowiadaniu, choć czyniłam próby w latach późniejszych. Berł był w ogóle człowiekiem czytany i inteligentnym, ale kłopoty z utrzymaniem rodziny i ciężka choroba uczyniły go takim zgorzkniałym i złym.

O Chumele mówiono, że „nie ma żółci”, była jednak bardzo chora na gruźlicę płuc i z tego powodu często przerywała obsługę klientów, wycofując się do części mieszkalnej, czyli drugiej połowy pokoju. Chumele od czasu do czasu przychodziła do nas w odwiedzinach. Dla mnie i mojego rodzeństwa miała zawsze ze sobą jakieś łakocie ze swego sklepiku. Dary te musiała brać w tajemnicy przed mężem... on takich „słabości” nie uznawał. Dzięki darom zawsze oczekiwaliśmy jej wizyty. Kiedy dowiedzieliśmy się o jej ciężkiej zaraźliwej chorobie, stała się dla nas postrachem. Zaczęliśmy znikać z domu podczas jej wizyt. Jej stan zdrowia szybko się pogarszał, z dnia na dzień stawała się chudsza i chudsza. Pozostała z niej skóra i kości. Szybkimi krokami zbliżała się śmierć. Razem z mamą odwiedziłam ją w ostatnim dniu jej życia. Na łóżku leżała „wiązka” kości w sukience. Od wielu dni była nieprzytomna, ale kiedy weszliśmy do pokoju, spojrzała na nas niewidzącymi oczami i znów je zamknęła. Ciało jej znów leżało bez ruchu. Tego dnia umarła.

Jej córka Rojza, czyli Róża, była kilka lat starsza ode mnie. Nie zdradzała chęci do nauki i nie uczęszczała do szkoły, ale

nauczono ją czytać i pisać. Bardzo wcześnie zaczęła natomiast wykazywać zainteresowanie sprawami seksualnymi i próbowała uświadamiać inne dzieci. Udało jej się gdzieś zdobyć album ze zdjęciami pornograficznymi, które, zachowując specjalny rytuał, pokazywała nam podczas nieobecności rodziców. Takie okazje miała wyłącznie w okresie Rosz Haszana albo Jom Kipur, kiedy rodzice szli się modlić i w mieszkaniu pozostawiała ona jedna. Wtedy wpuszczaliśmy nas poprzez sklep do części mieszkalnej, zamykała okiennice i drzwi wejściowe. Po tych wszystkich krokach ostrożności wyjmowała z szafy pakiet zdjęć i po jednym pokazywała zebrany. Tajemniczość sytuacji połączona ze zdjęciami wywoływała taki stan napięcia, że bałyśmy się oddychać.

Inną atrakcją były natomiast czytane nam przez Różę fragmenty ukazujących się co tydzień seryjnych książek. Tytuły dwóch z nich zapamiętałam. Były to: *Jaskinia Lichtenwajsa* i *Henryk Lerman*. Gotówkę na zakup „lektury” zdobywała bez wiedzy rodziców, korzystając z kasy sklepu podczas obsługiwania klientów. Dzieci z niecierpliwością oczekiwały kolejnych odcinków cotygodniowych książek. W celu zdobycia popularności wśród dzieci Róża rozdzielala też bezpłatnie różne słodycze ze sklepiku. Przypuszczam, że jej hojność przyczyniła się do stopniowego spadku dochodów, a może w końcu do zupełnej ruiny sklepiku.

Wkrótce po śmierci Chumele Berł razem z córką (już wtedy również zarażoną gruźlicą) wyjechał do Warszawy. Róża pracowała tam u ciężko chorej siostry Nadzi Świątosławskiej. Berł musiał żyć z bardzo skromnych zarobków Róży, które nie wystarczały nawet na jego jedzenie (ona otrzymywała je w ramach zarobków). Wkrótce zmarł. Róża prawdopodobnie do wybuchu wojny pracowała u chorej. Jej marzeniem było wyjść za mąż za syna swojej chlebodawczyni. Kobieta owa podtrzymywała prawdopodobnie złudzenia Róży, chłopak jednak nie myślał o tym wcale. Z Nadzią łączyła Chumele przyjaźń. Obie dzieliły się swoimi kłopotami i troskami. Opowiadały sobie o

swoim ciężkim życiu z mężami, którzy je źle traktowali. Świętosławski całą złość za swoje niepowodzenie życiowe wylewał na głowę swojej potulnej żony. Gorycz Berła z powodu okropnej, bez wyjścia, sytuacji, skrupiała się na Chumele, która drżała przed nim. Z dwoma synami Świętosławskich bawiłam się jako dziecko. Po wybuchu wojny, opuszczając Warszawę, młodzi Świętosławscy uciekali do ZSRR. Przenocowali wtedy u nas. Przez Świętosławskich właśnie Róża dostała pracę u siostry Nadzi, która przed chorobą od czasu do czasu przyjeżdżała do Lublina. Wizyty te były dla Róży i dla mnie atrakcją. Szczególnie interesował nas syn — gimnazjalista w mundurku. Czekaliśmy, żeby się pokazał. Możliwe, że od tego czasu datowały się nadzieje mojej kuzynki związane z siostrzeńcem Nadzi.

W tym samym domu (Ruska 13) mieszkała kobieta nazywana „fryzjerką”. Robiła peruki i z tego utrzymywała trzyosobową rodzinę. Wiodło im się lepiej niż innym w okolicy. Możliwe, że właśnie z powodu lepszej sytuacji materialnej ich córka nie była mile widziana wśród dzieci sąsiadów, które dokuczały jej. Rzadko też pokazywała się na ulicy. Możliwe, że rodzice niechętnie widzieli ją w towarzystwie dzieci z okolicy.

Budynek przy Ruskiej 13 graniczył z dużym placem, prowadzącym bezpośrednio na Targ Rybny, zwany też żydowskim. Tam zatrzymywały się chłopskie furmanki z różnymi produktami, które chłopci sprzedawali po niższej cenie. Przywozili oni: kartofle, grzyby, owoce, drób i przetwory mleczne. Na tym placu znajdowały się, mówiąc z rosyjska, „kazionne ustępy”, jedyne tego typu urządzenia publiczne dla mieszkańców i przyjeżdżających chłopów. Kiedy nie było chłopskich furmanek, na placu gromadziły się okoliczne dzieci. Tam mogły bawić się bez przeszkód. Biegały, skakały, ile tylko dusza zapragnęła. Na tym placu „królowała” moja kuzynka

Róża Goldfarb, organizując różne zabawy dla dzieci. Wykorzystywała do tego celu schodki prowadzące do dwóch mieszkań od strony Targu. Sąsiedzi oczywiście stale protestowali z powodu ciągłego hałasu, ale protesty te niewiele pomagały. Na chwilę opuszczaliśmy „zagrożony” teren, ale wkrótce wracaliśmy znów i kontynuowali zabawę.

Na placu bliżej Targu Rybnego stał jednopiętrowy domek. Mieszkał w nim klient mojego ojca, szewc nazwiskiem Dylewski. Od czasu do czasu chodziłam tam razem z ojcem. Pamiętam, że nigdy nie potrafił swojej rodzinie zapewnić minimum egzystencji, mimo że — jak twierdził ojciec — był dobrym fachowcem i inteligentnym człowiekiem, warunki zaś czyniły go zupełnie bezradnym. W latach, kiedy mieszkał w Warszawie, pomógł mi nawet w opresji, gdy potrzebne mi było alibi. Zgodził się wtedy świadczyć, że mieszkałam u niego, gdyby policja chciała mnie zaaresztować za działalność polityczną w Lublinie. Sytuację Dylewskiego pogarszała chorująca żona, która przez długie lata leżała stale w łóżku. Dylewski więc musiał sam pracować, gotować, sprzątać, opiekować się dziećmi i obsługiwać chorą. Pracował dniem i nocą, ale niestety zarobki stale się kurczyły wobec codziennych potrzeb rodziny. W jedynym pozbawionym mebli pokoju, w którym stały dwa łóżka i warsztat, czyli stolik i specjalny taboret, było zawsze brudno i ciemno.

Niedaleko od Dylewskich mieszkała Polka, która pracowała jako sprzątaczką „kazionnych ustępów”. Otrzymywała minimalną pensję, z której musiała utrzymać siebie i dwie — jak pamiętam — zawsze smutne córki. Obie dostały się do seminarium nauczycielskiego, po którego ukończeniu zostały zatrudnione w szkole. Dziewczęta te jako jedyne znajome z Ruskiej spotkałam w Lublinie po wojnie. Oprócz nich spotkałam też syna dozorca z domu przy ulicy Ruskiej 18, gdzie mój ojciec miał swój warsztat. Nie chciał jednak przyznać się do znajomości. Z powodu nieudanej próby dowiedzenia się czegoś o mojej rodzinie nie śmiałam już pytać o to sióstr.

Przez podwórze, po prawej stronie placu, znajdowało się przejście do tzw. Kohens Besmedresz. Tam często, my, dzieci, kierowaliśmy nasze kroki. Interesowali nas chłopcy modlący się i uczący tam codziennie. Chłopców nie mniej interesowały nasze wizyty, ponieważ między nami znajdowały się dziewczęta, które przeszły już okres dojrzewania.

Naprzeciwko Ruskiej 13 znajdowała się piekarnia, której właścicielką była jakaś starsza kobieta. Kupowaliśmy tam czasami chleb, albo bułki, a przed świętem Pesach sami piekliśmy tam macę. Część kupujących przygotowywała wtedy ciasto, inni wałkowali, jeszcze inni przekłuwali mace specjalnymi „instrumentami”, by chronić je przed zbąbieniem. Przy piecu stali jeszcze inni, których zadaniem było pilnować, by mace nie przypalały się lub były na wpół surowe. Ciasnota podczas pieczenia macy była wielka, a klienci godzinami musieli oczekiwać swojej kolejki.

Gdy wreszcie nasza maca upiekła się, wkładaliśmy ją do przygotowanych poszewek od dużych poduszek i z radością zanosiliśmy macę do domu, oczekując z niecierpliwością chwili, gdy rodzice pozwolą ją jeść.

W piekarni zaopatrywaliśmy się także w pewną ilość mąki macowej, z której piekło się pierniki, robiło knedle i *chemslech* (rodzaj blinów) — ulubione świąteczne przysmaki.

W domu tym obok piekarni był jeszcze magiel, do którego nosiłam naszą bieliznę. Przy okazji pomagałam praczce, przechodząc różne stopnie „wtajemniczenia” jej pracy. Zaczęłam od podawania poszczególnych kawałków bielizny do zawijania w wałki przy pomocy specjalnych maglowników — prześcieradeł ze lnu albo konopi. Kawałki bielizny trzeba było układać w taki sposób, by nie powstawały zagięcia. Wiele też musiałam przejść prób, zanim praczka powierzyła mi nawijanie wałka. Kiedy tego celu dopięłam, byłam bardzo dumna z osiągnięcia. Specjalnie cieszyło mnie, gdy mama o moim

osiągnięciu opowiadała sąsiadkom. Gdy byłam starsza, zaczęłam pomagać przy obracaniu korbą magła. Czynność tę wykonywano ręcznie, elektrycznych bowiem magli jeszcze nie było. Obracanie korbą było bardzo ciężką pracą. Poruszała się opornie i świszczała ostro, ponieważ właścicielka nigdy jej nie smarowała olejem. Chodzenie do magła było dla mnie dużą przyjemnością.

Z Ruskiej 16 pamiętam zamożną rodzinę Grynów. Córka ich codziennie paradowała po ulicy Lubartowskiej w drodze do gimnazjum Radzikowskiej, albo po Krakowskim Przedmieściu. Budziła zazdrość dzieci swoim ubraniem i czapką gimnazjalną. Syna Grynów znałam z opowiadań mojego brata, Uszera. Obaj byli uczniami Szkoły Powszechnej przy ulicy Św. Mikołaja, prymusami klasy. Po wojnie spotkałam Lejzorka w Lublinie, mieszkał u Sary Nomberg, przedwojennej działaczki komunistycznej, potem wyemigrował do Stanów Zjednoczonych.

Wspominałam niejednokrotnie, że przy Ruskiej 18 mój ojciec miał warsztat. Mieliśmy w ten sposób okazję, by poznać lokatorów i gospodynię, panią Rozenberg. Z jej synem Chaimem-Szyją spotkałam się w późniejszych latach w Gimnazjum Humanistycznym. Marzeniem matki było, by Chaim-Szyja został rabinem i wobec tego mógł dopiero po ukończeniu szkoły rabinackiej rozpocząć naukę w szkole świeckiej. Braki w znajomości języka polskiego utrudniły mu zdobycie matury, a potem i studiów prawniczych.

W sąsiedztwie warsztatu mojego ojca znajdował się groszowy sklepik spożywczy. Właścicielami było małżeństwo lub brat z siostrą. Klienci współczuli im, że mimo „dobrego” pochodze-

nia, z rodziny rzezaków („szochetym”*), muszą poniżać się i trudnić handlem.

Z rodziną z czwartego piętra łączyło nas rzemiosło ich ojca. Był szewcem, a więc siłą rzeczy klientem mojego ojca. Miał sporo dzieci, dla których marzył o lepszej przyszłości, niż jego własna. Dość często przychodziłam do jego mieszkania i — jak pamiętam — zawsze siedział on na swoim stołku ustawionym niedaleko okna w jedynym pokoju. Było tam bardzo czysto, a dbała o to jego żona, niezwykle drobna kobieta. Dzięki ogromnym wyrzeczeniom i wysiłkom rodziców, najstarszemu synowi udało się ukończyć kilka klas seminarium i kursy buchalteryjne oraz dostać pracę w jakimś banku (był ich dumą). Ożenił się z siostrą mojej koleżanki nazwiskiem Farbiarz. Dla drugiego syna, Aksyla, znaleziono miejsce ucznia, a potem czeladnika u mojego ojca. Uczył się kamasznictwa, ponieważ w randze rzemieślniczym „liczyło się” lepiej niż szewstwo. Aksyl był moim rówieśnikiem, bawiłam się z nim w różne gry dziecięce i trochę przyjaźniłam. Był sympatycznym i ładnym chłopcem. Z rodziną tą łączyła nas i moja choroba oka. Podobnie cierpiała ich córka. Obie rodziny szukały sposobu leczenia, dzieląc się zdobytymi doświadczeniami. Mnie leczył znany w Lublinie okulista, doktor Zajdman, z nią rodzice pojechali do jakiegoś sławnego lekarza do Łodzi. Niestety, w obu przypadkach lekarstwa okazały się nieskuteczne.

Z domem przy ulicy Ruskiej 18 łączy się postać jego dozorczy (Polaka). Jego synowie mówili po żydowsku nie gorzej od samych Żydów, bawili się przecież z okolicznymi dziećmi. O ile pamiętam, synowie ci przejęli dużą część niełatwej pracy rodziców — na przykład polewanie wodą przylegającego do domu kawałka trotuaru, jezdni i dużego podwórka wymagało noszenia wielu wiader wody.

* Szochet, rzezak, specjalnie wyszkolony religijny Żyd dokonujący rytualnego uboju zwierząt i drobiu.

Doświadczeni ciężką pracą chłopcy pilnowali czystości i nie pozwalali dzieciom zaśmiecać ulicy. Nie było to oczywiście nam w smak.

Przez pewien okres bardzo często odwiedzałam dom, który od strony Ruskiej zamykał (nie istniejącą) ulicę Szeroką. Otworzył w nim szkołę dla dziewcząt „kantor”, tęgi mężczyzna, o trochę kobiecej, czerwonej twarzy. Nie posiadał wielkich kwalifikacji pedagogicznych, ale był za to bardzo surowy dla uczennic. Specjalnych sukcesów nie osiągnął, a po otworzeniu obowiązkowych bezpłatnych szkół państwowych musiał swoją zamknąć. Lokal przejął jakiś związek zawodowy. Wieczorami zbierali się tam jego członkowie. Zawsze było tam pełno. Związek istniał do wybuchu wojny.

Między ulicami Ruską i Szeroką znajdował się dom modlitwy — Besmedresz, w którym każdego wieczora gromadzili się okoliczni Żydzi, czasami przebywał w nim też i mój dziadek, który mieszkał przy Ruskiej 52. Najwięcej modlących się było w piątek wieczorem i w sobotę przed południem, wtedy wszystkie „siedzące” i „stojące” miejsca niewielkiego pokoju były zajęte. Gdy chodziłam do mojego dziadka, zaglądałam zawsze po drodze do wnętrza domu modlitwy przez matowe od brudu szyby.

Niedaleko gmachu dawnej szkoły „kantora” znajdowała się grekokatolicka cerkiew. Wśród dzieci żydowskich wywoływała różne uczucia i pytania, co się dzieje tam, za murem, z drugiej strony. Z ciekawością i strachem jednocześnie zaglądałam do wnętrza przez sztachety, ale nigdy nie odważyłam się przekroczyć furtki. Fantazja malowała różne, czasem straszne obrazy. Cerkiew ta była jedynym miejscem modłów dla grekokatolików po zburzeniu znieprawionego przez Polaków soboru na placu Litewskim, gdzie znajdowała się również tzw. gubernia.

Po przeciwnej stronie cerkiewnego murku mieszkała razem ze swoją córką, a moją ciotką, matka ojca. Babcia miała sporo dzieci, ale zawsze mieszkała z Miriam. Dochody czerpała z

jatki na Targu Rybnym, którą prowadziła razem ze swoją współniczką, zwaną Grubą Szejwą. Zarobione pieniądze oddawała Miriam i jej dzieciom. A Miriam, początkowo szczęśliwa żona bardzo sympatycznego młodego człowieka, który, jak mówiono, „nosił ją na rękach”, po kilku latach małżeństwa została sama. Chaim zaczął namiętnie grywać w karty, potem zachorował na gruźlicę, pozostawiając żonę z pięciorgiem małych dzieci. Gdyby nie babcia, która wzięła na siebie obowiązek pomocy, sytuacja Miriam byłaby tragiczna po śmierci pełnego życia i oddanego rodzinie Chaima. Po śmierci swojej współniczki Gruba Szejwa zatrudniła nawet Miriam w jatce, zapewniając jej i dzieciom minimum egzystencji. Głodu więc dzieci nie zaznały, ale całymi dniami musiały sobie same radzić, aż matka, zmęczona po całodziennych harówce, wracała do domu i zabierała się do gotowania stawy i robienia porządków. Mijały lata. Dzieci podrosły, przynosząc pierwsze zarobione przez siebie pieniądze. Najstarszy syn zaczął pracować jako subiekt w sklepie futrzarskim na Krakowskim Przedmieściu. Niestety, kiedy sytuacja ciotki zaczęła się poprawiać, babcia nagle zachorowała i musiała opuścić jatkę; wkrótce zmarła, miała 83 lata.

Z matką mojego ojca nie wiązały mnie specjalnie głębokie uczucia. Czasem odwiedzałam ją razem z rodzicami. W niektóre soboty spotykałyśmy się u Bruchy, siostry mojego ojca, mieszkającej przy ulicy Cyruliczej, która miała pretensje do matki, że faworyzuje Miriam. Podobne pretensje miał i brat ojca, Boruch, a właściwie jego żona. Narzekała, że babcia pomaga wyłącznie Miriam, a zapomina o bezrobotnym Boruchu. Pomoc materialna dla Miriam nie powodowała obojętności w stosunku do pozostałych wnuków. Kiedy czasami przychodziłam do babci, do jatki, zdarzało się wtedy, że dostawałam parę groszy na słodycze. Był to jeden z rzadkich wypadków, gdy miałam pieniądze do własnej dyspozycji. W czasie, kiedy Abramek, jedyny syn Bruchy, zachorował na szkarlatynę, niebezpieczną w owych czasach chorobę, całymi

dniami czuwała przy jego łóżku. Nie odstępowała też i szpitalnego, gdy w 1935 roku przeszłam operację wyrostka.

Przy Ruskiej 25, lecz w głębi podwórza i z wejściem po kilku schodach, przypominających drabinę, dwa pokoiki zajmowała koleżanka mojej mamy, Masza, ze swoim mężem i czterema córkami. Była czarną, ładną kobietą, on zaś rudowłosym, wychudłym mężczyzną, z twarzą pełną piegów. Brody nie nosił, ale prawie zawsze był obrośnięty żółtym, kłującym zarostem, który nie dodawał mu uroku. Był szczotkarzem. Jego warsztat zajmował więc dużą część mieszkania. Ciasnota i kurz ze szczeciny utrudniały oddychanie. Mimo ciężkiej pracy jego zarobki nie wystarczały na najniezbędniejsze potrzeby — był więc głód. Moja matka zawsze oddawała ubrania, z których wyrosiliśmy, dzieciom koleżanki. Od czasu do czasu udzielała też innej pomocy. Od wczesnej młodości dzieci pomagały ojcu w pracy — przynosiły surowiec i odnosiły gotowe szczotki do Zandsztajna na ulicę Grodzką, będącego ich pracodawcą. Kiedy podrosły córki, Rajzla (najstarsza) i Cyrla, one także zaczęły zarabiać polepszając sytuację rodziny i własną. Rajzla, jak pamiętam, była ładną dziewczyną; miała powodzenie u chłopców i szybko znalazła swojego wybranego. Z własnych zaoszczędzonych pieniędzy wynajęła mieszkanie i wyposażyla je. Przy spotkaniach opowiadała mi, że oboje z mężem zarabiają na utrzymanie, wiedzie im się nie najgorzej i wiążą koniec z końcem.

Nieźle jak na swoje potrzeby zarabiająca Cyrla mieszkała nadal z rodzicami i pomagała im materialnie. Dziewczyna ta podobała mi się ze swoimi długimi grubymi warkoczami, które jednak, co było niekorzystne, miały rudą barwę (faktycznie były jasno brązowe z czerwonym odcieniem). Kolor włosów i piegi odziedziczyła po ojcu. Obie „wady” sprawiały jej dużo kłopotów. Rodzina Spirt zginęła prawdopodobnie w okresie wojny. Po moim powrocie do Lublina w 1946 roku nikogo z nich nie zastałam.

LUBLIN W LATACH 1914-1939. ULICA NOWA, OK. 1935 R. — JEDNA Z REPREZENTACYJ-
NYCH ULIC PRZEDWOJENNEGO MIASTA



25. Nowa, ok. 1935 r. — magazyn mebli H. M. Gładsztejna

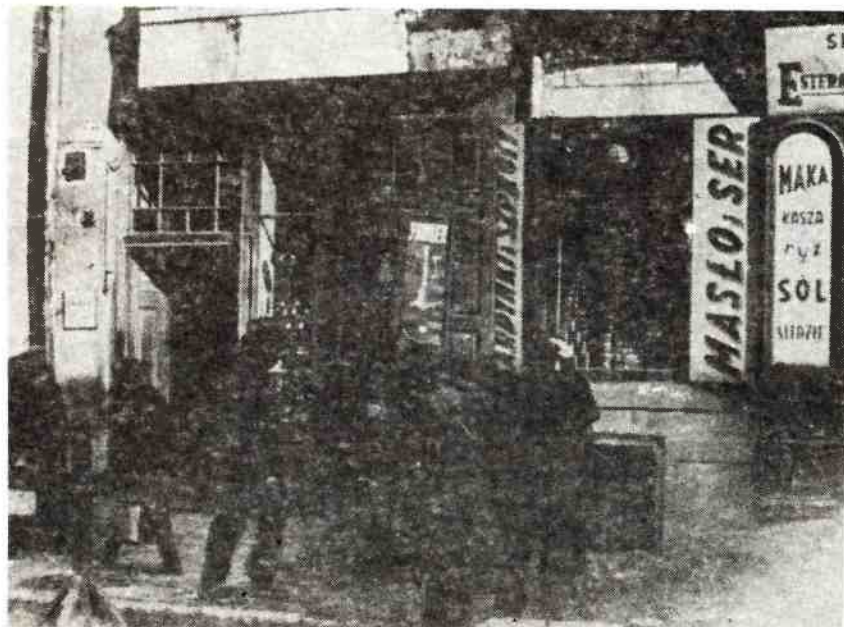
26. Nowa 1, ok. 1935 r. — sklep z wedlinami Jana Rydzewskiego

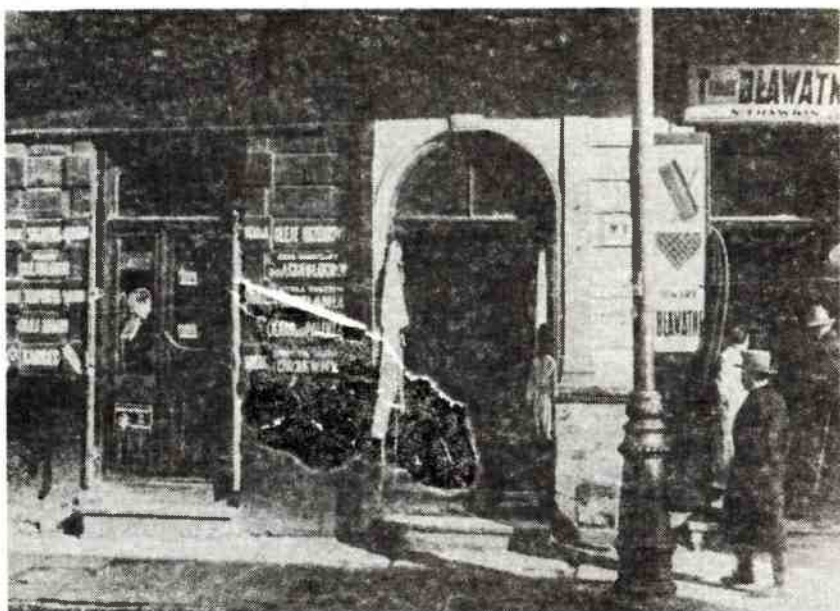




27. Nowa 3, ok. 1935 r. — sklep z towarami białymi N. Chawkina i sklep „Nowość”

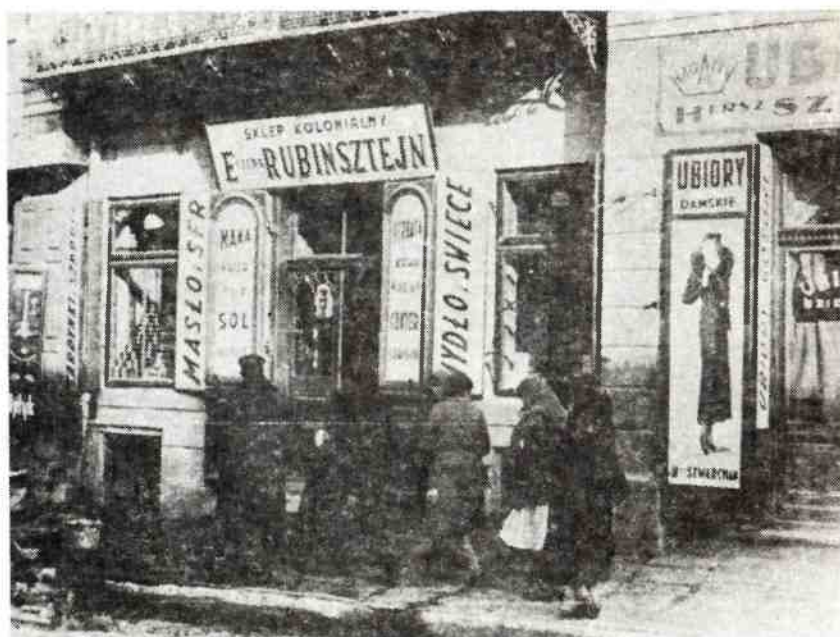
28. Nowa 5, ok. 1935 r. — sklep jubilera i spożywczy





29. Nowa 3, ok. 1935 r. — reklama sklepu chemicznego

30. Nowa, ok. 1935 r. — sklep kolonialny Ester Rubinsztejn





31. Nowa 7, ok. 1935 r. — sprzedaż towarów galanteryjnych Dwojry Kopelman i pracownia czapek

32. Nowa, ok. 1935 r. — domy mody: spółki „L. Fizman i Sz. Rozenbaum”, S. Zolmana Zajdenbanda

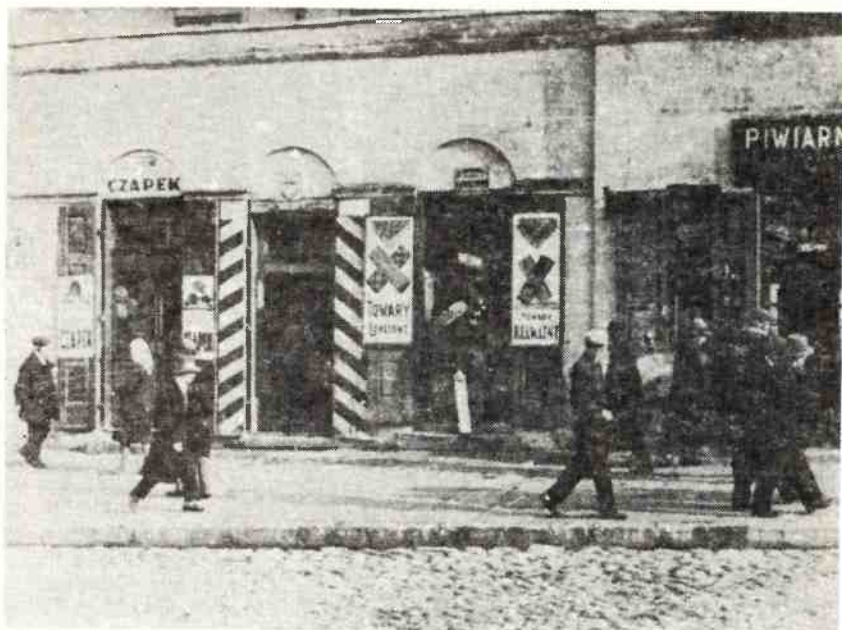




33. Nowa 9, ok. 1935 r. — sklepy z towarami galanteryjnymi oraz farb i lakierów

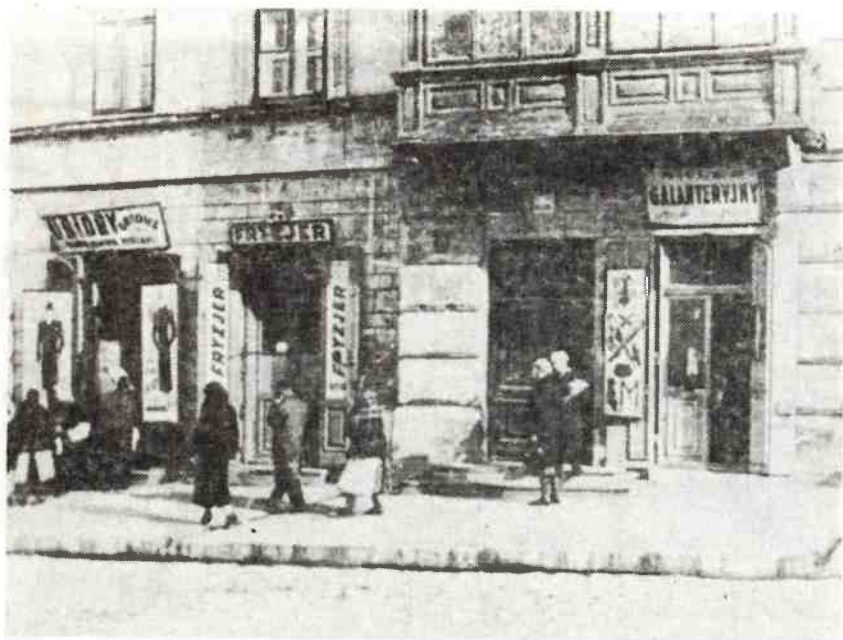
34. Nowa 9, ok. 1935 r. — sprzedaż obuwia R. Wajsbrodta i witryna z reklamą piwa z browaru K. R. Vetterów





35. Nowa 14, ok. 1935 r. — sklep kupca towarów łokciowych i białatnych

36. Nowa, ok. 1935 r. — sklep galanteryjny Brafmana





37. Nowa, ok. 1935 r. — piwiarnia i owocarnia, sklep z ubiorami spółki „L. Fiszman i Sz. Rozenbaum”

38. Nowa, ok. 1935 r. — piwiarnia chrześcijańska i pracownia pasów „Ortoband”

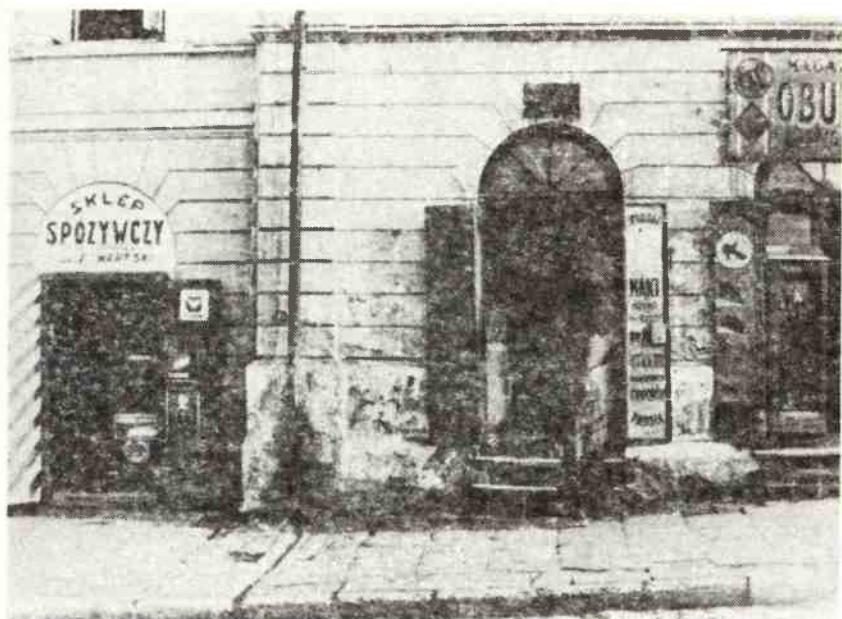




39. Nowa 17, ok. 1935 r. — sklep z towarami łokciowymi Cygielmana, ubiorami i obuwem Chaima Cukiermana

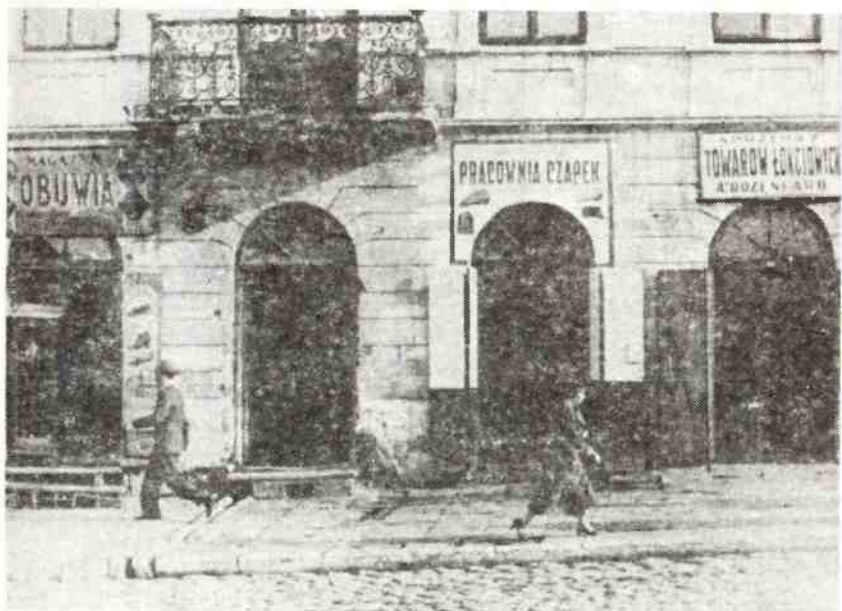
40. Nowa, ok. 1935 r.





41. Nowa, ok. 1935 r. — witryny sklepów spożywczych, m.in. Zylbersztajna i J. Wartskiego

42. Nowa, ok. 1935 r. — magazyn obuwia Altmana, pracownia czapek Micenmachera, założona w 1901 r., oraz sklep A. Rozenfarba





43. Nowa, ok. 1935 r. — sklep z towarami lokciowymi A. Rozenfarba i bar Ela Zalera

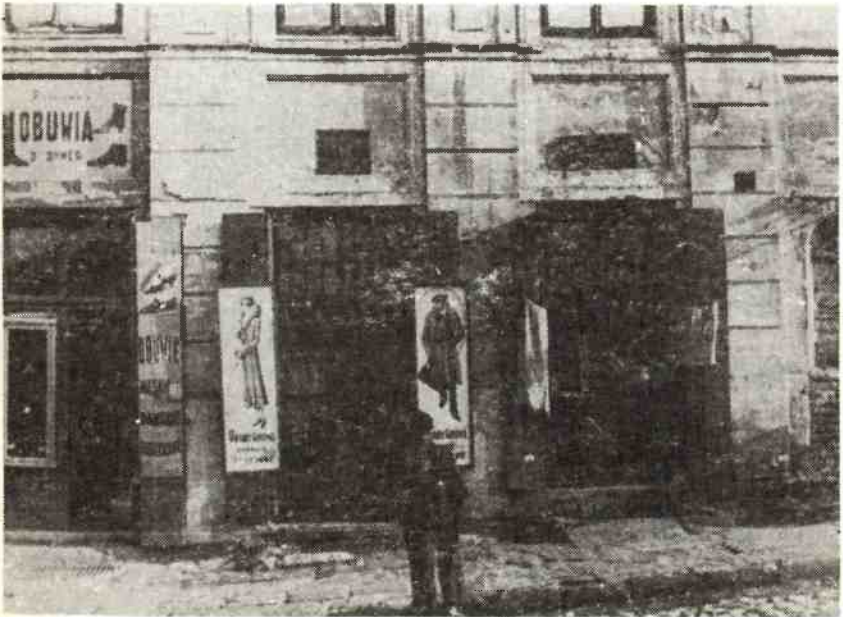
44. Nowa 19, ok. 1935 r.

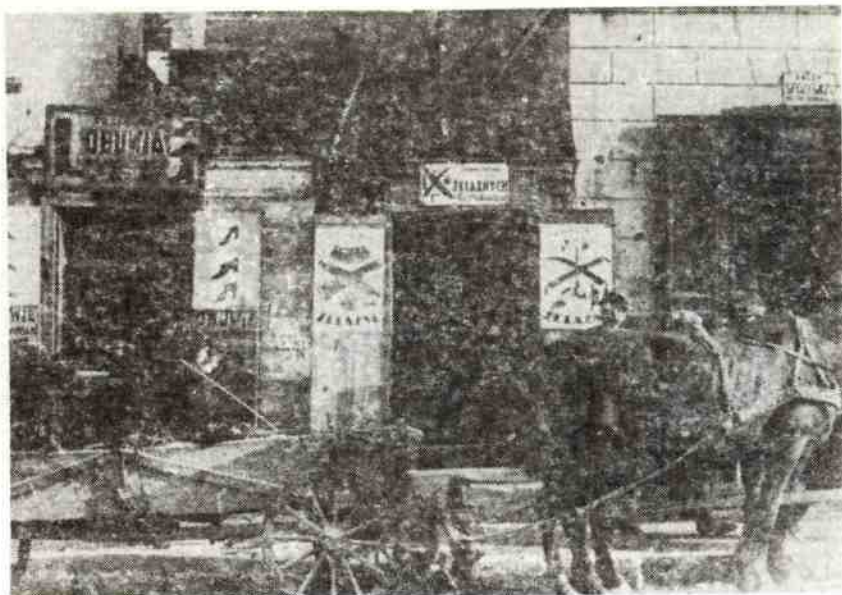




45. Nowa 21, ok. 1935 r. — bazar naczyń Wąjsblecha z charakterystyczną dla lat międzywojennych reklamą towaru i sklep spożywczy M. Rykela

46. Nowa, ok. 1935 r.





47. Nowa, ok. 1935 r. — pracownia obuwia Zylbermana, drobna sprzedaż wyrobów żelaznych, sklep spożywczy M. Rykela

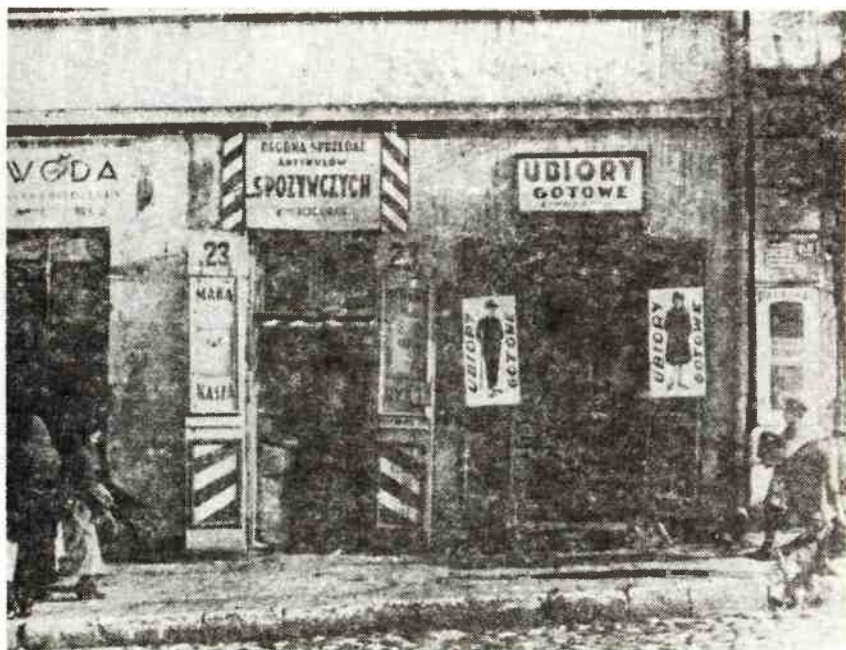
48. Nowa 24, ok. 1935 r. — dawna apteka W. Szeligi





49. Nowa 23, ok. 1935 r. — sztyl zakładu napraw F. Gurfinkiela i pracownia sandałów L. Albermana

50. Nowa 23, ok. 1935 r. — sklepy R. Rochmana i E. Halpenina





51. Nowa 23, ok. 1935 r. — sklepy, m.in. obuwiczny N. L. Topermana

52. Nowa 23, ok. 1935 r.





53. Nowa 23, ok. 1935 r. — sprzedaż wyrochów rymarskich i podróźniczych
F. Bidermana

54. Nowa, ok. 1935 r.





55. Nowa, ok. 1935 r. — piwiarnia i herbaciarnia C. Wajsblecha

Następny dom, Ruska 27, odwiedziłam kiedyś z pomocnicą mojej mamy w krawiectwie. Nazywała się Mińcia i opiekowała się mną, kiedy mama chodziła do klientek lub po zakupy. Karmiła mnie, opowiadała bajki, czasami zabierała do swoich rodziców, którzy mieszkali na końcu korytarza właśnie przy Ruskiej 27, w małym ciemnym pokoju. Jej ojciec zarabiał „zamawianiem złego oka”. Właśnie przy takiej okazji odwiedziłam ich. Mój braciszek, którego uważano za bardzo ładne dziecko, nagle zachorował. Sąsiadka, matka pani Alter, orzekła, że „uroczyło go” jakieś złe oko – trzeba urok zdjąć. Według słów Mińci, jej ojciec był najlepszym specjalistą w tej dziedzinie, należało zatem skorzystać z jego usług. Moja matka dała nam kawałek materiału z odzieży braciszka i z tym poszłam w towarzystwie Mińci do jej ojca, który odprawił jakiś dziwny ceremoniał. Przede wszystkim spalił kawałek przyniesionego materiału, mrużąc przy tym jakieś niezrozumiałe formułki. Miałam wrażenie, że dokoła nas krążą złe duchy, a owo wrażenie wywierała niewątpliwie ciemność w pokoju i nieznane mi wyrażenia.

Do tego domu przychodziłam też z Cyrlą, moją sąsiadką i długoletnią koleżanką. Mieszkali tam jej babka, ciotka i głuchoniemy stryj. Babka Cyrli była kucharką na ślubach i innych uroczystościach, jej mąż prowadził wóz pogrzebowy ze zmarłymi na cmentarz żydowski, córka zaś Mała pracowała w jatce. Po śmierci rodziców przez długie lata Mała opiekowała się głuchoniemym bratem. Z jego też powodu wyszła dość późno za mąż. Do dziś pamiętam jej jasną twarz z żółtozłotymi włosami.

Ulica Jateczna

Domem oznaczonym numerem 27 kończyła się nieparzysta strona ulicy Ruskiej. Tutaj zaczynała się mała uliczka nosząca nazwę Jatecznej, która prowadziła do łąk zwanych Wole Łąki i

do starego cmentarza żydowskiego. W głębi uliczki mieszkał brat Fajgi, koleżanki mojej mamy, która — jak pamiętamy z wcześniejszych kart książki — mieszkała razem z nami do powrotu mojego ojca z wojny. Rodzinę tę odwiedzałam z mamą. Z czego żyła — nie wiem, pamiętam tylko, że byli bardzo biedni oraz że mieli dużo dzieci; nigdy nie udało mi się ustalić ich liczby. Podczas każdej wizyty spotykałam nowe twarze, wymęczone ciągłym niedojadaniem. Pamiętam też, że jedna z córek uczyła się przez parę lat krawiectwa u mojej mamy. Uważała siebie za szczęśliwą — zarabiała, uczyła się zawodu, czasami dostawała jeszcze parę groszy ekstra za odnoszenie sukienek do klientek. Wiele pieniędzy Dwojra nie miała, ale w sytuacji jej rodziny każdy grosz oznaczał kawałek chleba więcej.

Spacer po Kalinowszczyźnie

Jeżeli ominęło się ulicę Ruską, zostawiając po przeciwnej stronie cerkiew greckokatolicką, wchodziło się na Kalinowszczyznę, którą Żydzi nazywali Pierwszą Wolą. Po prawej stronie Woli fascynował mnie nie zamieszkanym, na wół zrujnowany dom. Opowiadano o nim, że niegdyś był kościołem. Żydzi wierzyli w niesamowitą historię z nim związaną, przekazywaną z pokolenia na pokolenie. Według niej, podczas przechodzącego tędy na cmentarz konduktu pogrzebowego zmarłego rabina, zaczęły z całą siłą bić kościelne dzwony. Rabin nagle usiadł oburzony z powodu hałasu i przeklął kościół, by zapadł się pod ziemię. Tak się też miało stać. Kondukt tymczasem dalszą drogę odbył już w spokoju, a dzwony umilkły. Kościelne mury nazywano zresztą kościołem żydowskim, ponieważ od czasu do czasu mieszkały w nim bezdomne rodziny żydowskie.

Przez plac kościelny prowadziła droga do sadu owocowego,

w którym spędzałam czasami parę godzin. Przez kilka kolejnych lat dzierżawił go kuzyn mojej mamy — Mordcha Fernand. Był zawodowym muzykiem, grał na kilku instrumentach, ale najbardziej lubił flet. W lepszych dla siebie czasach pracował w orkiestrze w Teatrze Miejskim w Lublinie. Po zwolnieniu żydowskich członków orkiestry Mordcha stracił pracę i musiał szukać innych źródeł zarobku. Myśl wynajęcia sadu podsunęła mu rodzina żony — matka i siostry, z którymi mieszkał razem w dwóch małych pokojach. Kłopoty finansowe Mordchy zaczęły się w momencie, kiedy w krótkich odstępach czasu pojawiły się kolejne dzieci. Wtedy od rodziny i pod jej naciskiem, jak się rzekło, wynajął sad. Nie zmieniło to jednak sytuacji. Jeśli bowiem urodzaj był dobry i udało się ustrzec owoce przed kradzieżą (zjawisko rozpowszechnione w sadach), a potem znaleźć dobrego odbiorcę towaru, zostawało jeszcze coś niecoś na przetrwanie zimy. Gdy był nieurodzaj, Mordcha tracił włożone pieniądze, ciężka praca szła na marne. Aby uchronić owoce przed złodziejami, kilka miesięcy w roku, tj. od wczesnej wiosny do późnej jesieni, mieszkał Mordcha w drewnianej budzie na terenie sadu. W suche pogodne dni można było w niej przebywać, natomiast gdy padał deszcz, woda poprzez dach i dziurawe ściany zalewała miejsce do spania, gasiła żelazny piecyk, na którym gotował strawę i którym ogrzewał pomieszczenie. A sad ów był zbyt mały, by zapewnić odpowiedni dochód, był jednak za duży, żeby go upilnować przed nieproszonymi gośćmi — mimo ogromnych wysiłków całej rodziny, nigdy się to nie udawało. Drewniany płot otaczający sad nie stanowił żadnej przeszkody dla amatorów cudzej pracy. Ponadto, nie mając możliwości magazynowania owoców, Mordcha z rodziną sprzedawali je prosto z drzew po najniższej cenie i w okresie, kiedy rynek był nimi przepełniony. Przedwczesna sprzedaż zmniejszała jeszcze bardziej dochód.

Rodzina o nazwisku Laks była znana wśród Żydów z przezwiska „Knipiks”. Mieli dom i sad na Pierwszej Woli

(Kalinowszczyźnie), który wynajmowali rokrocznie na sezon wiosenno-letni. Mieli trzech synów, z których jeden, z zawodu technik dentystryczny, jako młody chłopiec wywędrował do Stanów Zjednoczonych Ameryki, unikając w ten sposób losu pozostałych Żydów. Był niskim chłopcem, o piegowatej twarzy i rudawych włosach. Po wojnie był jednym z organizatorów ziomkostwa lubelskiego w Stanach i pomagał ocalałym Żydom w Lublinie. Starszy jego brat, choć jeszcze przed wojną rozpoczął studia prawnicze, ukończył je dopiero po wojnie i praktykował jako adwokat w Lublinie. Bezpośrednio po wojnie pracował razem ze mną w szkole żydowskiej w Lublinie, ucząc w niej hebrajskiego. Po kilkuletnich staraniach otrzymał spadek po rodzicach, sprzedał dom i sad za większą sumę pieniędzy. Obecnie jest już chyba na emeryturze.

Szeroka 52, mój dziadek, babcia oraz inni lokatorzy

Z ulicy Ruskiej, obok Besmedresz (domu modlitwy), wchodziło się na Szeroką 52, gdzie spędziłam sporo lat dzieciństwa. Mieszkał tam mój – wymieniany przeze mnie niejednokrotnie – kochany dziadek i oddana babcia, gotowa zawsze poświęcić mi wszystkie siły. Nie było rzeczy, której by mi odmówiła, a ja z dziecięcym egoizmem nadużywałam jej dobroci. Mój dziadek na przykład lubił hodować drób. Sam karmił go, dawał wodę, doglądał. Pomagałam mu w zajęciach, chociaż najchętniej przebywałam na strychu w ich domu, będącym dla mnie tajemniczym królestwem, gdzie znajdowałam najbardziej nieoczekiwane „skarby”. Dorośli nigdy ich nie doceniali, mnie służyły do snucia najbardziej fantastycznych marzeń.

Na strychu mogłam przebywać godzinami i wymyślać najbardziej dziwne historie, którymi upiększałam rzeczywistość. Z tych właśnie historii i fantastycznych marzeń zrodził

się pomyśl, by babcia zaprzęła białego kurczaka — moją ofiarę przed świętami noworocznymi — do mojego wózka zabawki i zmusiła, by ciągnął go po ulicy. Żadne perswazje nie pomogły, moja biedna babcia musiała zaprząć kurczaka, który ciągnął wózek wzdłuż Szerokiej. Oczywiście długo to nie trwało, ów kurczak zbuntował się, wyrwał z uwięzi i zaczął co sił uciekać przed prześladowcami. Moją reakcją był straszliwy krzyk, babcia próbowała złapać kurczaka, ale on okazał się o wiele szybszy od niej. Za nami biegła oczywiście chmara dzieci z całej ulicy, ubawiona osobliwym widowiskiem. Po długiej i intensywnej gonitwie udało się, ku mojej wielkiej radości, złapać kurczaka. Uspokoiliam się trochę i pozwoliłam odprowadzić się razem z kurczakiem do domu.

W dwóch pokojach moich dziadków czułam się doskonale. Oboje zawsze znajdowali dla mnie jakieś atrakcje. Czasami było to „przyjęcie”, czasami jakaś zabawa. Często zostawałam u nich na noc. Spałam wtedy z dziadkiem. Kładłam mu rękę na piersi, żeby mi nie zniknął. Mój niepokój był uzasadniony, ponieważ dziadek wieczorami grał w orkiestrze teatru, albo gdzieś na weselu. Nie mogłam wtedy długo zasnąć i babcia musiała razem ze mną czekać, aż do jego powrotu.

Zawsze lubiłam towarzystwo dziadka. Prócz tego, że znał dużo bajek, po prostu przyjemność sprawiało mi patrzeć na niego. Jego krótka biała bródka, mądre spojrzenie, spokój i ogromna cierpliwość do mnie były powodem mojej wielkiej do niego miłości. Nigdy się na mnie nie gniewał i nie podnosił na mnie głosu. Lubiłam patrzeć, jak swoim gęsim piórem pisał nuty dla orkiestry teatru żydowskiego, który rzadko kiedy płacił mu za ten trud. Chętnie przysłuchiwałam się też lekcjom muzyki, którymi starał się podreperować swój budżet. Z przejęciem słuchałam, jak stroił skrzypce, a potem ćwiczył partie, które miały być jego udziałem w orkiestrze.

W ciągu jakiegoś okresu dziadek próbował uczyć mnie gry na skrzypcach. Wiele czasu poświęcał temu, ale nie wykazywałam chęci, ani zdolności. Nauczyłam się nawet trochę czytać

nuty, grać kilka popularnych melodii, ale na tym się skończyło. Możliwe, że gdyby dziadek nie postępował ze mną tak łagodnie, uczyłabym się dalej, a ponieważ nigdy mnie nie karcił, ani nie wykazywał niezadowolenia, naukę skończyłam.

Od dziadka nauczyłam się tworzyć różne zabawki z papieru. Do dnia dzisiejszego umiem robić czapkę z papieru, łódkę z dwoma lub jedną kieszenią. „Sztukę” mojego dziadka przekazałam wnukom. Dziadek próbował mnie nawet uczyć modnych tańców, dla Żyda w jego wieku nie było to wydarzeniem codziennym. On był też pierwszym, który mi wytłumaczył, że Ziemia jest okrągła i krąży dookoła Słońca. Jako członek orkiestry Teatru Żydowskiego, czasami i cyrkowej, zabierał mnie na różne przedstawienia. Dzięki niemu widziałam, jeszcze we wczesnym dzieciństwie, *Księżniczkę Czardasza...* i zapasy atletów. Tych ostatnich nie lubiłam, z przyjemnością natomiast odwiedzałam zwierzynce cyrkowe, co było jedyną okazją poznawania egzotycznych zwierząt. Lublin nie posiadał ogrodu zoologicznego.

Mój kochany dziadek pragnął, żebym zdobyła wykształcenie. Zawsze zajmował się moją szkołą, chodził na zebrania rodzicielskie, troszczył się o to, bym się dobrze uczyła. Dlatego też u niego szukałam pocieszenia, gdy czułam się skrzywdzona przez matkę, której nie zawsze wystarczało czasu lub cierpliwości dla mnie. Musiała przecież troszczyć się o utrzymanie domu, gdy ojciec uczestniczył w wojnie.

Podczas wspólnych spacerów dziadka zatrzymywano czasem na ulicy prosząc, by zajrzał do chorego. Mylono go bowiem często z popularnym w Lublinie Rafuelem Zajfenem, jednym z żydowskich felczerów, których bardziej ceniono niż lekarzy. Byli to: Gecman, Grincwajg i Szpak. Do nich Żydzi zwracali się chętniej, niż do lekarzy, nie mówiąc już o tym, że brali oni za poradę mniej. Mój dziadek rzeczywiście był trochę podobny do Rafueła Zajfena i łatwo można było się pomylić. Obaj nosili krótko sirzyżone siwe bródki, czarne okrągłe twarde kapelusze i czarne palta. Z daleka i ja się czasem myliłam.

Moja babcia, małeńka chudziutka kobieta o jasnoniebieskich oczach, patrzyła w dziadka jak w obraz, „trzęsa się” nad nim i chroniła jak źrenicy oka. Kiedy dziadek zachorował, siedziała przy nim w szpitalu przez cały czas, a gdy wyzdrowiał, była najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem. Kiedy babcia nagle zmarła, dziadek mój zupełnie się zatracił, nie mógł sobie znaleźć miejsca.

Od najmłodszych lat znałam jego ciężkie warunki i walkę o utrzymanie. Przy pożegnaniu życzyłam zawsze, żeby mu się nagle poszczęściło. Znaczenia słów nie rozumiałam, koncypowałam sobie jednak, że to coś dobrego dla niego. Kiedy trochę podrosłam, marzyłam o tym, by zacząć zarabiać i pomóc dziadkowi. Niestety, nie udało mi się to, zmarł w wielkiej biedzie, w roku 1931, licząc 76 lat. Po dziadku i babci pozostało mieszkanie, które było ich własnością, podobnie jak wszystkie inne w tym domu. Odziedziczyli je moja mama i jej brat. Wielkiej wartości nie miało, sprzedali je więc za niedużą sumę pieniędzy.

Na tym samym piętrze co mój dziadek i babcia mieszkały jeszcze trzy rodziny — naprzeciwko para małżeńska z jedną córką. Po śmierci rodziców dziewczyna została sama i wkrótce wyszła za mąż za wdowca, o wiele starszego od niej, któremu nie okazywała żadnego zainteresowania. Często przychodziła do moich dziadków i bawiła się ze mną. Babcia niechętnie ją widziała. Do ostatniej chwili była zazdrosna o swego męża i bała się konkurentek. Podstawy do zazdrości, o ile mogę sądzić, nie miała, dziadek nie dawał jej powodu. Głębiej w korytarzu mieszkali „jajecznicy” — handlarze jajkami. W tej rodzinie wszystkie dzieci były już dorosłe i pomagały w handlu. Z nimi nie nawiązałam bliższego kontaktu. Pamiętam tylko, że ich sytuacja materialna wzbudzała zazdrość sąsiadów.

Na tym samym piętrze mieszkała też rodzina Dawida, młodszego brata mojego dziadka (pierwszy z rodzeństwa zmarł

prawdopodobnie na gruźlicę). Wdowa po nim, Rajzla Fernand, została z czworgiem dzieci — dwiema córkami i dwoma synami, z których żadne jeszcze nie pracowało. Bieda panowała tam nie do opisania i ciasnota ogromna. W jednym pokoju z okienkiem w suficie było zawsze ciemno. Trudno powiedzieć, co było powodem panującego tam półmroku — brud czy słabe oświetlenie. Każde odwiedziny u tej rodziny przygnębiały mnie. Utrzymywałam z nimi jednak pewien kontakt, szczególnie z młodszym synem Beniaminem, który był o parę lat ode mnie starszy. Rajzla Fernand handlowała obwarzankami. Handlem tym nigdy nie udawało się jej zarobić na chleb do syta dla siebie i dzieci, a o kupnie odzieży względnie jakichś mebli nie było mowy w ogóle.

Starszy syn, Szloma, wcześniej nauczył się krawiectwa i otworzył warsztat w swoim mieszkaniu przy Niecałej (dzisiejsza Sławińskiego). Mieszkanie z warsztatem mieściło się w półpiwnicznym pomieszczeniu, z wejściem od ulicy, po kilku schodach w dół. Drzwi oszklone do połowy zastępowały okno. Szloma miał żonę i dwoje dzieci. Choć ciasnota była ogromna, żona utrzymywała czystość. Szlomie stosunkowo sprzyjało szczęście — szyjąc mundury wojskowe, miał zapewnioną pracę. Beniamin również wyuczył się krawiectwa i zaczął zarabiać. Wcześniej też założył rodzinę i szczycił się dwojgiem swoich dzieci.

Córki nigdy nie wyzwoliły się z nędzy. Starsza, Sura Łaja, wyszła za mąż za wdowca z kilkorgiem dzieci, później pojawiły się wspólne. Jej mąż, mimo że był dobrym stolarzem, nigdy nie zdołał zarobić na wyżywienie licznej rodziny. Pojawiły się nieuniknione konflikty z rodziną młodszej siostry, z którą dzieliły wspólny pokój. Matka ich szczęśliwie nie dożyła chwili, by zobaczyć straszliwy los swych zameżnych córek.

Na tym samym piętrze mieszkała rodzina malarza, zajmującego się częściej handlem niż malowaniem. Handel jego był dość osobliwy — oszukiwał chłopów przy zakupie produktów. Praktyka była prosta, ale wymagała dużej sprawności palców.

Po znalezieniu „odpowiedniego” chłopca, zwykł targować się z nim o cenę. Kiedy chłop był dostatecznie zrezygnowany, „malarz” zaczynał stosować swoje sztuczki. Płacił tylko w banknotach. Przy pierwszym liczeniu suma była właściwa, przy każdym następnym składał banknoty na pół. Pieniądze do liczenia dawał chłopu od strony złożonych banknotów i w ten sposób suma była zawsze wyższa dla sprzedawcy. Po kilku takich liczeniach suma banknotów była zredukowana do minimum, ale chłop nie miał możliwości zorientowania się w „sztuczki” kupującego malarza. Gdy w końcu stwierdzał oszustwo, po kliencie nie było śladu. Boruch, szczupły, wysoki mężczyzna, był kaleką (widział na jedno oko). Możliwe, że dla odwrócenia uwagi od oka i wzbudzenia większego zaufania ubierał się jak religijny Żyd. Sądził, że chłopcy nie będą podejrzewali takiego człowieka o oszustwo. Dość długo udawał mu się osobliwy handel, ale po pewnym czasie chłopcy zaczęli poznawać go i jeden drugiego przestrzegał przed nim. W konsekwencji musiał zakończyć swą działalność.

Żona Borucha była wysoką kobietą o zniekształconej wielu porodami figurze. Nie pochwałała męzowskiego sposobu zarobkowania i usiłowała go od tego odwieść. Bieda, w jakiej żyła rodzina, zmusiła ją jednak do pogodzenia się z jego postępowaniem. Dzieci, z których pamiętam dwie córki i syna, potępiały wszakże ojca, wstydziły się go i pogardały nim; chciały nawet opuścić dom rodzinny, ale nie miały żadnych w tym kierunku możliwości.

Do pierwszego piętra przylegał tzw. ganek. Mieszkał tam *melamed* – nauczyciel religii żydowskiej. Jego rodzina należała do lepszych z urodzenia (*Ichis*). Odwiedzałam ich czasami w sobotę, razem z babcią. Droga do nich była dość długa, ponieważ ganek ciągnął się wzdłuż całej szerokości domu i był bardzo niebezpieczny. Brakowało desek w podłodze, inne ledwo się trzymały lub huśtały za każdym krokiem. Ponadto sztachety ganku nie były dobrze przymocowane i groziło wypadnięcie przy każdym zbliżeniu.

Kilku lokatorów mieszkało w suterenie. Dostać się tam można było schodząc po połamanych schodkach. Zejście groziło złamaniem rąk i nóg. Od schodów prowadził ciemny, długi, nigdy nie oświetlony korytarz, który mógł pokonać tylko ten, kto dobrze znał przejście; nie znający drogi potykali się o różne wystawiane przez lokatorów rzeczy, które nie mieściły się w mieszkaniach i komórkach. Pomieszczenia te nie były nigdy oświetlone promykami słońca, ani lampą, a ściany, prawie nigdy nie ogrzewane, straszyły zimnem i wilgocią. Mieszkali tam ludzie, których udziałem był zawsze głód i chłód. Wyędniałe twarze miały kolor zielonoszary, o głodnych zgaszonych oczach. Okryci byli łachmanami, które dostawali jako jałmużnę.

Nasze kontakty z rodziną Zormanów z Szerokiej zaczęły się w latach dwudziestych. Były natury handlowej — mój ojciec kupował u nich skórę. W konsekwencji zaprzyjaźniliśmy się. Z najmłodszą córką, Chawą (byłyśmy rówieśniczkami), spotykałam się często i czułyśmy się dobrze ze sobą. Zormanów zapamiętałam z powodu dość błahego, zewnętrznego szczegółu — wszyscy, oprócz matki, małej, ruchliwej i bardzo energicznej kobiety, mieli duże wystające nosy, o szerokich nozdrzach. Byli szczupli, co jeszcze bardziej podkreślało charakterystyczny wygląd ich twarzy.

Ojciec ich wcześniej osierocił rodzinę; chorował na gruźlicę gardła, miał olbrzymie trudności z oddychaniem (dusił się). Choć okno stale musiało być otwarte, niewiele to pomagało. Śmierć była wybawieniem ze straszliwych cierpień.

Śmierć Zormaniana nie zmieniła materialnej sytuacji rodziny. Chanale, jego żona, już wcześniej przejęła cały handel skórą. Choć sama była słabego zdrowia, nigdy nie opuszczała jej energia i radość życia. Potrafiła utrzymywać całą rodzinę: trzy córki i syna. Udało jej się też wydać za mąż najstarszą córkę za bardzo zdolnego i sympatycznego młodego człowieka, mimo że córka nie była zbyt urodziwa i tak jak wiele osób w owym czasie chora na gruźlicę. Rekompensatą był jej ciepły głos,

budzący zaufanie, i gotowość przyścia z pomocą każdemu, komu pomoc była potrzebna. Jej mąż, Mordche Oliwa, był w przeciwieństwie do niej słusznej budowy, ze skłonnością do tycia. Był człowiekiem wesołym z natury, lubiącym sypać dowcipami. Pracował w jakimś banku, gdzie uważano go za dobrego urzędnika. Trudno było wyobrazić ich sobie jako małżeństwo, ale jak wtedy mogłam ocenić, żyli ze sobą dobrze i spokojnie. Mieli dziewczynkę, która zewnętrznie podobna była do matki. Często ich gośćmi byli dwaj bracia Oliwy, bardzo podobni do niego. Jeden z nich również pracował w banku, drugi — o ile pamiętam — był, jak to wtedy mówiono, subiektem w sklepie manufaktury.

Druga córka, podobna do matki, skończyła po gimnazjum seminarium nauczycielskie. Przez wiele lat nie mogła dostać pracy, ale kiedy już otrzymała angaż, była tak rozgoryczona, że nie odczuwała żadnej radości z powodu zmiany sytuacji. Z powodu swojego wyglądu, miała kompleks niższości, obawiała się staropanieństwa. Ze strachem obserwowała swoją twarz, przeżywając każdą pojawiającą się na niej zmarszczkę.

Trzecim z rodzeństwa był syn, „oczko w głowie” rodziców. Chłopak niskiego wzrostu, o rzadkich blond włosach, w okularach na długim, rodzinnym nosie. Studiował medycynę we Francji. Utrzymywanie młodego człowieka za granicą było ogromnym ciężarem dla rodziców. Mimo jednak wszystkich wysiłków i wyrzeczeń Mojsze musiał dorabiać, by skończyć studia; pracował tam, gdzie nie chcieli pracować Francuzi. Zatrudnienie było nielegalne, zarobki niskie, ponieważ pracodawcy wykorzystywali przymusową sytuację zagranicznych studentów.

Latem, kiedy był wolny od zajęć, Mojsze przyjeżdżał do domu, by odpocząć po ciężkich miesiącach we Francji. Jeden z takich jego pobytów w domu wykorzystali moi rodzice, prosząc, by przygotował mnie do egzaminu wstępnego do gimnazjum. Ukończyłam wtedy szkołę powszechną i pragnęłam dostać się do szkoły średniej. Według przepisów, po

powszechnej można było bez egzaminu zapisać się do klasy czwartej, albo zdać egzamin i być przyjętym do piątej klasy. Te możliwości chcieli wykorzystać moi rodzice. Ojciec porozmawiał więc z Mojszem — on miał okazję zdobyć dodatkowo kilka złotych, ja dostać się do upragnionego gimnazjum. Trzeba tu dodać, że obie rodziny miały spędzić wakacje w Nowodworze, odległym o 24 kilometrów od Lublina; skorzystać ze świeżego powietrza i sosnowego lasu, połączyć pożyteczne z przyjemnym.

Ulicę Szeroką, którą na pewno nieprzypadkowo nazywano żydowską (dla mnie miała specjalne znaczenie ze względu na dziadka i babcię), wielu lublinian znało z doskonałego pieczywa Symały. Pewna część młodzieży miała tu zaś swoje miejsce spotkań w sali tańców Wałachmana, niedaleko Kowalskiej. Spotykali się tam czeladnicy różnych warsztatów, młodzi rzemieślnicy; przeważała młodzież biedniejsza. Każdego wieczoru na całej prawie ulicy słyszało się dźwięki głośnej orkiestry, grającej modne szlagiery.

Pewnego razu i ja przestąpiłam próg sali tańców, oczywiście bez wiedzy moich rodziców i kolegów, którzy mogli taki krok uznać prawie za przestępstwo. Zaprowadziła mnie tam ciekawość, ale nie tylko — razem z moją koleżanką, Sarą Macharowską, w owym czasie zaczęłam się uczyć tańczyć; uczył nas, jak już wspomniałam, jej brat. Nauka siłą rzeczy odbywała się bez muzyki. Mój „nauczyciel” postanowił, że jakiegoś wieczoru pójdzie ze mną do Wałachmana, by skorzystać z orkiestry. Długo się wahałam, ale w końcu poszłam. Szmyszon zapewnił mi specjalną „straż”. On i jego kolega mieli pilnować, bym nie wpadła w ręce niepożądanego partnera. Określonego wieczoru „pod strażą” dwóch młodzieńców, z duszą na ramieniu, weszłam na salę. Nasze przybycie wzbudziło zainteresowanie, jak każda nieznana osoba w nowym środowisku. Szybko znaleźli się też chętni do tańca. Czulałam się

trochę zagubiona wśród nie znanych mi ludzi, ale Szymson i jego kolega „ratowali” mnie... i, tak jak to było umówione, „odbijali” (według przyjętego w owym czasie zwyczaju). Wiele tego wieczoru nie skorzystałam, ponieważ gra z „odbijaniem” trwała bez końca i wkrótce opuściliśmy lokal. Chcę podkreślić, że nie zauważyłam żadnego niewłaściwego zachowania stałych gości. Młodzież bawiła się, jak wszędzie na świecie.

Drogi do Cyruliczej

Od Targu Rybnego (żydowskiego) do Cyruliczej prowadziły dwie uliczki, jedna — Nadstawna, a druga — Furmańska. Przez nie chodziłam z mamą do siostry mojego ojca na Cyruliczą 14, gdzie przed świętem Pesach dokonywałyśmy różnych zakupów. W domu tym był bowiem sklep, w którym obok naczyń sprzedawano różne figurki z ceramiki albo porcelany przedstawiające postacie ludzi lub zwierząt — koty, psy, ptaki. Czasem prosiłam mamę, by mi kupiła kilka takich figurek, a kiedy udawało mi się ją do tego nakłonić, byłam szczęśliwa — długo się potem nimi bawiłam i ustawiałam je na szafce od naszego trema, albo na etażerze z różnego rodzaju szkłem, jak to było zwyczajem w wielu domach.

Nadstawną (a może była to Furmańska) zapamiętałam z przykrego, choć niezwykłego wydarzenia. Dotknęło mnie ono szczególnie, ponieważ znałam tych ludzi, jedną z córek ze szkoły powszechnej, a jej ojca jako klienta naszego warsztatu. Rodzina ta niczym się nie wyróżniała. I nagle rozeszła się wieść, że najstarsza córka szewca urodziła jego dziecko. Ciekawi zaczęli gromadzić się przed ich mieszkaniem, by przez oszklone drzwi, prowadzące do wnętrza prosto z ulicy, zobaczyć niecodziennych „bohaterów”. Główny „bohater” długo nie odważał się pokazywać na ulicy; wszyscy wytykali go palcami i potępiali, a dzieciom jego wstyd było przed ludźmi.

Wiele dni upłynęło, nim wydarzenie zaczęło przycichać, ale rodzina ta nigdy już nie cieszyła się dobrą opinią.

Cyrulicza, jej mieszkańcy i bajki

Chociaż do Cyruliczej prowadziło wiele dróg, była ona małą uliczką z dwoma dziesiątkami jedno- lub dwupiętrowych domków po obu stronach, nie licząc większej kamienicy Borensztajnow (róg Cyruliczej i Lubartowskiej). W owym czasie uliczka ta była jednak dla mnie wielką ulicą z ciekawymi miejscami, do których często zaglądałam. Przy niej był więc wspomniany już dom Fajgele Abrama-Lejzera, gdzie mieszkała moja koleżanka Brucha Gutharc, jedna z najbiedniejszych w klasie i w szkole powszechnej. Przy tej uliczce właśnie mieszkała ciotka Brucha, jedna z sióstr mojego ojca, której imię oznaczające błogosławieństwo prawdopodobnie pomagało jej w życiu. W porównaniu z rodzeństwem, była zamożna; miała szanującego ją męża, czworo sympatycznych dzieci — trzy córki i jednego syna. Z córek jedna była prawdziwą pięknoscią, natomiast syn zdolnym, o miłej powierzchowności młodzieńcem i oczkiem w głowie całej rodziny. Chociaż mąż Bruchy był szewcem, czyli „plamą na honorze rodziny”, należał do „lepszych” ludzi. Dobrze zarabiał, cieszył się opinią solidnego rzemieślnika. W przeciwieństwie do wielu szewców żydowskich, umiał czytać i pisać po polsku. Starał się też dać wykształcenie swoim dzieciom. O parę lat starsze ode mnie — Esterkę i Gucię posyłał przez kilka lat do gimnazjum (nieczęste zjawisko w owym czasie).

Wujostwo mieszkali w dwóch pokojach z kuchnią, w domu siostry wuja, Fajgele Walder, właścicielki sklepu przy Lubartowskiej 20, w którym kupowaliśmy naftę do naszych lamp. Odwiedzałam ich w towarzystwie rodziców i rodzeństwa, po powrocie mojego ojca z wojny. Odwiedziny odbywały się

najczęściej w soboty wieczorem, a największą atrakcją był tam gramofon. Po nastawieniu go, z dużej tuby powinna płynąć muzyka, ale faktycznie dochodziły do nas tylko chrypiące dźwięki, bardzo dalekie od muzyki. Mimo to gramofon był czymś niezwykłym.

Drugą atrakcją były różne bajki opowiadane przez czeladnika, Arona Jeleniewicza, pracującego w warsztacie wujka. Jego słuchaczami, oprócz mnie, było dwoje młodszych dzieci wujostwa, Symcia i Abramek. Abramek był określany mianem Kadisza, czyli tego, który miał po śmierci rodziców odmawiać modlitwę zwaną Kadisz. Jednej z bajek Arona wysłuchiwalismy — jak pamiętam — z zapartym tchem. Treścią jej była historia kobiety, jej garbatego męża oraz jego przyjaciół. Kobieta odznaczała się szczególną brzydotą i była wyjątkowo zła. Mimo tych „zalet” udało jej się wyjść za mąż, a wybrańcem był kaleka o wyjątkowo dużym garbie. By jego kalectwo było mniej widoczne zaczął przebywać z kilkoma sobie podobnymi. Kobiecie szybko obrzydło towarzystwo garbusów i postanowiła pozbyć się męża wraz z jego przyjaciółmi. Zastanawiała się więc, jak tego dokonać, i wymyśliła sposób uduszenia ich. Ugotowała ogromny garnek kaszy i zmusiła ich do jedzenia tak długo, aż się udławili. Kiedy dokonała swojego dzieła, trochę się przestraszyła i zaczęła zastanawiać, jak pozbyć się trupów... Wszystkich, oprócz męża, schowała w szafach. Jego zaś zostawiła siedzącego przy stole nad garnkiem kaszy i zaczęła głośno krzyczeć, że się udławił. Wkrótce zjawili się wysłannicy Towarzystwa Pogrzebowego, ułożyli zmarłego na podłodze, podłożywszy mu trochę słomy. Następnego dnia odprowadzili na cmentarz i pochowali według przyjętego rytuału, ubrawszy go w biały całun i zjawili się w domu po należną zapłatę. Tutaj spotkało ich jednak rozczarowanie. Przy stole, na tym samym miejscu zastali podobnego garbusa, a wdowa powiedziała im, że źle pochowali męża i... wrócił do domu. Wysłannicy nie mieli innego wyjścia, jak zająć się pochówkiem drugiego garbusa. Sztuczkę tę

wdowa powtarzała wiele razy, aż został pochowany ostatni garbus. Wtedy zapłaciła Towarzystwu, płacąc zamiast za kilka za jeden pogrzeb, i pozbyła się trupów nie wzbudzając żadnego podejrzenia.

Choć bajka ta wywoływała w nas ogromny strach, a garbusy i trupy śniły się po nocach, nigdy nie chcieliśmy z niej zrezygnować i słuchaliśmy tyle razy, ile chciał nam ją opowiadać Aron.

Aron — jak wspomniałam — wiele lat pracował u mojego wuja i uważany był prawie za członka rodziny, ale chcąc stać się nim rzeczywiście, postanowił poślubić Esterkę, najstarszą córkę wujostwa, którą prawie że wychował. Kiedy pierwszy raz oświadczył, że kocha Esterkę i jest gotów zrobić wszystko, by zapewnić jej dobre i dostatnie życie, wujek z żoną nie chcieli nawet o tym słyszeć: jak to, ich córka, mająca ukończone kilka klas gimnazjum, miałyby wyjść za szewca? Szukali więc dla niej lepszego partnera, próbowali przez swata, zastanawiali się nad kandydatem spośród znajomych i kolegów, którzy ją odwiedzali.

Aron Jeleniewicz nie rezygnował jednak ze swoich planów, a do przeprowadzenia ich przygotowywał się z cierpliwością i wytrwałością. Wiedząc, że największą przeszkodą jest jego szewstwo, postanowił zmienić zawód. Przy tej samej ulicy (Cyruliczej) w domu Borensztajna wynajął lokal, wyremontował go, wyposażył i otworzył, jak to wtedy nazywano, piwiarnię, gdzie można było kupić kawałek dobrej koszernej kielbasy lub gęsiny, przyrządzoną po żydowsku wątróbkę z cebulką i gęsim smalcem i wypić kufel piwa. Jego piwiarnia zyskała wkrótce dobrą „markę” i zaczęła konkurować z podobną Dorfsmana, mojego sąsiada z Lubartowskiej. Powodzenie piwiarni przełamało lody. Wujostwo zaczęli patrzeć na Jeleniewicza łaskawszym okiem, szczególnie, gdy możliwości wydania córki za kogoś innego zmniejszyły się. Marzenia Jeleniewicza przybrały realne kształty i wkrótce Esterka i Aron pobrali się. Byli zgodnie i w dostatku żyjącą parą; dochowali

się córeczki, która zdradzała duże zdolności muzyczne. Ich szczęście zniszczyła wojna, zginęli, podobnie jak wielu innych lubelskich Żydów.

Gucia, druga córka wujostwa, piękność z palącymi, czarnymi jak węgiel oczami i czarnymi kruczymi włosami, splamiła w pojęciu rodziny dobre imię rodziców. Zakochała się w żonatym mężczyźnie, co dla wielu Żydów i według obyczaju było niemalże przestępstwem. Prowadziło nawet do bojkotu (*Chajrem*) lub izolacji od przyjaciół i znajomych oraz wykluczenia ze społeczności. Dla mojego wujostwa była to tragedia. Człowiek, którego wybrała Gucia, nie mógł zerwać z żoną i co najgorsze – nie miał możliwości zarobkowania. Gucia będąca modystką (robienie damskich kapeluszy) też nie mogła dostatecznie zarobić na utrzymanie. Sytuacja była beznadziejna, a kochających się traktowano jak przestępców. Kiedy nie pomogły perswazje rodziców, by wyrzekła się ukochanego, zerwali z nią zupełnie. Gucia opuściła wtedy dom rodzicielski i zamieszkała z wybranym. W atmosferze bojkotu i odosobnienia nie czuli się szczęśliwi. Czasami spotykałam Gucię przypadkowo, raz nawet odwiedziłam ją w ich mieszkaniu; była bardzo przygnębiona i było mi jej bardzo żal. Rodzice też byli bardzo nieszczęśliwi – nie mogli pogodzić się z postępowaniem swojej córki, która dzięki wyjątkowej urodzie mogła być dla nich pociechą.

Trzecia siostra, Symcia, była moją koleżanką. Wcześniej poznała chłopca zatrudnionego w sklepie z manufakturą przy Cyruliczej, należącym do Cynamonów, rodziców mojego kolegi z gimnazjum Szperowej, i po kilku latach „chodzenia” wyszła za niego za mąż. Jego imienia i nazwiska nie pamiętam – moje kontakty w tym okresie rozluźniły się, zapamiętałam jednak, że jak na Żyda jej chłopak był wysokim i szczupłym mężczyzną.

I wreszcie Abramek, najmłodszy z dzieci wujostwa, zakochał się w dziewczynie o nazwisku Kapelusznik. Ich miłość została poddana nie lada próbie. Dziewczyna zaangażowała się

w nielegalnym ruchu rewolucyjnym i za tę działalność skazano ją na dwa lata więzienia. Abramek bardzo przeżywał rozłąkę. Jeszcze dotkliwiej odczuli to wydarzenie jego rodzice; dla nich był to wstyd, że trafiła do więzienia, bez względu na przyczynę. Mój kuzyn wiernie czekał na powrót swojej ukochanej, którą zwolniono wcześniej, prawdopodobnie za kaucją.

Odwiedziny u wujostwa nagle stały się dla mnie męczące. A powodem była pożyczka, jaką zaciągnął u nich mój ojciec, by finansować wspólny sklep z obuwem na Nowej (dziś Rady Delegatów), pod firmą Altmana, ojca mojej koleżanki, który miał też być współnikiem wuja. Transakcja okazała się nieudana, a sklep deficytowy. Mój ojciec stracił wszystkie włożone pieniądze, swoje i pożyczone; zostały tylko długi. Nie mógł znaleźć sobie miejsca, był zrozpaczony. Najbardziej martwił się, jak słyszałam z rozmów z matką, nie stratą własną, ale tym, że nie może zwrócić długu wujostwu. Nie mogłam znieść jego cierpień.

Pewnego razu, podczas mojej wizyty u nich, wujostwo zaczęli obrzucać obelgami mojego ojca. Oskarżali go, że zabrał pieniądze i nie chce im oddać. Wydawało mi się, że ich oskarżenia i obelgi nie będą miały końca. Czułam się pokrzywdzona i nieszczęśliwa. Nie mogłam przeboleć ich niesłusznych wyrzekań, a ponieważ nie potrafiłam wyrazić słowami swoich uczuć, siedziałam jakby skamieniała, aż w końcu wybuchnęłam płaczem — jedyną bronią dziecka w takiej sytuacji. Nie pamiętam, w jaki sposób wróciłam do domu i czy opowiedziałam o tym swoim rodzicom. Przez kilka lat omijałam jednakże dom wujostwa. Z rodzicami i rodzeństwem udałam się do ciotki dopiero po wybuchu wojny. Zebrali się tam wszyscy jej bracia i siostry z rodzinami, żeby udzielać sobie pomocy w tym niebezpiecznym okresie.

Walderowie, właściciele domu przy Cyruliczej 14, mieli sporo dzieci, liczby nie pamiętam, choć znałam je wszystkie. Przez wiele lat dom utrzymywała siostra mojego wuja. Na imię

miała chyba Fajgele. Była to drobna, zawsze zagoniona, chudziutka kobieta, ze znoszoną peruką na głowie. Jej rodzina zajmowała pierwsze piętro, tj. pokój z kuchnią. Gdy wszyscy w nim byli, miałam wrażenie, że nie zmieściłaby się już przysłowiowa szpilka. Drugie piętro zajmował brat Fajgele. Przy wejściu do domu znajdował się sklep, który służył jako „piwiarnia” i był źródłem dochodów. Potem dochody z „piwiarni” Walderów zaczęły maleć, możliwe nawet, że wskutek konkurencji Jeleniewicza, który swoją urządził w sposób nowoczesny. Nie bez wpływu były też wzrastające potrzeby — posag dla dwóch córek, nauka trzeciej i dwóch chłopców; wyczerpano rezerwy, aż do domu coraz częściej zaczął zaglądać niedostatek. Posag otrzymała właściwie tylko starsza córka, którą Fajgele wydała za kupca manufaktury. Młodzi doczekali się córeczki wykazującej duże zdolności muzyczne. Dziewczynką zainteresowało się radio, niezbyt częste zjawisko w stosunku do dziecka żydowskiego. Gdy miała cztery lata, wystąpiła nawet z koncertem. Mówiło się o niej jako o wyjątkowo zdolnym dziecku.

Druga córka, Blumele, przejęła sklep z naftą przy ulicy Lubartowskiej 20. „Kokosów już nie robiła”, szczególnie gdy po roku 1926 zbudowano w Lublinie elektrownię miejską.

Trzecia córka uczęszczała do gimnazjum Czarneckiej, które ukończyła jako jedna z najlepszych uczennic, wyróżniająca się zdolnościami do matematyki. Przedmiot ten studiowała potem na Uniwersytecie Warszawskim. Owe zdolności rekompensowały jej brak urody i niedostatki w ubiorze szkolnym, z którymi miała wiele kłopotów.

Z pozostałych dzieci pamiętam czwartą córkę, Gunię, z jej niebieskoszarymi dużymi oczami i blond włosami, którymi wyróżniała się od reszty rodzeństwa. Z jednym z dwóch synów uczyłam się w Gimnazjum Humanistycznym, a później spotkałam się w ruchu robotniczym, w którym zaangażował się on i jego młodszy brat.

Cyrulicza była małą uliczką, jak ją zapewne zapamiętało wielu lublinian, ale z balkonu mojej ciotki mogłam oglądać jeszcze mniejszą. Uwagę okolicznych dzieci przyciągała mieszcząca się na niej fabryka świec. Białe, duże świece używane w czasie Jom Kipur stały w rzędach jak żołnierze. Dla nas było wielką tajemnicą, jak umieszczano się w ich środku długie knoty. Nigdy nie udało nam się zobaczyć tego przez okno, choć uważnie obserwowaliśmy cały proces tworzenia świec. Nie śmiałyśmy jednak wejść i poprosić o wyjaśnienie. Faktycznie fabryka była tylko małym warsztatem o prymitywnych metodach pracy, zatrudniającym kilka osób. Dla nas, dzieci, warsztacik był jednak krainą cudów, o czarownych właściwościach.

Później odkryłam przy Cyruliczej jeszcze jeden punkt. Było to mieszkanie Bidermanów, naprzeciwko mojej ciotki. Mieli sklep z przyborami rymarskimi: byli rodziną zamożną. Po raz pierwszy słyszałam o nich od Szymzona Macharowskiego, brata mojej koleżanki, który u nich pracował. Potem była historia z synem Bidermanów, Chaskielem, który postanowił wprowadzić w życie rzecz niemożliwą w owym czasie. Próbował założyć rodzinę, biorąc ślub cywilny, tj. bez udziału rabina. W tenże sam sposób chciał zalegalizować nowo narodzone dziecko. Legalizacji nie osiągnął, ogłoszono natomiast *Chajrem* (bojkot) jego osoby, rodziny oraz sklepu. Wyłączono go ze społeczności żydowskiej, a i część społeczeństwa polskiego uważała jego postępowanie za naganne. Żonę jego uważano za kobietę lekkich obyczajów, a dziecko za bękartą. Obyczajowy i ekonomiczny bojkot zrujnowały rodzinę Chaskiela.

Żydowska kolonia letnia w Nowodworze

Do Nowodworu jeździliśmy zwykle latem, podobnie jak wiele innych rodzin żydowskich z Lublina i Lubartowa. Pozwolić sobie na ten wyjazd mogli ci, których dochody

przekraczały minimum potrzebne na utrzymanie. Ludzie ci chcieli dać swoim dzieciom możliwość oddychania przez kilka tygodni czystym powietrzem, z dala od ciasnych mieszkań i śmierdzących zamkniętych podwórzy, z dala od ciężkich codziennych warunków. Chcieli, by przez tych kilka letnich tygodni wzmocniły się płuca dzieci i mieli nadzieję, że uchronią ich od straszliwej, nieuleczalnej w owym czasie, szalejącej gruźlicy. Las sosnowy z młodym zagajnikiem miał dokonać cudów. I w ten sposób powstał rodzaj kolonii letniej w Nowodworze.

Wszyscy letnicy mieszkali w wiosce — kolonii, która rozpoczynała się wzdłuż lasu i ciągnęła na przestrzeni około 5 kilometrów. Właściwa wioska, oddalona od lasu, znajdowała się po jego drugiej stronie. Kolonię stworzyli biedni, bezrolni lub małorolni chłopcy. Żyli w strasznej nędzy. Prawie nigdy nie jadal mięsa, jajek ani mleka, a jeżeli nawet je produkowali, musieli wszystko sprzedawać, by zdobyć najkonieczniejszą odzież i obuwie na zimę (latem chodzili boso, a ich dzieci na wpół nago). Jeżeli posiadali ziemię, był to kawałek piaszczystego pola, na którym nie rodziło się zboże; ostatecznie nadawał się pod kartofle.

Rodzina, u której mieszkaliśmy kilka razy, miała swój domek koło zagajnika, a naprzeciwko właściwego lasu. Domek był bardzo mały. Oprócz pokoju miał komórkę bez okna — tam przenosili się latem. Lamy nigdy nie zapalali; musieli oszczędzać naftę i zapalki. Mieli dwójkę dzieci w wieku czterech i sześciu lat, kładli się spać „razem z kurami” i wstawali o brzasku. Wychudła, młoda kobieta, o przedwcześnie postarzałej twarzy, rozpoczynała swój dzień od ugotowania jakiejś stawy dla całej czwórki. Potem wyruszała razem z mężem na swój mizerny kawałek ziemi, gdzie pracowali cały dzień. Dzieci zostawały same i same też musiały sobie radzić. Bywały głodne i brudne. Moja matka zawsze dawała im trochę jedzenia, ja natomiast bawiłam się z nimi.

Chłop, u którego mieszkaliśmy, nie miał nawet własnej

studni. Po wodę musieliśmy chodzić do jego sąsiada, który patrzył na to niechętnym okiem. U tegoż sąsiada kupowaliśmy także mleko. O inne produkty było bardzo trudno. Dwa razy w tygodniu, we wtorki i piątki udawałyśmy się więc obie z matką na jarmark; duży ciężar musiałyśmy potem nieść 3 kilometry. Czasami zdarzało się nam napotkać furmankę chłopską, której właściciel godził się podwieźć nas za pewną opłatą.

W piątki przyjeżdżał do Nowodworu mój ojciec, dźwigając paki z jedzeniem dla nas. W jego bagażu zawsze mieściła się jakaś kura, kawałek mięsa, trochę jabłek i gruszek — zakupy, które robił po pracy, a przed odjazdem pociągu. W piątki wieczorem moje rodzeństwo, mama i ja, wszyscy wymyć i uczesani maszerowaliśmy na stację, by oczekiwać ojca i zabrać od niego ciężkie paczki. Wyprawa po ojca i oczekiwanie od niego czegoś dobrego było rekompensatą za dzień naszej pracy i wędrówkę do Lubartowa, gotowanie i sprzątanie, noszenie ogromnej ilości wody do mycia i kąpieli. Po całodziennym mitrędze pójście na spotkanie z ojcem, za którym tęskniliśmy cały tydzień, było wielką przyjemnością i przygodą.

W opisany sposób żyła wieś i letnicy w pierwszych latach naszych tam wyjazdów. Stopniowo sytuacja zmieniała się. Lubartowscy Żydzi zaczęli otwierać latem w Nowodworze swoje sklepiki, zaopatrując letników w konieczne produkty. W tych sklepach w poniedziałki i czwartki zamawiały gospodynie wszystko, co im było potrzebne.

Koleżanka matki mojej, Fajga Zalcman, otworzyła taki sklepik jako jedna z pierwszych. Niestety, będąc już ciężko chorą na płuca — w jej relacji, na skutek pobicia przez jakiegoś kozaka — musiała stale leżeć w łóżku i korzystać z opieki męża i córek. Cały ciężar prowadzenia sklepu przejął jej mąż Abuś i trzy córki: Heńcia, Chana i Luba. Wszyscy czworo musieli raniutko, gdy „Bóg jeszcze spał”, wędrować do Lubartowa, by otwierając sklep mieć świeże pieczywo, śmietanę, masło, ser, jajka i inne produkty. Ich harówkę trudno

opisać. Nigdy nie mogli sobie pozwolić na odpoczynek i dostateczny sen. Skarżyła się jedynie Chana, często płakała, że nie daje rady tak ciężko pracować dzień w dzień. Płacz w niczym nie mógł jej pomóc; musiała pracę wykonywać razem z siostrami i ojcem. Dzięki wysiłkom całej czwórki podczas sezonu mogli jako tako wyżywić się i czasami jeszcze coś odłożyć na zimę. Chociaż Abuś był dobrym szewcem, nie mógł ze swego szewstwa utrzymywać rodziny. Sklepiak w Nowodworze przez kilka lat pomagał Zalcmanom przeżyć trudne dni; wkrótce jednak pojawili się konkurenci i zabrakło źródła dochodu.

Żydowski letnicy z Lublina i Lubartowa zaczęli stopniowo zmieniać sytuację mieszkańców i wygląd wsi. Razem z ich przybyciem dla chłopów stworzyły się nowe możliwości zarobku, czyli zapłata gotówką za odnajmowanie mieszkań. Chłop na przykład, u którego mieszkaliśmy, potrafił zebrać odpowiednią sumę pieniędzy i wybudować większy dom. Inny zaś wybudował dom o kilku pojedynczych pokojach do wynajęcia, który letnicy nazwali wagonem, ponieważ stał na kilku kłocach; żartowali, że wystarczy zamienić te ostatnie na koła, by dom mógł jeździć. Każdego lata i ten właściciel odkładał stosunkowo dużą sumę pieniędzy.

Innym źródłem zarobków stało się przewożenie bagażu przyjezdnych i zakupionych przez nich na jarmarkach produktów. Letnicy kupowali też nadwyżki produktów na miejscu, oszczędzając sprzedającym jazdy do Lubartowa. Transakcje takie były szczególnie wygodne dla chłopów, którzy nie posiadali własnego konia i wozu. Możliwości zarobkowania stwarzały także sklepiaki, do których chłopci dowozili z miasta zamówiony przez kupców towar.

Zmiana struktury i wyglądu wsi wpłynęła na szybki wzrost ceny mieszkań. Z tego powodu zmienili się też letnicy. Na wynajęcie mieszkań w Nowodworze mogli teraz pozwolić sobie tylko bogatsi. Moja rodzina musiała zrezygnować z wyjazdów, ale czasami rodzice jeszcze wysyłali mnie tam. Korzystałam

wtedy z gościny Zalcmanów — sypiałam w sklepie. Prawdę powiedziawszy, wieś mnie zbytnio nie ciągnęła. Podczas kilkutygodniowego pobytu w niej traciłam kontakt z kolegami i kolegami pozostającymi w domach. Nowe kontakty, na miejscu, nawiązywało się z trudem. Dni stawały się monotonne i nudne. Siedzieliśmy godzinami w lesie, oddychaliśmy świeżym powietrzem, przybywaliśmy na wadze i oczekiwali przybycia matki, która, podobnie jak inne, miała wrócić z jarmarku, albo zakończyć porządki domowe — pranie, sprzątanie, ugotować i przynieść nam posiłek, a także znaleźć czas, by się z nami pobawić. Posiłków oczekiwaliśmy zawsze z niecierpliwością — na powietrzu rosły nasze apetyty.

Pewnej nocy wydarzyło się coś, co wstrząsnęło całą wsią oraz stało się tematem długich rozmów i domysłów. Wydarzenie było rzeczywiście niezwykle. Jednej jasnej, letniej nocy nagle usłyszano krzyki, które pochodziły ze studni naszego sąsiada, skąd braliśmy wodę. Krzyki spowodowały, że ze strachu i różnego rodzaju obaw nikt nie śmiał wyjść i ustalić przyczyny hałasu. Krzyki jednak nie ustawały. Mnie mimo to nie obudziły i dopiero rano dowiedziałam się o nocnym wydarzeniu. Okazało się, że kobieta mieszkająca u chłopca, u którego braliśmy wodę, wpadła do studni. W jaki sposób ta chora kobieta, nie opuszczająca mieszkania mogła dostać się do tej bardzo głębokiej studni, nikt nie wiedział. Niektórzy twierdzili, że złe duchy ją tam ściągnęły, inni utrzymywali, że jest lunaticzką wędrującą we śnie, prowadzoną światłem księżycy i nie pamiętającą we dnie o swoim nocnym działaniu.

Mijały godziny a nikt nie odważył się zejść do studni i wyciągnąć nieszczęśliwej. Nikt jakoby nie śmiał mieszać się do „planów złych duchów” i mieć z nimi do czynienia. W końcu po długich wahaniach i dyskusjach kilku chłopów postanowiło wydostać kobietę ze studni. Nie było to wcale łatwe. Śmiałkowicie związali razem kilka drabin i bardzo ostrożnie, by nie zranić kobiety, spuścili je do studni. Gdy drabina została ustawiona, wyłoniła się nowa trudność — chora niezdolna była

wejść na nią. Ratownicy musieli zdobyć się na inny sposób. Jeden z nich postanowił zejść do studni, umożliwić chorej wejście do spuszczonego wiadra i podpierając je głową pomagać przy wyciąganiu go na powierzchnię. W ogromnym napięciu wszyscy zebrani śledzili akcję ratowniczą; trwała ona długie godziny. Kobiecie nic się nie stało, a nawet, jak opowiadano, od tego czasu więcej nie chorowała.

Wydarzenie to spowodowało, że przypominano sobie wiele różnych nie kończących się bajek. Mój ojciec na przykład opowiadał, że kiedy w latach młodości wracał późną nocą do domu łąkami na Kalinowszczyźnie, nagle zauważył, iż kilka bardzo wysokich postaci w bieli goni za nim. Jak się potem okazało, poruszały się na szrudłach i stale zapewniały ojca głośnymi krzykami, że są umarłymi wracającymi z tamtego świata. Ktoś inny na jego miejscu mógłby umrzeć ze strachu, mój ojciec jednak zrozumiał, że nie może być mowy o żadnych umarłych, ale wiedział, iż może od nich oberwać. Na szczęście prześladowcy zaplątali się w prześcieradła i nie udało im się ojca doścignąć.

Opowiadanie ojca przypomniało mi inne — mojego dziadka, który chciał mnie uodpornić na wiarę w duchy, straszące po nocach. Pewnej nocy — opowiadał on — przechodził koło starego cmentarza żydowskiego na Kalinowszczyźnie. Nagle usłyszał donoszący się z drzewa głos, który nakazywał mu przyjść odwiedzić oczekujące go dusze swoich rodaków. Głos, czy też kilka głosów, uporczywie powtarzał zaproszenie. Mój dziadek odpowiedział twardo, że nie wierzy w takie cuda. W końcu, gdy „głosy” zrozumiały, że nie uda im się przstraszyć dziadka, przyznały się, że już wielu ludzi nastraszyły w ten sposób i przekonały o powrotach dusz, żądających różnych usług pod groźbą zemsty za doznane za życia krzywdy.

Matka moja przypomniała sobie inne wydarzenie, które mogło wpłynąć, by zaczęła wierzyć w diabły, duchy i jakiesi siły nie z tego świata. Pewnego późnego wieczoru wracała do domu

na Czwartek, gdzie wtedy mieszkała z rodzicami. Nagle zauważyła na ścianie ogromny cień konia. W pierwszej chwili bardzo się przestraszyła, opanowała się jednak szybko i postanowiła zbadać, skąd wziął się ten cień. Cóż się okazało? Olbrzymi cień pochodził od maleńkiego konika-zabawki dziecięcej ustawionego w oknie pobliskiego domu.

Wszystkie te opowiadania o prawdziwych i nieprawdziwych diabłach i duchach, których najbardziej ulubionym miejscem pojawiania się miały być studnie, natchnęły grupę młodzieży do odegrania sceny z duchami. Jakiegoś późnego wieczora owinęliśmy się białymi prześcieradłami i zaczęli spoza studni powoli zbliżać się do siedzących przed chatami letników nowodworskich. Jeden z nich, Cygielman, postanowił nauczyć moresu rzekome duchy. Do „lekcji” zabrał się zbyt energicznie i żart o mało nie skończył się przykrym akordem. Na szczęście matki szybko rozpoznały w duchach własne dzieci i obroniły je przed Cygielmanem.

Tego lata przyjechała do Nowodworu duża grupa młodzieży w różnym wieku, od trzynastu-czternastu lat do dwudziestu paru. Wszyscy razem spędzali czas. Było między nimi sporo inteligentnych młodych ludzi i wobec tego nie brakowało ciekawych pomysłów. Grupę tworzyli m.in.: Suza Zorman, po ukończonym seminarium nauczycielskim, Mojsze Zorman, student medycyny — mój korepetytor, Chawele, najmłodsza z rodzeństwa, z którą się zaprzyjaźniłam, dwoje Goldfingierów z Lubartowa: Jankiel i Jakub — student prawa, cyniczny żartowniś, o którym nigdy nie wiedziało się, co naprawdę myśli, wszystko i wszystkich wyśmiewający, a we mnie budzący zawsze podziw i strach zarazem, jego siostra Róża (w moim wieku), dziewczyna o wielkim wdzięku, miłej powierzchowności i przyjemnym sposobie bycia, z którą zaprzyjaźniłam się. Była wtedy uczennicą gimnazjum w Lubartowie. Bliższą znajomość zawarłam też z dziewczyną o nazwisku Szajngczycht. Miała ładną twarzyczkę, nie odznaczała się jednak intelektem. Po powrocie do Lublina spotykałam się z nią przez

jakiś czas, mieszkała podobnie jak ja na Lubartowskiej. Jej ojciec, stolarz, miał sklep z meblami na Nowej. Dziewczyna ta wyszła wcześniej za mąż i przeniosła się do Warszawy. Mieszkała na Okopowej, niedaleko cmentarza. Kiedy odwiedziłam ją w latach trzydziestych, miała już wtedy dwoje dzieci. Żyła spokojnie; mąż jej nieźle zarabiał.

Do trzynasto- i czternastolatków nowodworskich letników należała Szrojtówna, córka właściciela biura podań w Lublinie, najmniejsza z nas — czwórki dziewcząt, które trzymały się razem. Była ładną czarnulką o miłej buzi; miała trochę krzywe nogi, pozostałość po przebytej częstej wtedy „angielskiej” chorobie. W przeciwieństwie do dwa-trzy lata starszego brata, z którego trochę się nabijano, wyróżniała się szybkim refleksem i dobrą orientacją.

Odpoczywająca młodzież usiłowała wciągnąć mnie do zabaw i spacerów, ale mnie to nie było w głowie — od rana do późnego popołudnia siedziałam nad książkami i wkuwałam lekcje, zadawane przez Suza lub Mojsze, gdy ten ostatni wyjeżdżał do Lublina. Decydował strach przed zawaleniem egzaminu do gimnazjum — mimo zapewnień moich korepetytorów, że znam materiał dostatecznie, nie wierzyłam w możliwość łatwego zdania. Uczyłam się solidnie i w godzinach, które sobie wyznaczyłam na naukę, nikt i nic nie było w stanie oderwać mnie od leżaka w lesie, gdzie między drzewami, z dala od ludzi, odrabiałam lekcje. Ściśle przestrzegałam dyscypliny, którą sobie sama narzuciłam. Dwa miesiące wakacyjne spędziłam prawie wyłącznie w towarzystwie mojej lektury. Dużo trudu kosztowało mnie opanowanie tajników języka łacińskiego. Łacina była wtedy obowiązkowa w gimnazjach, w Szkole Powszechnej zaś nie było jej w programie. Zdawało mi się, że nigdy się jej nie nauczę. Bałam się bardzo, podobnie jak francuskiego. Choć wykładano go w Powszechnej, nie byłam jednak pewna swoich umiejętności. Poza tym moje obiekcje dotyczyły dziedziny fantazji, nie czułam się mocna, gdy trzeba się było nią posługiwać. Im więcej się

uczyłam, tym mniej czułam się pewna. Aż nadszedł wreszcie kres mojej wakacyjnej harówki i niepokoju — pewnego pięknego poranka stawiałam się na Zamojskiej 12, gdzie znajdowało się jedno z dwóch żydowskich gimnazjów.

Gimnazjum Szperowej — egzamin i nauczyciele

Gimnazjum Szperowej było szkołą prywatną; prowadziła je kobieta, która przejęła go po śmierci męża. Istnienie szkoły było zawsze zależne od polityki państwa nie popierającego szkół mniejszości narodowych i sytuacji ekonomicznej. Uczniowie w większości rekrutowali się z biedniejszych grup społeczeństwa żydowskiego, korzystali więc z ulg w opłatach czesnego. Pewną materialną bazę szkoły stanowiła niewielka, ale uprzywilejowana grupa bogatszych uczniów. Do nich stosowano metodę „patrzenia przez palce” na brak umiejętności. Zależność szkoły od bogatszych uczniów demoralizowała ich — lekceważyli naukę, wiedząc, że nie dostaną złych stopni. Sytuacja ta prowadziła nieuchronnie do konfliktów między nauczycielami a właścicielką i między uczniami widzącymi niesprawiedliwą ocenę umiejętności. Rezultatem opisanej polityki musiał być nieunikniony spadek poziomu nauki.

Na egzamin stawilo się kilku znajomych z Powszechnej. Wszyscy byliśmy niezwykle zdenerwowani. Miał nas egzaminować Konrad Bielski, późniejszy adwokat i pisarz, członek lubelskiego oddziału związku literatów, a w owym czasie student prawa, łatający swój skromny budżet kilkoma godzinami nauczania łaciny. Jego ukazanie się w klasie wywołało panikę, a wysoka sylwetka, twarz bez wyrazu o wodnistych niebieskich oczach, nie zapowiadały nic dobrego. Głos jego nie tylko nas nie uspokoił, ale wręcz wywołał skurcze serca,

szczególnie, gdy zapowiedział, że „za pomaganie innym lub zagładanie do cudzych zeszytów grozi dyskwalifikacja i utrata prawa do egzaminu”. Jego przedmiot rzeczywiście wypadł najgorzej. Wszyscy prawie „zarobili” dwóje. Mnie jakoś się upiekło, oceniona zostałam na trzy z minusem, co według Bielskiego oznaczało dobry stopień. Na szczęście, wkrótce po egzaminie opuścił szkołę. Po nim przyszła młoda nauczycielka, Peniakier, u której wielu uczniów z egzaminacyjnymi dwójkami okazało się dobrymi łacinnikami. Myliłby się ten, kto by sądził, że ona stawiała stopnie bez pokrycia. Uczniowie u niej chętnie się uczyli i znali przedmiot. Ze swoim miłym uśmiechem na ustach, dokonywała niemal cudów; poлюбiliśmy łacinę i chętnie poświęcali jej swój czas. Zadawane przez Peniakier prace klasowe stały się czymś w rodzaju konkursu, jakąś miłą próbą sił pozwalającą przyswajać sobie zawile formuły gramatyki i teksty.

Egzamin z francuskiego przeprowadzała Kuropatwianka, córka znanego kupca obuwiem z Krakowskiego Przedmieścia, elegancko ubrana, wysoka, o czarnych, krótko przystrzyżonych włosach. Swoje żądania wyłożyła przed nami cichym opanowanym głosem, który budził szacunek i sympatię, a na nas podziałał uspokajająco. Egzamin przeszedł dobrze. Jej zachowanie dodawało nam otuchy i wiary w dobre wyniki z innych przedmiotów.

Dobrze zapamiętałam egzamin z matematyki u Glazberga, mężczyzny lat około pięćdziesięciu, o dużym, wystającym brzuchu; miał jedno oko pokryte bielmem i spiczasty nos. Przesłuchiwanie uczniów, jak łatwo można było zauważyć, nie interesowało go, a może nawet nudziło i niecierpliwiło. Przedmiot swój znał dobrze, ale wyklądać, zapalić uczniów, nie umiał. Z tego powodu sam stawiał pytania i sam na nie odpowiadał. Pomagał też uczniom w pisaniu klasówek, sam je odrabiając. Szczególnie lubił pomagać dziewczętom. Nowy materiał wprowadzał stosując szczególny system — dyktował nowe formuły, nie tłumacząc ich. Jego cechy i przyzwyczajenia

dały się zauważyć od razu podczas egzaminu. O nich poinformowali nas zresztą uczniowie wyższych klas. Egzamin z matematyki wypadł nie najgorzej.

Większość egzaminowanych została przyjęta do klasy piątej. Na pewno dużą rolę odegrała sytuacja materialna szkoły — nie mogła pozwalać sobie na luksus odrzucenia większej grupy. Taki krok mógłby wpłynąć na zagrożenie egzystencji szkoły. Nauczyciele zawsze stali przed dylematem: czy stawiać surowe stopnie, a tym samym zmniejszyć ilość uczniów, czy „patrzeć przez palce” i wystawiać lepsze oceny, w szczególności uczniom bogatszym, którzy nie korzystali z ulg w opłacaniu czesnego, a więc poprawić materialne rezerwy szkoły.

Każdego dnia, przed lekcjami, przychodził do klas woźny z listą uczniów zalegających z czesnym; oczekiwano go jak sądowego wyroku. Po odczytaniu spisu wymienieni uczniowie musieli opuścić klasę. Szczęśliwcy, którzy mieli prawo pozostać, patrzyli na wychodzących z różnymi uczuciami: jedni ze współczuciem, inni z drwiną. Lista zawierała prawie zawsze te same nazwiska, z małymi tylko zmianami w różnych okresach. Wymieniani zawsze czuli się poniżeni i zagrożeni pozostaniem na drugi rok w tej samej klasie, tym bardziej, że nieobecność trwała dzień, tydzień i dłużej, zależnie od czasu, w jakim rodzice mogli zebrać potrzebną sumę, lub uczniowie sami potrafili zdobyć pieniądze z korepetycji. Nieobecność w szkole nie zmniejszała długu, ponieważ czesne było sumą ustaloną na cały rok szkolny. W ten sposób dług stale rósł i przeważnie płaciło się z dołu. Po wpłacie prawie zawsze uczniowie znów z drżeniem oczekiwali pojawienia się woźnego. By uniknąć znalezienia się na liście, niektórzy próbowali przed lekcjami uzyskać z sekretariatu zezwolenia pozostania w klasie, ale było to rzadkością. Niektórzy nauczyciele wyrażali swoje współczucie, inni próbowali się nawet usprawiedliwiać, wszyscy jednak wiedzieli dobrze, że ich los jest zależny od realizacji opłat, byli więc bezradni.

Kolejnym nauczycielem był Minzer, człowiek surowy, lat około pięćdziesięciu. Uczył w niektórych klasach matematyki i rysunków. Mnie uczył tylko tego ostatniego przedmiotu. Brak zdolności w tym kierunku powodował, że lekcje z nim były dla mnie ciężkim przeżyciem, a po nich zawsze czułam się przygnębiona. Prawie wszyscy się go bali. Nie potrafił też zdobyć zaufania uczniów, choć uważano go za dobrego nauczyciela.

Lajbele Szper uczył nas hebrajskiego i historii Żydów. Był już wtedy starszym człowiekiem i prawdopodobnie cierpiał na sklerozę. Jego lekcje przypominały parodię takowych. Zaczynał je od wywołania do odpowiedzi jakiegoś ucznia. Gdy tylko ten zaczynał odpowiadać na pytanie, Lajbele zasypiał, nie słuchając co wywołany mówił. Kiedy uczeń kończył, Lajbele budził się i stawiał stopień. Dobry uczeń dostawał zawsze dobry stopień — zły ocenę niezależnie od aktualnych umiejętności. Klasa brała udział w ocenie i próbowała pomagać słabszym. Na lekcjach hebrajskiego wystarczyło zacząć: *Pääm Achad...* (pewnego razu), bo po pierwszych słowach nauczyciel zwykł był zasypiać, a wtedy można było dać upust fantazji i mówić co ślina na język przyniosła. Nie wolno było tylko zamilknąć, bo w tym momencie Lajbele budził się i stawiał dwójkę. Nie lepiej wyglądały jego lekcje historii Żydów. Płatało mu się różne figle, zabierając np. dziennik klasowy, zmieniając oceny, albo w ogóle chowano się przed nim, kiedy przychodził na lekcję. Pewnego razu, gdy Lajbele spał w najlepsze przy stoliku nic nie podejrzewając, Mydler, syn właściciela kolektury, wpadł na pomysł, który wielu uczniom przypadł do gustu. Przynieśli do klasy sporo śniegu, zrobili parę kul i rzucili na sufit, by się przykleiły, dokładnie nad głową nauczyciela. Śnieg oczywiście szybko zaczął tajać i krople spadały na łysinę Lajbele. Po pewnym czasie woda zaczęła mu spływać za kołnierz koszuli. W końcu oczywiście poczuł ją. Klasa w napięciu czekała na wynik, wszyscy siedzieli jak skamieniali. Lajbele obudził się i ze zdziwieniem stwierdził,

że woda kapie z sufitu. Uczniowie zaczęli go z niewinnymi minami i udanym współczuciem zapewniać, że woda przecieka z mieszkań nad klasą. Tłumaczenie było całkiem prawdopodobne, bo woda z dziurawych podłóg z mieszkań o piętro wyżej nieraz spływała na głowy uczniów. Lajbele wygodnie było przyjąć tłumaczenie za dobrą monetę, w przeciwnym wypadku musiałby się przyznać, że długo spał, a to mogło prowadzić do utraty pracy, co w ówczesnych warunkach masowego bezrobocia byłoby katastrofą dla człowieka w jego wieku.

Nauczycielka języka polskiego i literatury była ofiarą drwin młodzieży. Sam jej wygląd budził drwiące uśmieszki. Była wysoka i nadzwyczaj chuda – „skóra i kości”. Odzież wisiała na niej jak na kiju, dekolt odsłaniał skórę pełną zmarszczek, piersi w ogóle się nie odznaczały, może ich wcale nie miała. Miała włosy nieokreślonego koloru, przypominały, że kiedyś była blondynką o gęstych kędziorkach. Przedmiot znała dobrze, ale nie potrafiła utrzymać dyscypliny i porządku w klasie. Poza tym nie mogła zapamiętać nazwisk, co uczniowie wykorzystywali nad miarę, szczególnie jeżeli weźmiemy pod uwagę złe warunki lokalowe. Z powodu braku szatni musieliśmy trzymać wierzchnią odzież w klasie. Pod nią chowali się ci, którzy nie chcieli brać udziału w lekcjach. U niej udawało się, by jeden uczeń odpowiadał na pytania za innego, nie przygotowanego do lekcji. Często też uczniowie schowani pod paltami niepostrzeżenie wymykali się z klasy, wykorzystując moment, kiedy stała plecami do drzwi, które wcześniej udało im się otworzyć. Trzeba podkreślić, że starała się dać nam szerszy pogląd na literaturę; uczyła oceniać dzieła literackie; była pierwszą, która rekomendowała nam pisarzy literatury światowej. Od niej po raz pierwszy usłyszeliśmy o książkach Juliusza Verne’a. Skupiona wokół niej grupa uczniów czyniła duże postępy w znajomości literatury. Kto tylko miał ochotę, mógł od nauczycielki wiele skorzystać. Niestety, nie pamiętam jej imienia, lecz przezwisko – „Heńcia”. Nie potrafiła wymawiać

ch, zastępowała je zawsze przez h. W jej wykonaniu np. cytata z *Zemsty* Fredry brzmiał: „Asesor i rejent oprócz własnej *niehęci* świeżą hańbę swych *hartów* mieli na pamięci”.

Ofiarą uczniowskich drwin był też nauczyciel gimnastyki, Jubel. Na pewno brak autorytetu można przypisać w dużej mierze samemu przedmiotowi, którego znaczenia w owym czasie nie doceniano. Szkoła nie miała potrzebnego sprzętu, nie mówiąc już o sali gimnastycznej. Jeżeli dopisywała pogoda, chodziliśmy do pobliskiego maleńkiego parku Rusałka, o niewielkiej liczbie anemicznych drzewek, albo ćwiczyliśmy trochę na szkolnym podwórku. Najczęściej jednak inni nauczyciele, którzy nie nadążali z programem (a tacy zawsze się znajdowali), przejmowali jego godziny, a Jubel musiał im ustępować. W takich wypadkach działał zawsze strach przed władzą, to, że może negatywnie ocenić umiejętności nauczycieli i uczniów i zamknąć szkołę. Argument ten był nie do odparcia, wobec tego wszystkie przedmioty były ważniejsze od wychowania fizycznego, a uczniowie nie mogli wysoko cenić nauczyciela takiego przedmiotu, niezależnie nawet od jego kwalifikacji i zalet osobistych. Trzeba dodać, że Jubel nigdy nie podnosił głosu i dawał posłuch wszystkim możliwym wymówkom uczniów, którzy nie chcieli brać udziału w jego lekcjach. Można sobie łatwo wyobrazić, że Jubla nikt nie traktował poważnie i zawsze był obiektem śmiechu i żartów, tym bardziej, że mimo swoich sześćdziesięciu lat usiłował grać rolę młodzieńca podobającego się kobietom. Jedną rzecz trzeba przyznać — młodzież kochał całym sercem i zawsze gotów był jej poświęcić swój czas i każdemu z nas przyjść z pomocą. Prawdopodobnie jego miłość do młodzieży i czas, który jej poświęcał, nie pozwoliły mu założyć rodziny. Dopiero na kilka lat przed wojną, w podeszłym wieku, ożenił się z nauczycielką języka polskiego, Merderówną.

Merderówna stanowiła kontrast z poprzednią naszą polonistką; różniła się chociażby wyglądem zewnętrznym — była maleńka, pedantycznie czysto ubrana, o krótko strzyżonych,

ciemnych włosach. Ocenialiśmy ją na kilka lat ponad trzydzieści, nie jest wykluczone, że przekroczyła wtedy czterdziestkę. W stosunku do uczniów była bardzo surowa, wymagająca, kontrolowała dokładnie zadany materiał i wiadomości uczniów, umiała utrzymać dyscyplinę i nakłonić do posłuszeństwa. Swoim zachowaniem budziła strach wśród młodzieży. „Robiła śmierć” żądaniami znajomości staropolskiego — słówek i reguł gramatycznych. Wszystko razem sprawiało nam duże trudności i przysparzało pracy, której celowości nie widzieliśmy. Nie próbowała natomiast nigdy przeprowadzać literackich analiz utworów, porównywać np. bohaterów, jak to czyniła z wielkim talentem jej poprzedniczka. Tamta uczyła nas trochę „ulatywać ku niebiosom”, budziła naszą fantazję. Merderówna „ściągała nas na ziemię” do swojej twardej dyscypliny. Entuzjazmu nigdy nie wywoływała, potrafiła nas jednak wdrożyć do ciągłej i systematycznej pracy.

Ferenhof, zięć właściciela szkoły, wykładał niemiecki. Nie miałam z nim żadnego bezpośredniego kontaktu, ponieważ uczęszczałam na lekcje francuskiego, drugiego języka obcego, który można było wybrać. Znałam go więc z obserwacji i opowiadań innych. Zapamiętałam jako młodego człowieka z błyszczącymi okularami kryjącymi oczy, o bujnej czuprynie czyniącej go młodszym i dodającej mu blasku. Był zawsze spokojny i opanowany. Robił wrażenie człowieka pewnego siebie, który patrzył na innych „z góry”. Podobno wiele uczennic kochało się w nim, a według plotkarzy nie był obojętny wobec Saly Rechtszaff, jednej z piękności szkolnych, córki właściciela sąsiadującej ze szkołą kamienicy. Mówiono, że jej uroda nie dorównywała umiejętnościom i chęciom do nauki. Do szóstej klasy dostawała jeszcze promocję każdego roku, prawdopodobnie nie bez pomocy ojca, który regularnie płacił pełną sumę czesnego. W szóstej klasie pieniądze jednak straciły swą czarowną moc — słabe postępy Saly były znane wszystkim w szkole i nie było innego wyjścia, jak zostawić ją na drugi rok. Wtedy się z nią zrównałam. Wszystkie dziewczęta zazdrościły jej wyglądu i powodzenia u chłopców.

W szóstej klasie zmienił się trochę skład nauczycieli. Kilku opuściło szkołę, na ich miejsce przyszli inni. Peniakier zmienił Szyper, brat znanego historyka przeszłości Żydów. Kuropatwiankę, ulubioną nauczycielkę francuskiego, zastąpiła rodowita Francuzka, starsza kobieta, Droué, która nie robiła najmniejszego wysiłku, by nas czegoś nauczyć. Francuski oczywiście znała, ale uczyć nie umiała, czy też nie chciała. Jej lekcje sprowadzały się do jednego wzoru — jeden z uczniów, prawie zawsze ten sam, odczytywał tekst z podręcznika i tłumaczył go na polski. Kto chciał i zdążył — zapisywał znaczenie. Do domu zadawała niezmiennie pisemne streszczenie tekstu. Ten, komu się chciało, wykonywał jej zalecenia, reszta klasy tuż przed lekcją przepisywała od bardziej obowiązkowych. Doszło do tego, że tylko jedna uczennica pisała zadane streszczenie, a reszta klasy przepisywała od niej. Po takiej nauce pani Droué klasa nie zrobiła praktycznie żadnych postępów, przeciwnie, pozapominaliśmy wiele z przyswojonych już wiadomości.

Szyper od pierwszego dnia pozyskał naszą sympatię, podziw i przywiązanie. Mógł przeprowadzić każdy plan i zamysł, wszyscy starali się uzyskać jego pozytywny osąd i być zaliczonym do chętnych do pracy. Szyper był niskiego wzrostu, o prostych włosach, z przedziałkiem po lewej stronie. Przedmiot swój znał bardzo dobrze, a w ogóle był wielbicielem starej rzymskiej i greckiej kultury. Miłość swoją i umiejętności pragnął zaszczepić w nasze serca i w dużej mierze mu się to udało. Oprócz nauki języka usiłował zapoznać nas z najznakomitszymi pisarzami i filozofami starożytności. Uczył odczuwać i rozumieć poetyczne wartości czasów antycznych i widzieć ich piękno, starał się zbudzić w nas podziw dla piękna sztuki, na przykład uczył nas zrozumieć i odczuć przeżycia mitologicznej postaci Niobe, która przeżyła śmierć wszystkich swoich dzieci. Pamiętam, jak cała klasa, jakby skamieniała słuchała, gdy Macharowska przeczytała wspomniany tekst.

Szyper starał się także zainteresować nas teatrem. Jego

ambicją było wystawić z nami *Antygonę*. Inicjatywa ta sprawiła mi osobiście wiele zmartwień, miałam grać główną rolę. Uważał, że mój wygląd odpowiada postaci. Wybór ten był jednak zupełnym fiaskiem: moje zdolności dramatyczne nie dorównywały mojej znajomości łaciny. Broniłam się wszelkimi sposobami, nie chcąc przyjąć roli. Ponieważ on się uparł, byłam w bardzo kłopotliwej sytuacji. Nie zamierzałam zrazić go oporem, z drugiej strony wiedziałam doskonale, że nie nadaję się, by grać. Oprócz braku potrzebnych zdolności nie mogłam pokonać nieśmiałości. Kiedy odmówiłam zagrania Antygony, zaproponował mi rolę jej siostry — Ismeny. W ten sposób zmusił mnie do następnej odmowy. Chociaż długo nie mógł mi jej wybaczyć, nigdy jednak nie wykorzystał tego, by mnie w jakiś sposób ukarać. Przeciwnie, zawsze otrzymywałam zadania, które rozwijały moją wiedzę i pomagały pokonać wrodzoną nieśmiałość — kiedyś miałam więc napisać referat dla kółka samokształceniowego na temat „Sens życia człowieka”.

Szyperowi nie zawsze udawały się wszystkie plany, ale trzeba pamiętać, że wkładał w nie wiele pracy i wysiłku. Był oddany uczniom „duszą i ciałem”, nauczycielem z prawdziwego zdarzenia, który potrafił młodzież porywać swoimi zdolnościami, zapałem, miłością i nakłaniać do czynu. Z nim czuliśmy się zawsze dobrze i bezpiecznie. Pewnego razu nagle poczuliśmy się zagrożeni stratą serca nauczyciela. Na horyzoncie ukazała się jego narzeczona, małeńka, okrągłutka dziewczyna, pełna wdzięku. Poczuliśmy w niej konkurentkę. Wiedzieliśmy, że gdzieś istnieje, ale jak długo nie pokazywała się, myśleliśmy, że o niej zapomnieliśmy. Jej przybycie przypominało, jak wielkie grozi nam „niebezpieczeństwo”. Kamień spadł nam z serca, kiedy z powrotem odjechała. Nie odzyskaliśmy jednak poprzedniej pewności, a kiedy ożenił się, nie mogliśmy mu tego wybaczyć, po prostu baliśmy się, że zmieni stosunek do nas.

Po raz ostatni spotkałam Szypera po wybuchu wojny.

Przyjechał wtedy do Lublina podobnie jak wielu mężczyzn, którym władze kazały opuścić Warszawę.

Równocześnie z Szyperem przyszedł na miejsce Jubla inny nauczyciel wychowania fizycznego. Nazywał się Lamber i był sportowcem mającym pewne sukcesy, wysokim, smukłym i mocno zbudowanym mężczyzną. Mimo że przekroczył sześćdziesiątkę był sprawny i szybki w ruchach jak młodzieniec. Ćwiczenia, których wymagał, wykonywał z lekkością, bardzo sprawnie potrafił ćwiczyć na drabinkach, skakać przez sznur i „kozła”. Imponował nam bardzo swoimi umiejętnościami. Choć nigdy nie krzyczał, nikt nie śmiał mu się przeciwstawić, albo uciec z lekcji. Nigdy też nie karał, gdy ktoś nie potrafił wykonać ćwiczenia, uczył cierpliwie słabszych. Z powodu takiego postępowania wszyscy uczniowie poważali Lamberta.

Fajnzyłberówna, córka znanego kupca manufaktury z ulicy Świętoduskiej, uczyła nas historii Polski i powszechnej. Była blisko trzydziestki, odznaczała się urodą, eleganckim ubiorem i okularami zwisającymi na łańcuchu zakończonym prętem. Okulary przykładała do oczu, kiedy chciała zobaczyć, co dzieje się w głębi klasy. Jej lekcje sprawiały nam zawsze przyjemność. Miała duże zdolności pedagogiczne i wiedziała jak przybliżyć odległe czasy. Do dziś pamiętam, jak jasno przedstawiła nam mechanizm działania systemu feudalnego. Po jej lekcji każdy rozumiał nowy materiał. Wystarczyło zajrzeć tylko do notatek z wykładu, by wszystko zapamiętać. Fajnzyłberówna budziła w nas przy tym uznanie i posłuch.

Uczniowie i uczennice

Do uczennic, które razem ze mną przyszły ze Szkoły Powszechnej do Szperowej, należały: Sara Macharowska, Masza Sztern, Mała Herszenhorn i Dora-Dwojra Wajzman. Cała nasza czwórka nie знаła hebrajskiego, języka obowiązkowo-

wego u Szperowej. Dyrekcja jednakże przełożyła nam egzamin na późniejszy termin, abyśmy mogli nadrobić zaległości. W ciągu kilku miesięcy miałyśmy przerobić program, którego inni uczyli się przez kilka lat. Kilka dziewcząt zorganizowało grupę, zaangażowałyśmy nauczyciela i zaczęłyśmy się uczyć. Kilka razy w tygodniu spotykaliśmy się u Dory Wajzman, przy ulicy Wesolej. W wyborze miejsca zdecydowało jej dość przestronne mieszkanie, w którym zawsze było czysto i spokojnie. Dora miała jednego brata, który nam nigdy nie przeszkadzał, i matkę, nigdy nie pokazującą się podczas zajęć. Dora sama dużo i pilnie uczyła się, ale hebrajski przychodził jej z trudem, czym się bardzo martwiła.

Uczył nas nabożny młody człowiek, który z powodu udzielanych lekcji zrezygnował prawdopodobnie z długiej kapoty i pejsów. Język hebrajski znał dobrze, ale brak mu było zdolności i pedagogicznego wykształcenia, dlatego nie cieszył się autorytetem. Był zawsze skrępowany w naszej obecności, nie wiedział jak się ma zachowywać. Najśmieszniejsze było to, że starał się nam podobać jako mężczyzna. Te wysiłki najjaskrawiej mówiły, jak daleki był od zrozumienia naszej oceny jego osoby.

Do nowych znajomych należał Zysman, chłopak z małego miasteczka, niedaleko Lublina, zakochany w muzyce. Obaj z Klajnmanem (sąsiedzi moi z ławki) mieli wspólne zainteresowania. Klajnman, jak się potem okazało, miał duże zdolności i jako muzyk zdobył sobie pozycję w Szwajcarii, dokąd wyemigrował i gdzie przeżył wojnę. Wtedy był on najmłodszy w klasie i poza muzyką nie odznaczał się osiągnięciami w nauce innych przedmiotów. Mieszkał przy ulicy Zielonej i był synem stolarza.

Aron Kartofel, syn szklarza, małego wzrostu, zdradzał zdolności malarskie. Umiał rysować doskonale karykatury, wyśmiewając negatywne cechy charakteru. Był wśród nielicznych, którym udało się zdobyć po szkole pracę w Warszawie. Wiele nie zarabiał, ale mógł się utrzymywać sam. Mieszkał w

pokoju, który w dzień służył pracodawcy za biuro. Tam miał Aron łóżko i trochę naczyń do „gospodarstwa”. Do wyjazdu do Warszawy pracował w Zrzeszeniu Akademików Żydów, które w latach trzydziestych, pod wpływem lewicowej młodzieży, prowadziło aktywną działalność. Kartofel wymalował lokal i udekorował go swoimi udanymi karykaturami. Jego szkice zdobiły też gazetkę ścienną. Włożył wiele pracy, wyjazd więc jego do Warszawy był dużą stratą dla Zrzeszenia. Dumą Arona była jego młodsza siostra, ładna blondynka, która niestety za działalność w ruchu lewicowym trafiła do więzienia.

Inny uczeń o nazwisku Zysman, w przeciwieństwie do wspomnianego, był wysoki i bardzo tęgi. Z powodu tej ostatniej cechy był przedmiotem dowcipów. Nauką zbytnio się nie przejmował, liczył prawdopodobnie na swoje wysokie **czesne**, które pomoże mu w promocji.

Cynamon, najwyższy w klasie, szerokoplecy, barczysty młodzieniec o czarnych włosach był chyba i najstarszym w klasie. Do gimnazjum przyszedł później niż inni, prawdopodobnie z powodu chorej nogi, na którą trochę kulał, a możliwe też, że rodzice nie chcieli posłać go do świeckiej szkoły. Nie zdradzał zbytniej ochoty do nauki, a przerwał ją, kiedy zlikwidowano szkołę Szperowej. Ukończył tylko sześć (z ośmiu) klas; pomagał potem rodzicom w dużym sklepie manufaktury mieszczącym się przy ulicy Cyruliczej.

Gedale Fiszman był natomiast najmniejszy w klasie. Miał sympatyczną twarz i łagodny uśmiech, a jego duże szare oczy budziły zaufanie i rozbrajały każdego, kto miał powód gniewać się na niego. Choć się zbytnio do nauki nie przykładał, nie łapał tyłu dwój co inni. Jego rodzice handlowali konfekcją gotową (zwaną wtedy tandetą) przy ulicy Świętoduskiej.

I wreszcie Lewin, stała ofiara kpin klasy. Ze swoją ogoloną głową, odstającymi uszami i twarzą pełną piegów budził śmiech kolegów, a ponieważ jękał się, nazywano go Le-Le-Lewin — tak jak on sam wymawiał swoje nazwisko. Potrafił jedynie odpowiadać na pytania z matematyki, z której się

wyróżniał. Możliwe, że owo jąkanie się i śmiech wśród kolegów powodował też brak jakichkolwiek jego odpowiedzi na pytania z innych przedmiotów.

Szwergoldówna z Zamojskiej była biedną dziewczyną. Nie lubiła przygotowywać się do lekcji, liczyła za to na pomoc podpowiadających. Lenistwo Szwergoldówny zbrzydło wreszcie uczniom i płatali jej różne niesmaczne figle. Zapamiętałam taki epizod: Nauczycielka francuskiego wywołała ją do odpowiedzi z zadanych słówek. Szwergoldówna, jak zwykle, nic nie przygotowała, nastawiła więc uszy na podpowiadanie. Podpowiedziano jej, ale tym razem z premedytacją źle — na przykład słowo *menegère* (gospodyni), wykorzystując podobieństwo w brzmieniu, w ustach podpowiadającego oznaczało menażerię, *orange* uzyskało w ten sposób znaczenie oranżerii. Oczywiście, że Szwergoldówna wszystko bezkrytycznie powtarzała, klasa „pękała ze śmiechu”, a nauczycielka zauważywszy, „co się święci”, strasznie się zdenerwowała i dała wszystkim, w pierwszej kolejności delikwentce, należną reprimendę. Opisana lekcja klasy pomogła o tyle, że Szwergoldówna zaczęła się solidnie uczyć, nie potrafiła jednak nadrobić zaległości i musiała zrezygnować ze szkoły.

Helenę Cytryn z Królewskiej poznałam w szóstej klasie, niedługo przed emigracją jej rodziny do Ameryki. Ona i brat należeli w szkole do grupy uprzywilejowanych, bo zamożni rodzice opłacali pełne czesne. Helena, w przeciwieństwie do sobie podobnych bogatych uczniów, była niezdemoralizowaną serdeczną dziewczyną, nigdy nie odmawiającą pomocy koleżankom i kolegom. Zawsze np. pożyczała książki, których brak odczuwało wielu uczniów. Cytrynówna już w szóstej klasie była dobrze rozwinięta fizycznie i przy swojej pokaźnej tuszy i wroście robiła wrażenie dorosłej kobiety. Żegnaliśmy ją z uczuciem żalu. Jej starszy brat, rosły, szerokoplecy, przystojny mężczyzna, jak mówili plotkarze, podobał się

Peniakierównie, nauczycielce łaciny. Jeżeli wierzyć tym osobom, była ona w nim zakochana i nie próbowała tego nawet ukrywać.

Inna moja koleżanka, Frania Szpiro, była córką właściciela domu przy ulicy Zamojskiej 43. Nie cechowała jej natura dzieci zamożnych rodziców, „nie zadzierała nosa”. Przyjaźniłam się z nią, przychodziłam do ich domu, ale rodziców nigdy nie spotkałam — same gospodarowałyśmy w obszernym mieszkaniu. We wczesnej młodości Frania poznała Emka Frajzyniera, późniejszego swojego męża, syna zegarmistrza. Pod jego wpływem zaangażowała się w ruch lewicowym i, jeżeli dobrze pamiętam, za swą działalność dostała kilkuletni wyrok. Wyszła z więzienia prawdopodobnie za kaucją, którą wnieśli rodzice.

Następną koleżanką, którą zapamiętałam, była Justa Dawidson, jedna z najmłodszych w klasie. Możliwe, że z tego powodu nauka przychodziła jej trudniej. W klasie należała do cichych i nieśmiałych uczennic. Zdziwiłam się więc bardzo, gdy po kilku latach zaczęła zwracać na siebie uwagę trochę ekstrawaganckim zachowaniem na ulicy. Zaczęło się to w okresie, kiedy zainteresował się nią starszy od niej wiekiem aplikant sądowy, Benjamin Wajsblech, o którym mówiono, że „wodziła go za nos”. Przez wiele lat „chodzili” ze sobą nie mając możliwości zawarcia małżeństwa i urzędzenia domu z powodu warunków materialnych. Podczas wojny oboje znaleźli się z ZSRR, lecz stamtąd wrócili do Polski, każde oddzielnie. Justa wyszła za mąż za chłopaka z Rumunii. W końcu zapadła na nieuleczalną chorobę i zmarła młodo. Wajsblech podczas choroby nie odstępował jej i starał się ulżyć w cierpieniach, długo nie mogąc jej śmierci zapomnieć. Dopiero po kilku latach ożenił się. Po wojnie jeden raz spotkałam Justę w Dzierżoniowie. Zajmowała wtedy wysokie stanowisko w organach bezpieczeństwa. Przyjęła mnie bardzo serdecznie, chciała pomóc mi w urzędzeniu się w Dzierżoniowie. A możliwości miała duże. O ile mogłam się zorientować, zdobyła

sobie duży autorytet w mieście. Trudno mi było pojąć, że z tej cichej i nieśmiałej uczennicy mogła wyrosnąć taka zdolna kobieta.

W gimnazjum Szperowej natrafiliśmy na ten sam stosunek do nas, z którym borykaliśmy się za czasów Szkoły Powszechnej. Przewisko „powszechniacy” powędrowało w ślad za nami, różnica nigdy się nie zatarła, a wręcz odwrotnie, w gimnazjum jeszcze bardziej uwidoczniła się ona między bogatszymi a biedniejszymi uczniami. Bogatsi mieli zawsze pewność, że nie będą wywołani przez opiekunów klasy za nie opłacenie czesnego. Nie znali też zmartwień związanych z bieganiem w poszukiwaniu potrzebnych do nauki książek. Postanowiłam złamać barierę i zmusić do liczenia się z nami, pokazać, że nie jestem gorsza od bogatszych. Jediną formą mogły być osiągnięcia w nauce. Z uporem więc zaczęłam uczyć się gorliwie wszystkich przedmiotów.

Drogi do szkoły — Zamojska, Bernardyńska, Lubartowska, Nowa, Brama Krakowska

Drogę do i ze szkoły, około pięć-sześć kilometrów przebywałam dwa razy dziennie. Traciłam ponad godzinę, ponieważ musiałam wychodzić dość wcześnie, aby zdążyć na ósmą. Często w porannym pośpiechu brakowało czasu na zjedzenie śniadania lub zabrania kanapki ze sobą. Cały dzień nieraz spędzałam o głodzie. Długa droga zimą stawała się jeszcze dłuższa. Nogi często marzły i puchły z zimna, ręce ciężły od noszenia książek, zeszytów, a czasem i stroju gimnastycznego.

Drogę do szkoły znałam z czasów, kiedy mój ojciec miał warsztat na Foksalu i my, dzieci, zwykle razem z matką, nosiliśmy ojcu jedzenie. Byłam wtedy małym dzieckiem i nie

przyglądałam się nigdy ulicom, odkryłam je dopiero podczas wędrówek do szkoły. Każdego dnia znajdowałam miejsca budzące moją ciekawość i to niezależnie od wyboru Bernardyńskiej, Królewskiej, czy innej. Zawsze też droga do szkoły dzieliła się dla mnie na dwie części. Kiedy znajdowałam się jeszcze na Lubartowskiej, wydawało mi się, że wciąż jestem w domu, po przejściu Koziej lub Pijarskiej (dziś Wróblewskiego) wchodziłam na Bernardyńską, czułam, że bardzo się od niego oddaliłam, ale jest już bliżej szkoły. Tego samego uczucia doznawałam, gdy mijałam Lubartowską, Nową i przez Królewską docierałam do Zamojskiej (dziś Mariana Buczka). Stopniowo jednak nowe ulice stawały się bliższe i rozpoznawałam ich charakterystyczne dla mnie rysy, nabierały też swoistych kolorów i rytmu życia.

Zanim dawną Namiestnikowską, obecną Narutowicza, weszłam na Bernardyńską, zawsze podziwiałam starą, pierwszą w Lublinie, wieżę ciśnień (w późniejszych latach, po wybudowaniu nowocześniejszych instalacji wodnych, wieżę zlikwidowano). U zbiegu ulic Narutowicza i Bernardyńskiej moją uwagę przyciągało seminarium nauczycielskie. O przyjęciu tam nie mogły nawet marzyć żydowskie dziewczęta. Zdarzało się to czasami i z ogromną protekcją. Seminarium było oddzielone żelaznymi sztachetami jakby dla podkreślenia niedostępności. Mijałam tę uczelnię z uczuciem strachu i ciekawości*. Za seminarium znajdował się kościół (pobernardyński), który swoim grubym murem zasłaniał wejście na Bernardyńską. Dalej znajdowało się kino, które kilka razy zmieniało swą nazwę. Pierwszą była „Zachęta”, kolejnymi „Uciecha” i „Gwiazda”. Nie przebywała w nim żydowska młodzież z powodu atmosfery dookoła niego — przy wejściu często dochodziło do bijatyk, a przy okazji można tam było także

* U zbiegu ulicy Narutowicza i ściślej placu Bernardyńskiego mieściło się w tym czasie Państwowe Seminarium Nauczycielskie Męskie; Seminarium Nauczycielskie Żeńskie było natomiast przy ulicy Królewskiej 12.

oberwać za „niewłaściwe pochodzenie”. Dalej rozpoczynały się domy mieszkalne. Jeden z nich należał do doktora Maldelbauma. Poznałam go, kiedy miałam lat siedem i zaczęłam cierpieć na zawroty głowy. Doktor zapisał mi środek o nazwie „Hemogen”, a potem „Hematogen” na wzmocnienie. Lekarstwo — zyskał nim moje uznanie — zawierało fosfor i żelazo, było słodkie i miało przyjemny aromat. Zalecił także masaże wilgotnym ręcznikiem. Gdy skończyłam lat czternaście, po raz drugi musiałam skorzystać z jego pomocy. Dostałam wtedy jakby paraliżu rąk i tym razem doktor zastosował „elektryzację”. Po dziesięciu zabiegach kuracja skończyła się, ponieważ rodziców nie stać było na opłacenie kosztów; nie zdążyły mi pomóc. Kiedy mijałam dom Maldelbauma, zawsze przypominałam sobie moje zmartwienie, które prześladowało mnie prawie całe życie i przeszkadzało w wykonywaniu codziennych czynności. Potem ucierpiały na tym moje dzieci, które musiały wykonywać za mnie wiele prac.

Po tej samej stronie Bernardyńskiej znajdował się duży sklep z materiałami budowlanymi. Właścicielami byli Gradle-
rowie; jedna z ich córek, bardzo ładna dziewczyna, sympatyzowała z komunistyczną młodzieżą.

Druga strona Bernardyńskiej (nieparzysta) zaczynała się dla mnie domem, w którym mieszkał laryngolog, doktor Mesz. Zapamiętałam go z powodu nieprzyjemnego epizodu. Pewnego razu moja mała siostrzyczka wsunęła sobie bardzo głęboko koral do nosa. Nie pomogły wysiłki jej własne, ani matki — koral siedział wysoko w nosie. Przerazona pobiegłam do warsztatu ojca. Wysłuchawszy co się stało przybiegł do domu, złapał na ręce dziecko i razem ze mną co tchu udał się do doktora Mesza, którego uważano za najlepszego laryngologa. Ten zbadawszy dziecko wcale nie kwapił się z pomocą, żądając z góry zapłaty. W wielkim pośpiechu mój ojciec zapomniał zabrać ze sobą pieniądze. Oboje byliśmy zrozpaczeni, baliśmy

się, że koral może zawędrować do mózgu, jak przekonywali znajomi. Mesz trwał jednak uparcie przy swoim i nie pomogły żadne zapewnienia, że od razu po zabiegu wrócimy z pieniędzmi. Nagle zauważył na palcu u mojego ojca pierścień i zażądał, byśmy mu go dali w zastaw. Oczywiście, że ojciec bez namysłu wręczył go lekarzowi. Dopiero wtedy Mesz wyciągnął koral. To wszystko trwało tylko kilka minut, ale nam wydawało się, że przeszły wieki. Zachowania będącego w jaskrawej sprzeczności z przysięgą składaną przez lekarza przy otrzymywaniu dyplomu i wykorzystywania ludzkiej rozpacz nie mogliśmy Meszowi wybaczyć. Sławy również to mu nie przysporzyło. Znajomi i przyjaciele zaczęli go omijać, a incydent ów wszedł do naszych historii rodzinnych.

W tym samym domu co Mesz mieszkał fotograf. Jego witryna z fotografiami par ślubnych, dzieci i piękności lubelskich była obiektem zainteresowania. W drodze do szkoły nie mogliśmy sobie pozwolić na luksus oglądania, ale wracając często zatrzymywałyśmy się i oglądały fotosy.

Dalej, po tej samej stronie ulicy znajdowało się gimnazjum Kunickiego, które nazywano Handlówką. Kunicki, długoletni działacz PPS, prawdopodobnie był jej założycielem*. Między uczniami było trochę żydowskiej młodzieży. Dyrektor nigdy ich nie dyskryminował. Opłaty były tam jednak wysokie i dlatego uczyć się w nim mogli tylko zamożniejsi. Z uczniów tej szkoły zapamiętałam dwóch braci Mitelman, a po latach zaprzyjaźniłam się z jej absolwentem, Józefem Szpiro. Józef był synem właściciela odlewni przy Zamojskiej 24, niedaleko od gimnazjum Szperowej. Spotkaliśmy się, pracując społecznie w Zrzeszeniu Akademików Żydów. Potem wyjechał na studia do Francji, gdzie mieszka do dnia dzisiejszego; tam też przeżył wojnę. Po wojnie, kiedy odwiedził Lublin i przypadkowo

* Gimnazjum Handlowe Żeńskie Władysława Kunickiego znajdowało się przy ulicy Namiestnikowskiej (dziś Narutowicza) 37. Tu mowa o Gimnazjum Filologicznym Żeńskim Heleny Czarneckiej – Bernardyńska 13.

spotkaliśmy się, dowiedziałam się, że oprócz brata cała rodzina zginęła w czasie okupacji hitlerowskiej. Brata nie znałam osobiście, ale wiedziałam, że był krytycznie nastawiony wobec Józefa i jemu podobnym. Przyczyną była obawa, że sympatie Józefa do lewicowego ruchu robotniczego mogą doprowadzić do aresztowania i więzienia. Obawa nie była bezpodstawną, biorąc pod uwagę długoletnie kary więzienne, których władze nie szczędziły działaczom lewicowego ruchu. Tymczasem młodzież komunistyczna rzeczywiście korzystała z sympatii Józefa. Wybrany też został na prezesa Zrzeszenia Akademików Żydów, o czym zdecydowało jego pochodzenie. Sądzono bowiem, że jako syn zamożnej rodziny nie będzie podejrzewany o działalność wywrotową. Organizacja, która z trudem zdobyła inny lokal (pierwszy władze zamknęły) przy Lubar-towskiej 18, mogła wznowić działalność. Ponadto Szpirowie mieli maszynę do pisania, z której można było korzystać oraz pozwalano ustawiać hektograf* w ich warsztacie przy ulicy Żabiej i drukować ulotki. O pracach tych wykonywanych dość często wiedział oczywiście brat Józefa i groził zameldowaniem na policji. Groźby nigdy nie wprowadził w czyn, ale my stale byliśmy pod jej wrażeniem. Podobne zastrzeżenia mieliśmy też do brata mojej koleżanki z Bernardyńskiej, Justy Dawidson. Podejrzewano, może niesłusznie, że współpracował z policją. Na wszelki wypadek unikaliśmy go.

Po tej stronie ulicy Bernardyńskiej znajdowało się gimnazjum Czarneckiej, z którego znałam kilka uczennic. Między innymi Szejwę Funt, koleżankę z Powszechnej, bardzo zdolną dziewczynę, która swoją znajomością historii zdobyła uznanie nauczyciela, późniejszego profesora Stefana Wojciechowskiego. Z profesorem Wojciechowskim zaprzyjaźniłam się po wojnie; odznaczał się dobrą znajomością historii Żydów w ogóle i miasta w szczególności. U Czarneckiej uczyła się też

* Hektograf. przyrząd do powielania tekstów i rysunków kreskowych, obecnie nie stosowany w poligrafii.

Kłajnerówna, jedna z „pięknych dziewcząt” z Lubartowskiej 19. Ponadto Bela Gewerc, córka późniejszego właściciela drugiego co do wielkości w Lublinie kina „Apollo” (nazwa poprzednia „Coloseum”), zbombardowanego przez Niemców. Bela była ładną i sympatyczną dziewczyną. Wyszła za mąż za starszego od siebie, przystojnego syna kupca obuwia z Krakowskiego Przedmieścia — Kuropatwę, brata mojej byłej nauczycielki ze szkoły Szperowej. Po wojnie spotkałam Belę w Lublinie, potem wyemigrowała do Francji, a ostatecznie do Izraela.

Inna droga do szkoły prowadziła wzdłuż ulicy Lubartowskiej, Nową, koło Bramy Krakowskiej z zegarem, którego wskazówki nieubłaganie posuwały się naprzód i informowały na przykład, że spóźniam się do szkoły. Jeżeli na domiar złego zegar zaczął wybijać godzinę ósmą, a na ganku pokazali się strażacy i odegrali „Hejnal z wieży Mariackiej”, wiedziałam, że już nie przyjdę na czas, nie uniknę reprimendy nauczyciela i będę musiała wysłuchać uwag o moim lenistwie i niezdyscyplinowaniu. Nie brakło również i gróźb o konsekwencji — obniżonych stopniach na świadectwie. Po takiej „lekcji” już cały dzień, a niekiedy kilka dalszych, miało się wrażenie, że jest się jakby najgorszym grzesznikiem, na którego cały świat patrzył z lekceważeniem. Starłam się więc robić wszystko, by przychodzić punktualnie, a kiedy mijałam zegar o właściwej porze, oddychałam z ulgą i spokojnie mijałam Królewską, rzuciwszy okiem na sławną lubelską katedrę, której wnętrza nigdy nie śmiałam obejrzeć. Z jednej strony Żydzi omijali katolickie świątynie, z drugiej katolicy na śmiałka żydowskiego patrzyli nieprzychylnym okiem. W latach trzydziestych można było nawet zostać oskarżonym o obrazę religii, z pomówienia na przykład o rzekome plunięcie na kościół lub rzucenie jakiegoś obelżywego słowa. Katedrę mijałam zawsze z uczuciem strachu.

Równolegle do katedry przebiegała ulica Podwale nie ciesząca się dobrą sławą — określenie „Antek” z Podwala używano, gdy chciano komuś naubliżyć, a Żydzi stosowali go do człowieka, który przekraczał przyjęte normy przyzwoitości. Ulica była górzysta, często można było tam dostać kamieniem w głowę. Gdy w domu było małe dziecko, przychodziłam na tę ulicę kupować mleko „prosto od krowy”.

Prostopadle do Podwala zaczynała się ulica Zamojska, która w tym miejscu miała most, choć rzeki pod nim nie było (biegła po wysokim nasypie) i dzieliła się tutaj jakby na dwie ulice — jedną na nasypie, drugą pod nim. Na lewo w dolnej jej części znajdowało się seminarium duchowne, naprzeciwko — kilka zamieszkałych domów czynszowych, w których, jak mówiono, miały swoje meliny prostytutki i sutenerzy. Na moście, po tej samej stronie (prawej) znajdował się długi ganek z kilkoma sklepikami. Most w drodze do szkoły wydawał mi się bardzo długi i nieciekawym, wobec tego rzadko tędy chodziłam. Za mostem, po lewej stronie, stały dwie ławki. W drodze powrotnej ze szkoły, kiedy strach przed spóźnieniem na lekcje ustawał, kilka uczennic siadało na nich, odpoczywając i gawędząc.

Gimnazjum Humanistyczne

Minęły dwa lata, skończyłam szóstą klasę (z ośmiu gimnazjalnych) i znowu zaczęły się szerzyć uporczywe wieści o likwidacji szkoły Szperowej. Wszyscy poczuliśmy zagrożenie i czekali, czy będziemy musieli przerwać naukę. Gimnazjum nie miało dobrej opinii, poziom nauki uchodził za niski. Z tego powodu nie mieliśmy szans na podstawie naszych świadectw dostać się do siódmej klasy innej szkoły. Byłam zrozpaczona. Dyrekcja porozumiała się jednak z drugą żydowską szkołą, z Gimnazjum Humanistycznym przy Towarzystwie Zakładania

Szkół Żydowskich*, aby przyjęto nas do siódmej klasy. Postawiono jednak warunek — mieliśmy złożyć egzamin wstępny. I znów jak przed laty baliśmy się, że egzamin będzie dla nas zbyt trudny i stosunek nauczycieli niezbyt przyjazny. Przede wszystkim obawialiśmy się egzaminu z matematyki, bo po praktykach naszego nauczyciela, Glasberga, nie czuliśmy się zbyt pewnie. Ponadto wiedzieliśmy, że Mandelkern, nasz przysły nauczyciel tego przedmiotu, wiele wymagał.

Przejście z jednej szkoły do drugiej wiązało się z ekonomicznymi problemami. Czesne było tu wyższe i niechętnie z niego zwalniano lub zmniejszano, co było dla wielu warunkiem koniecznym do kontynuacji nauki. I znów wakacje były okresem wielkich wysiłków, wytężonej pracy, dużego napięcia nerwowego. W celu zwiększenia szans zdania egzaminu znów razem z Macharowską zaangażowałyśmy korepetytora. Był nim Szufel, młody aplikant adwokacki, który po ślubie z bardzo ładną i sympatyczną dziewczyną musiał dodatkowo zarabiać na utrzymanie. Szufel był z nas zadowolony i zapewniał, że zdamy. Jego przepowiednie rzeczywiście sprawdziły się. Dobrze przygotowane, w szczególności z matematyki i fizyki, zdałyśmy egzamin i znalazłyśmy się w siódmej klasie. Radość nasza była nie do opisania. Nasi rodzice byli z nas dumni. Wraz z egzaminem nie skończyły się nasze zmartwienia. Teraz trzeba było walczyć o ulgę w opłatach. Macharowskiej przyszło to trochę łatwiej — o jej sytuacji materialnej wszyscy wiedzieli, informację przekazała też poprzednia szkoła. Prawdopodobnie pomógł też jej krewniak, Kantor, radny Gminy Żydowskiej i członek Zarządu Szkoły. Mogła powtórzyć za bohaterem Szolem Alejchema — Motl-Pajsi: „Jest mi dobrze, jestem sierotą”**. Sierotą wprawdzie wówczas nie była, ale jej ubóstwo nie było mniejsze.

* Pełna nazwa szkoły: Gimnazjum Humanistyczne Koedukacyjne Towarzystwa Zakładania Szkół Żydowskich; miało dwa budynki, dla chłopców przy ulicy Radziwiłłowskiej (dziś Dymitrowa) 5, dla dziewcząt przy Niecałej (Sławińskiego) 3.

** Właściwie: Szalom Rabinowicz, klasyk literatury żydowskiej.

Moja sytuacja była inna. Kiedy rozpoczęłam naukę u Szperowej, ojciec zarabiał nieźle. Harował, ale mógł utrzymać rodzinę. Jednocześnie z moim przejściem do Gimnazjum Humanistycznego sytuacja zmieniła się na gorsze. Przez dwa lata pobytu w szkole stale groziło mi przerwanie nauki. Kilka tygodni przed maturą musiałam nawet zostać w domu i niewiele brakowało, by nie dopuszczono mnie do matury. Mój ojciec miał już wtedy długie okresy bez pracy i czesne było dla niego zbyt wielkim ciężarem. Obcemu trudno było to zauważyć. Ojciec należał do samodzielnych rzemieślników, miał własny warsztat i nie było rzeczą łatwą przekonać się o jego trudnej sytuacji. Był ponadto zbyt dumnym, by opowiadać o swoich kłopotach materialnych i prosić o ulgę w płaceniu czesnego. W tej sytuacji pomogli nam jednak nasi wypróbowani przyjaciele — sąsiedzi Malcia i Chaim-Jankiel Śpiewakowie. Brat Jankiela, Fiszel, był członkiem Zarządu Towarzystwa Zakładania Szkół Żydowskich. Dzięki jego interwencji uzyskałam zniżkę — w ten sposób zniknęła druga przeszkoda w szkole. Teraz stanął przed nami problem aklimatyzacji i zaakceptowania nas przez nowych nauczycieli i uczniów.

Gimnazjum Humanistyczne to właściwie dwie szkoły: męska i dla dziewcząt (gimnazjum Szperowej było koedukacyjne i wyjątkowe pod tym względem). Przy ulicy Niecałej uczyły się dziewczęta, przy Radziwiłłowskiej chłopcy. Mieli nieco lepsze warunki niż my, ale też dalekie od doskonałych. Podobnie do nas, nie mieli szatni i palta wieszali w klasie. Obie szkoły nie miały kanalizacji — musieliśmy korzystać z otwartego ustępu w podwórzu, służącego innym mieszkańcom. Tworzyły się przy nim długie kolejki i czasami traciliśmy wszystkie szkolne pauzy, by z niego skorzystać. Nie było również toaletowego papieru i możliwości umycia rąk. Po wizycie w toalecie każdy był zdenerwowany i tracił ochotę do spożycia posiłku przyniesionego z domu. Jedną rzecz mieli

chłopcy wygodną — przed ich szkolnym budynkiem znajdował się plac, na którym mogli grać w piłkę, albo gimnastykować się. Kiedy plac był wolny dziewczęta mogły korzystać z niego również.

Warunki lokalowe nie różniły się zatem od istniejących w szkołach powszechnych i u Szperowej. Pod jednym względem było mi tu lepiej — miałam bliżej do szkoły i nie musiałam każdego ranka „gnać bez tchu”, jak poprzednio do Szperowej, chociaż drogi, czy to przez ulicę Świętoduską, czy Szewską i Staszica też nie były łatwe, szczególnie zimą, w czasie ślizgawicy. Trudno było przebyć wtedy odcinek: w dół ze Świętoduskiej na Szewską lub w górę na ulicę Staszica. W ogóle cała ulica Świętoduska była niewygodna dla pieszych — miała jeden trotuar i była bardzo wąska. Przejście nią utrudniał także „polski targ”, znajdujący się pomiędzy ulicą Świętoduską i Nową, wybrukowany spiczastymi kamieniami.

Atrakcją w drodze do szkoły był Dom Studenta mieszczący się przy Niecałej 3*. Studenci wykazywali wielkie zainteresowanie uczennicami, starali się nawiązać z nimi kontakt i trochę poflirtować. W wolnych od lekcji chwilach obie strony przeprowadzały rozmowy przez okna lub stojąc przed bramami. Czasami uczennica zapomniała, że znajduje się w klasie, a kiedy nauczyciel spostrzegł „manewry okienne” i zadawał znienacka pytanie, „spadała z nieba” i nie wiedziała co odpowiedzieć, nie rozumiejąc również, w jaki sposób w tak „niebiańskim momencie” nauczyciel może zadawać tak „ziemskie” pytanie.

Nauczyciele

Na początku naszej bytności w Gimnazjum Humanistycznym i nauczyciele, i uczniowie odnosili się do nas źle. Niektórzy nauczyciele wykazywali nawet pewną wrogość i

* Dom Studenta — domy akademickie dla młodzieży męskiej KUL.

lekceważenie, a część uczniów nie chciała się z nami „zadawać” i, co było najgorsze, pożyczać książek. Była to dla nas największa trudność — książki były drogie, a tylko kilkoro z nas (ze Szperowej) mogło sobie pozwolić na ich kupno. Mieliśmy za sobą dwa lata nauki łaciny — Peniakerówny i Szypera, dwojga dobrych pedagogów, znających swój przedmiot i nie stawiających lekką ręką dobrych ocen. Kilku uczniów miało nawet piątki, co oznaczało, że przedmiot znali dobrze. Wszystko to razem mało pomagało u Gestlera — nauczyciela łaciny, który odnosił się do nas, łagodnie mówiąc, wrogo. Dobrze byliśmy też przygotowani z historii. Fajnzylberówna solidnie uczyła i dużo wymagała, tak więc negatywny stosunek Mandelkernowej do nas nie miał żadnych podstaw. Jej surowość często nas paraliżowała — nie potrafiłyśmy odpowiadać na pytanie, które znałyśmy dobrze.

Nauczycielem matematyki był Mandelkern, mąż nauczycielki historii i kuzyn doktora Mandelbauma, do którego był podobny. Miał on już pewną podstawę sądzić, że do jego przedmiotu nie byliśmy należycie przygotowani przez naszego byłego nauczyciela, Glasberga. Nie brał pod uwagę faktu, że wszyscy podczas wakacji nadrobili zaległości — czas pokazał stan faktyczny. W imię prawdy trzeba dodać, że nie lepiej wiodło się u niego i „starym” uczniom. Wszystkich traktował lekceważąco. Nigdy nie obdarzył nikogo uśmiechem, rzadko spojrzeniem. Zawsze odnosiło się wrażenie, że nikt z nas nie interesował go. Wszystkich traktował jak jakieś niedorozwinięte stworzenia, którym musi poświęcać swój drogi czas. Charakterystyczne były jego wejścia i wyjścia z klasy. Nagle ukazywał się w drzwiach, nigdy wtedy, gdy spodziewaliśmy się go. Nie patrząc na nikogo, wbiegał na katedrę i zaczynał kontrolować listę obecności. Po tym, bez żadnej przerwy, odpytywał zadaną lekcję i wykladał nową, nie interesując się czy przyswoiliśmy ją sobie. Kiedy słyszał dzwonek zwiastujący koniec lekcji, „spadał” z katedry i wybiegał z klasy. Jego prace kontrolne były zawsze trudne, nigdy też nie wiedziałyśmy, ja-

ki materiał obejmą, nie mogliśmy się więc do nich przygotować — oceny stawiał zawsze bardzo surowe. Wśród uczniów miał opinię złego pedagoga, nie umiejącego lub nie chcącego przekazać swojej wiedzy. U niego zapomniałam wiele z poprzednich wiadomości, a przed maturą nikt nie był pewny, czy jest dostatecznie przygotowany.

Żona Mandelkerna, w przeciwieństwie do niego, zawsze dobrze przygotowywała się do lekcji, dokładnie wyjaśniała nowy materiał, często nawiązywała do dawnego i stawiała różne pytania w celu przypomnienia wszystkiego co przerabialiśmy w poprzednich okresach. Na jej lekcjach omawialiśmy różnego rodzaju tematy przekrojowe, obejmujące pewne okresy dziejów, opracowywaliśmy je też pisemnie jako prace klasowe lub domowe. Jednym z takich tematów („Rozwój władzy królewskiej w Polsce i we Francji”) zasłużyłam na jej uznanie; moją pracę oceniła jako jedną z najlepszych w klasie. Od tego momentu zaczęła patrzeć na mnie „łaskawym okiem”. Prawdopodobnie doszła do wniosku, że także uczennice od Szperowej też coś są warte i zaczęła zwracać się do nas z pytaniami, na które nie wszystkie w klasie potrafiły odpowiedzieć. Jej „konikiem” były ćwiczenia z zapamiętywania różnych ważnych dat historycznych. Mnie udało się sporo z nich zapamiętać i tym też ją pozyskałam. Było to bardzo ważne, ponieważ jej głos wiele znaczył na konferencjach nauczycielskich przy ocenie ucznia.

Nauczycielką historii w szkole była też Mandelsberg. Uczyła w niższych klasach i, mimo że zajmowała się także pracą naukową i przedmiot swój znała dobrze, nigdy nie zdobyła w szkole takiej pozycji, jaką miała Mandelkernowa. Pewną sławę i rozgłos zdobyła później Mandelsberżanka wydaniem książki i wzbudziła sensację swoim ślubem z Meirem Szyldkrautem, biednym młodzieńcem, krawcem — działaczem ruchu syjonistycznego. Był bardzo przystojnym młodym człowiekiem, ona natomiast pochodziła z zamożnego domu.

Nauczycielka polskiego, doktor Mosia Tejwel, przybyła do

szkoły później ode mnie. Miała około lat trzydziestu. Od razu, po przybyciu wzbudziła respekt w uczniach, między innymi swoim wyglądem. Ubierała się i czesała bezpretensjonalnie. Włosy miała do ramion, czesała je do góry, ale zawsze rozpadały się nad czołem, dodając „filozoficznego” wyglądu — tak zwykli to określać uczniowie. Starła się robić wrażenie niezależnej i nieulegającej wpływom i sympatiom. Przedmiot znała dobrze, ale jej lekcje były trochę nudne — za mało odwoływała się do fantazji, wymagała bardzo dużo a jej oceny były surowe. Szczególnie surowo oceniała prace pisemne zarówno domowe, jak i klasowe. Przed maturą pracowała z nami niezwykle dużo i dokładnie przygotowała do egzaminu z historii literatury polskiej. Opracowała też z nami pewne tematy, których mogła spodziewać się na maturze i w owym czasie zorganizowała kółko miłośników literatury pięknej. Jednym z tematów tam dyskutowanych było porównanie bohaterów *Wroga ludu* Ibsena z doktorem Judymem z *Ludzi bezdomnych* Żeromskiego. Ten temat dostałam na maturze. Jak się więc okazało, nie były jej obojętne nasze losy. Uczyniła wszystko, co było w jej mocy, by dobrze nas przygotować do ciężkiej próby.

Postać Tejewel wiąże z osobą Nachmana Blumentala, nauczyciela filozofii. Przedmiotowi temu nie poświęcano w szkole specjalnej uwagi. Trudno mi powiedzieć dlaczego? W każdym razie filozofii uczniowie nie traktowali zbyt poważnie i nie starali się jej opanować. Nauczyciele innych przedmiotów wykorzystywali więc często godziny przeznaczone na filozofię, a „miękki” Blumental nie potrafił przeciwstawić się tym tendencjom. Filozofia nie była przedmiotem łatwym, Blumental nigdy jej nie komplikował. Zawsze z podziwu godną cierpliwością tłumaczył skomplikowane zagadnienia i teorie, posługując się zrozumiałym dla nas językiem. Nigdy przy tym nie podnosił głosu na ucznia i zawsze gotów był pomóc. Przy odpytywaniu starał się dodać otuchy, kiwając potakująco głową. Blumental wziął na siebie, prawdopodobnie bezpłatnie,

obowiązek nauczania języka żydowskiego. Zorganizował kółko, w którym starał się zapoznać nas z literaturą i językiem, a jako wielki miłośnik tychże został członkiem Żydowskiego Instytutu Wiedzy (IWO) w Wilnie, który popularyzował wśród nas. Działalność jego nie podobała się dyrektorowi szkoły i chciał pozbyć się liberalizującego nauczyciela. W tym okresie nie chodziłam już do szkoły, ale pomogłam w zorganizowaniu akcji protestacyjnej przeciwko usunięciu Blumentala z pracy. W akcji wzięła udział duża liczba abiturientów, którzy zebrali się przy ulicy Lubartowskiej 13. Obecny był tam również Jankiele Nisenbaum*, przedstawiciel „Lubliner Tugblat” („Dziennika Lubelskiego”)***, który napisał o tym wydarzeniu w swojej gazecie. Protest pomógł, Blumental został w szkole.

Nieprzypadkowo wymieniam Blumentala i Tejwel. Oboje niespodziewanie pobrali się. Kiedy rozeszła się wiadomość o małżeństwie, nikt nie chciał w to uwierzyć. Oboje, jak się nam zdawało, byli ludźmi o diametralnych charakterach, różnych zainteresowaniach i pochodzili z różnych środowisk. Trudno było wyobrazić ich sobie jako parę małżeńską. Tejwel robiła wrażenie osoby zupełnie zasymilowanej, dalekiej od kultury żydowskiej i języka, Blumental — przeciwnie, był aktywnym i zamiłowanym jidyszystą. Ona według nas była „suchą” intelektualistką, on człowiekiem o niepozornej posturze, kierujący się uczuciem. I tu nagle wiadomość o ślubie. Jak potem można było zauważyć, byli szczęśliwi. Dwoje samotnych ludzi nagle poczuło, że mają wiele ze sobą wspólnego, co stwarza harmonijne współżycie, oparcie w ciężkich chwilach. Niestety, Tejwel podzieliła los Żydów w gettach w okresie niemieckiej okupacji. On znalazł się samotnie po wojnie w Warszawie, później osiadł w Lublinie i pomagał w organizowa-

* Jankiele Nisenbaum, właśc. Jakow Nissenbaum.

** „Lubliner Tugblat” („Dziennik Lubelski”), wychodził w latach 1917-1939; założyli go Kacenełbogen i M. Gradel, a pisali w nim m.in.: Boruch Cukierman, Joel Sz. Stupnicki, Jakób (Jankiel) Hersz, Jakow Nissenbaum, Herc (Kohen); redakcja mieściła się przy ulicy Królewskiej 13.

niu Żydowskiej Komisji Historycznej przy Komitecie Centralnym Żydów. Wyemigrował w 1950 roku do Izraela; tam od roku 1954 był redaktorem naukowym pisma „Jad Waszem”, przygotowywał protokoły judenratów z Białegostoku i Lublina oraz dokumenty dotyczące powstania w Getcie Warszawskim. Przygotował do druku około dwudziestu ksiąg pamiątkowych różnych miast polskich, między innymi księgę o Lublinie. Potem powstały jego *Słowa i słówka z okresu zagłady*.

Trauner, nauczyciel fizyki, był wysokim, dobrze zbudowanym, młodym człowiekiem. Z tych powodów był obiektem „ataków” klasowych „piękności”. Miał twarz o czerwonawym odcieniu, rude włosy oraz jasne brwi i rzęsy i budził „podejrzenie”, że jest człowiekiem, po którym można spodziewać się najgorszego. Z tego względu uważaliśmy, że trzeba się go wystrzegać lub przynajmniej starać się „rozbroić”, robiąc mu różne kawały i przysparzając różnych kłopotów i zmartwień. W owym czasie bardzo popularny szlagier brzmiał: *Ruda ojciec, ruda matka oj... więc się rude urodziło oj... oj...* Te piosenkę odśpiewywano przed lekcją. Trauner niewiele sobie z tego robił, albo udawał, że go to nic nie obchodzi. Był bardzo zdolnym nauczycielem. Najtrudniejszy materiał potrafił wyłożyć w przystępny sposób nawet najślabszym uczniom. Zdarzało się jednak, że kiedy przychodził nie przygotowany na lekcję, zaczynał improwizować, wykorzystując swój talent w tym kierunku, a potrafił dowieść „wszystkiego na świecie”, nawet fałszywych teorii. Czasami miał pecha: któryś z lepszych uczniów łapał go na „gorącym uczynku” i udawadniał błąd... Wtedy stawał się bardziej czerwony niż zazwyczaj, a klasa po cichu, otwarcie nikt nie śmiał, zacierała ręce z zadowolenia. Był przecież nauczycielem, mającym wielką broń – dwóje w swoich rękach. Nie wiem, skąd wzięła się wiadomość, która szybko rozprzestrzeniła się wśród uczniów, że Trauner odwiedza nocne lokale – wielkie przestępstwo wobec przyjętych w owych czasach zasad przyzwoitości; przypisywano mu „wszelkie zło”. W jakim stopniu te wiadomości o jego życiu

prywatnym były zgodne z prawdą trudno powiedzieć. Wszystko razem nie przeszkodziło jednak, iż wiele dziewcząt było w nim „śmiertelnie” zakochanych i wszelkimi siłami starało się zwrócić na siebie jego uwagę, co im się nigdy nie udawało. Jego stosunek do dziewcząt był zawsze bez zarzutu.

Trauner uczył nas tylko w siódmej klasie, ósmą zaś przejęła Liberalówna. Zaliczano ją do lepszych nauczycieli i do jej umiejętności miała szkoła większe zaufanie; jej też powierzano przygotowywanie uczniów do matury. Miała wtedy około lat czterdziestu. Między ciemnymi hebanowymi włosami zaczynały gdzieniegdzie pokazywać się siwe nitki. Na wargach zawsze gościł uśmiech, który jednak nie wzbudzał zaufania i wcale nie świadczył o przyjaznym stosunku do uczniów, dla których była bardzo surowa i wielce wymagająca. Wielkich zdolności pedagogicznych nie posiadała — pod tym względem poprzedni nauczyciel ją przewyższał, miała jednak opinię dobrej nauczycielki. Możliwe, że jej surowość i wielkie wymagania przeważały u dyrektora.

Gestler, łacinnik, starszy siwy człowiek z dużą łysiną, którą starał się zakryć swoimi nielicznymi włoskami, najgorzej ze wszystkich nauczycieli odnosił się do grupy, która przeszła ze szkoły Szperowej. Na pewno nowi uczniowie przysparzali mu pewnych kłopotów. Musiał ich przede wszystkim poznać, nauczyć się nazwisk i poprawiać więcej zeszytów, a w ogóle przysparzali pracy, która go niezbyt interesowała, a może była już za ciężka w jego wieku. Długo trwało, nim do pewnego stopnia zaakceptował nas; zupełnego równouprawnienia nie uzyskaliśmy. Nie pomogło nawet, że wśród „nowych” byli tacy, którzy nie umieli mniej, a nawet przewyższali „starych” uczniów swoimi wiadomościami.

Korn, nauczyciel historii Żydów i hebrajskiego, młody, cichy i spokojny człowiek, prowadził lekcje z równowagą, opanowaniem i łagodnością. Tymi cechami i umiejętnościami zdobył nasze uznanie. Na jego lekcjach mogliśmy dokładnie ocenić jak dalece Łajbele Szper, nauczyciel poprzedniej szkoły, zaniedbywał nauczanie obu przedmiotów.

Obraz nauczycielskiego personelu nie byłby pełny, gdybym nie wymieniła „madame Lewin”, nauczycielki francuskiego. Określenie „madame” miało dla nas specjalny sens i było o wiele bogatsze od francuskiego znaczenia słowa. Przewisko wzięło swoje źródło od roli „wielkiej damy”, jaką Lewin usiłowała odgrywać wobec nas – „damy”, która musiała zniżyć się, by uczyć takie „matoły” jak my. Powtarzała z pogardą, że nikt nas „nie weźmie”, co miało znaczyć, że nikt nie zechce się z nami ożenić. Jej drugim ulubionym wyrażeniem, którym nas niszczyła, było: „umiecie tańczyć od pieca do okna”. Miało to oznaczać, że nic nie rozumiemy i w najlepszym wypadku możemy coś niecoś „wykuć” na pamięć i powtórzyć w określonym porządku. Jej stopnie zaczynały się od cyfr poniżej zera, dwójka należała już do dobrych ocen. W jej pogardzie było coś z sadyzmu. Odnosiło się wrażenie, że mściła się na nas za wszystkie swoje niepowodzenia w życiu, w szczególności za swoją bezdztetność. Jej lekcje zawsze były dla nas męczarnią. Najbardziej cierpieliśmy, gdy oceniała domowe lub klasowe prace. Nigdy nikomu nic „nie darowała”, z przyjemnością wyśmiewała każdy błąd, każde nieudane wyrażenie. Po lekcji czuliśmy się zagubieni i bez żadnej nadziei osiągnięcia czegokolwiek w życiu. Zupełnie zrozumiałe, dlatego uczniowie próbowali bronić się przed jej „wgryzaniem w kości”. Jedyłą „bronią” w tych wypadkach było wyśmiewanie, głównie błędów w języku polskim, którego nie zdołała w pełni opanować. Pozostały w nim rusycyzmy, świadczące o jej innym niż polskie pochodzeniu. Kiedy zdarzyło się jej użycie nieodpowiedniej formy, albo słowa, radość w klasie była nieograniczona. Za jej przykładem nic jej nie przepuszczano... w zależności od błędów dawano różne przewiska. Zrozumiałe, że cały ten „arsenał broni” używany był potajemnie, nikt otwarcie nie śmiał zrobić żadnej uwagi.

Pasternak, dyrektor szkoły, był postrachem uczniów. Wszyscy się go obawiali. Przyszedł po strajku nauczycieli, z powodu którego szkoła straciła prawa szkoły państwowej.

Oznaczało to, że uczniowie musieli składać egzaminy maturalne przed obcą komisją, powołaną przez Ministerstwo Oświaty*. W praktyce oznaczało to brak niejednokrotnie szans zdania egzaminu: często komisja dyskwalifikowała najzdolniejszych uczniów, którzy kosztem olbrzymiego nakładu sił i pieniędzy kilkakrotnie ponawiali bezowocne próby. Tak na przykład zdarzyło się Lowie Białostockiemu, który dopiero w 1932 roku (kiedy szkoła odzyskała prawa), po czterokrotnych próbach, zdał maturę. Pasternak przyszedł z zadaniem odzyskania praw dla szkoły. Nie przebierał w środkach, by cel ten osiągnąć. Zastosował drastyczne posunięcia — usunął wszystkich nauczycieli i uczniów, których choć trochę posądzano o sympatię wobec strajku, a także wszystkich podejrzanych o radykalniejsze poglądy. Krążyła wieść, że wśród uczniów stworzył coś w rodzaju organizacji szpiegowskiej, która miała go informować o postawach kolegów. Stosowane metody budziły niechęć i sprzeciw wewnętrzny, ale jego sytuacja nie była najłatwiejsza. Musiał wybierać między zamknięciem szkoły a utrzymaniem jej za wszelką cenę. Rok szkolny 1931/1932 był pierwszym, w którym szkoła otrzymała prawa do własnej komisji maturalnej z jednym delegatem z ministerstwa jako przewodniczącym, uprawnionym do stawiania dowolnych, według własnego uznania pytań. Delegat z ministerstwa okazał się człowiekiem łagodnym, który starał się niezbyt utrudniać zadania uczniom i nauczycielom. Z czterdziestu dwóch kandydatów jedynie Chaim-Szyja Rozenberg i Mania Halbersztat (córka Szlomele Halbersztata, przewodniczącego Gminy Żydowskiej) nie zdali egzaminu!

Z postacią Pasternaka wiąże się wydarzenie, które mogło świadczyć, że pochodził z rodziny mającej kontakty z władzą bynajmniej nie odznaczającą się w owych latach przychylnym stosunkiem do Żydów. Miało to miejsce w roku 1930. Do Lublina przyjechał ówczesny prezydent Ignacy Mościcki i jak

* Właściwie: Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

zwykle w takich okolicznościach młodzież szkolna zgromadziła się na placu przed Trybunałem, gdzie odbywały się wszystkie oficjalne uroczystości. Mościcki przeszedł wtedy szeregi uczniów i zamieniał parę słów z dyrektorami szkół. Kiedy podszedł do nas, dość życzliwie przywitał Pasternaka, przypominając, że pracował z jego bratem, chemikiem. Prezydent był profesorem w tej dziedzinie. Zachowanie Mościckiego wywołało różne komentarze wśród uczniów. Jedni wyrażali się z dumą, inni widzieli w tym znak, że sytuacja szkoły zmieniła się na korzyść. W każdym razie incydent ten był bardzo żywo dyskutowany...

Druga sprawa ma związek ze mną. Bezpośrednio przed maturą mój ojciec nie mógł opłacić zaległego czesnego — groziło mi niedopuszczenie do matury. Z tego powodu od kilku tygodni nie chodziłam już do szkoły, nie miałam możliwości uczestniczenia w repetycjach z różnych przedmiotów. Pasternak wezwał wtedy mojego ojca i zażądał uregulowania długu, a kiedy ojciec oświadczył, że w żaden sposób nie stać go na zapłacenie zaległości, dyrektor zaproponował wystawienie weksla. Oświadczył przy tym, że nie chce dopuścić, by przepadła jedna z matur. Prawdopodobnie za jego „ustępliwością” kryła się chęć okazania lepszym. Możliwe jednak, że nie chciał, by uczeń odpadł jedynie z powodu pieniędzy. Znając jego „twardość”, kiedy prosiło się go o prolongatę, trudno uwierzyć w takie motywy. W każdym razie „doszłam” do egzaminu maturalnego i zdałam go.

O bezwzględnym postępowaniu Pasternaka może świadczyć następujące wydarzenie. Pewnego późnego wieczora grupa uczniów z gimnazjów: Humanistycznego i Staszica, zebrała się w nieczynnym w owym czasie browarze Szternfinkłów, przy ulicy Browarnej. Między nimi znaleźli się dwaj kuzynowie: Jehuda i Mojżesz Szternfinklowie (ostatni z nich to syn właściciela), Rywcia Wajs, córka zarządcy i mieszkańca „Spółdomu” na Probostwie (dziś ulica Szenwalda), uczniowie Humanistycznego, Izaak Goldman i Natek Akerman „ze

Staszica” (innych nie pamiętam). Mieli wykonać jakieś zadanie dla komunistycznej młodzieży szkolnej. Browar znajdował się na uboczu, w dużym podwórzu oddalonym od ulicy, prawie zawsze pustej wieczorem. Tym razem jednakże ojciec Mojżesza mijając ten budynek usłyszał dochodzące stamtąd głosy. Niewiele myśląc zawiadomił policję, będąc pewnym, że złodzieje dokonują rabunku. Ku swemu przerażeniu i rozpaczy zbyt późno zorientował się, kim są domniemani złodzieje. Konsekwencje można łatwo sobie wyobrazić — wszyscy uczniowie z Humanistycznego na polecenie Pasternaka zostali wydaleny ze szkoły. W ten sposób dyrektor chciał zmyć „plamę”, że szkoła znajduje się pod wpływem komunistycznej młodzieży. Nie pomogło nawet i to, że winowajcy należeli do najzdolniejszych uczniów i byli przed maturą. Musieli szukać miejsc w szkołach poza Lublinem. Niektórzy pojechali do Międzyrzecza, inni do Zamościa. Egzaminy zdali doskonale.

Po wydarzeniach w browarze i wykluczeniu ze szkoły, uczniowie zostali otwarcie uznani za komunistów i odtąd mieli stałe kłopoty z policją. Ojciec Mojżesza nigdy nie mógł sobie darować, że niechcący odegrał rolę donosiciela. Jehuda i Rywcia niedługo po tym wyjechali do Warszawy, skąd on wyemigrował do Francji, by pozbyć się śledzenia przez policję i nieuniknionego procesu sądowego. Rywcia po wybuchu wojny znalazła się po stronie radzieckiej, we Lwowie. Tam prawdopodobnie zginęła. Los rozdzielił osoby, które były ze sobą związane przez długie lata. Pierwsze świadome „uderzenie” wymierzone zostało przez Pasternaka. Z Rywcią byłam w kontakcie w czasie wojny, kiedy ona przebywała we Lwowie, a ja w Witebsku. Poprosiła mnie wtedy o opiekę nad dziećmi jej ciotki, które zostały same niedaleko Witebska; matka ich znalazła się w szpitalu psychiatrycznym. Dzieci przebywały u mnie kilka tygodni, potem zabrał je do Lwowa wysłannik Rywci. Prawdopodobnie razem z nią podzieliły los innych Żydów.

Pasternak miał oddanych współpracowników, którzy pomagali mu w przeprowadzaniu planów. Do nich należeli dwaj

sekretarze: Rotbaum i Szolson. Obaj czuwali nad finansami i ściśle wypełniali zalecenia ściągania należności za czesne. Wyróżniał się przy tym Szolson, który nigdy nie godził się na prolongaty w opłatach, choćby na jeden dzień, i nigdy nie chciał rozmawiać z uczniami na ten temat. Bardziej wyrozumiały był Rotbaum.

Do pomocników dyrektora należał również woźny Najhauz, który specjalnie dawał się nam we „znaki”. On czuł się w szkole czymś w rodzaju współgospodarza i mieszał się do wszystkiego, co uczniowie chcieli zrobić. Na placu przed szkołą nigdy nie czuliśmy się swobodni, bo zawsze coś nie znajdowało uznania w jego oczach. Wszyscy się go bali i omijali w miarę możliwości. Tak samo jak u Śzperowej, w „Humanistyce” przed pierwszą lekcją albo w czasie jej trwania przychodził woźny z listą dłużników. Najhauz z przyjemnością wypełniał tę powinność, a nawet delektował się swoją „władzą”, gdy uczniowie na jego „rozkaz” opuszczali klasę. Mieszkał w suterenie szkolnego gmachu, przy Radziwiłłowskiej 3. Budynek ten był jednym z pierwszych, które Niemcy zbombardowali w 1939 roku. Najhauz i jego rodzina byli wśród pierwszych ofiar hitlerowskiej inwazji w Lublinie.

Uczennice

Z Ajbuszycówną spotkałam się w siódmej klasie. Została wtedy na drugi rok. Miała trudności z nauką i rodzice zgodzili się, by repetowała; bali się, że w przeciwnym razie „zetnie” się przy maturze. Ajbuszycyowie zaliczali się do najbogatszych rodzin żydowskich w Lublinie. Ich córka miała wszystko, co potrzebne było do nauki, brakowało jej tylko zdolności. Wzrostem przewyższała wszystkie inne uczennice w klasie, a jej wysmukłą sylwetkę jeszcze bardziej podkreślał czarny fartuch

uszyty jako sukienka i czarne włosy upięte w kok nad karkiem. Nie była oczywiście zadowolona, że została na drugi rok, ale nie miała innego wyjścia.

Akermanówna, córka znanego krawca mającego pracownię przy Krakowskim Przedmieściu 15 albo 13, była również drugoroczną. Przeżywała bardzo swoje niepowodzenie, była przygnębiona. Przez cały rok uczyła się bardzo intensywnie, podobnie pracowała w ósmej klasie. Szkołę ukończyła szczęśliwie.

Farbiarzówna z Zamojskiej 25, małeńka, niepozorna i nieładna dziewczyna była najlepszą uczennicą. Wyróżniała się z każdego przedmiotu. Nauczycielka francuskiego uznawała ją jedną. Ona zawsze odczytywała tekst nowej lekcji i tłumaczyła go na polski, jej prace domowe nawet „madame Lewin” uznawała za wzorowe i jej poświęcała prawie wszystkie lekcje. Była nadzwyczaj zdolną dziewczyną. Trudno było sobie nawet wyobrazić, że w tej niepozornej postaci o grubych rysach, ustach prawie bez warg kryją się tak wielkie zdolności. Pochodziła z biednej rodziny. Po śmierci ojca (prawdopodobnie rabina w jakimś małym miasteczku) matka pozostała z czterema córkami i synem bez środków do życia. Wkrótce i matka poszła w ślady ojca. Najstarsza córka wzięła wtedy na siebie trud opiekowania się rodziną i prowadzenia całego gospodarstwa. Potem dołączyły dwie siostry i brat, coś niecoś zarabiając, pozostałe dwie dziewczynki jeszcze uczyły się, ale i one próbowały reperować rodzinny budżet korepetycjami. Obie młodsze siostry po ukończeniu gimnazjum studiowały w Warszawie. Rachela, moja klasowa koleżanka, uczyła się łaciny i jak to było w owym okresie nie miała żadnych widoków na otrzymanie pracy.

Rok po maturze Rachela pozostała w Lublinie. Zbierała się u niej duża grupa młodzieży zainteresowanej lewicowym ruchem robotniczym. Między nimi znajdował się Abram-Abrasza Nusman, syn kupca drzewem. Zdał maturę razem z nami. Był jednym z najzdolniejszych uczniów, interesował się

polityką i według moich ówczesnych pojęć dobrze się w niej orientował. Był niski, miał ciemnoblonde krótko strzyżone kędzierzawe włosy i wystające zęby, co nie dodawało uroku i tak niezbyt przyjemnej twarzy. Wyróżniał się swoimi dwuznacznymi „dowcipami”. Wszystko cokolwiek powiedział komentował słownictwem, które najczęściej rozsiewało tylko jego. Nie mogłam zrozumieć tych skłonności i dziwiło mnie, że Rachelę może dobrze czuć się w jego towarzystwie i znosić „niesmaczne” zachowanie.

Częstym gościem był też Bal-Cedek (właściwe nazwisko Szyfman), syn stolarza, którego znalazłam jeszcze z czasów, gdy był uczniem ze Szkoły Powszechnej, pod dyrekcją Elwera. Szyfman „zdobył sławę” w naszym kręgu „odbiciem” Esterki Zandsztajn Szmulkowi Szpigelsztajnowi, z którą ten „chodził” kilka lat. Szpigelsztajn bardzo głęboko przeżył zdradę, a znajomi potępiali nową parę. W opinii kolegów Szyfman uchodził za człowieka, który lubi się chwalić swoimi zdolnościami — jak się okazało niezbyt przesadzał, po wojnie wiele osiągnął jako naukowiec.

Dwaj bracia Pajczer także byli uczniami Elwera, także należeli do grupy. Potem spotkałam ich u Ewy Kliger z Lubartowskiej 32, mojej koleżanki ze Zrzeszenia Akademików Żydów. Obaj bracia podkochiwali się w niej, ale nikomu z nich nie poszczęściło się. Trzymała ich w rezerwie, pozwalała im się podziwiać i odwiedzać. W końcu opuściła ich, przenosząc się na romanistykę do Warszawy, razem z moją koleżanką ze Szkoły Powszechnej — Szejwą Funt.

Ewa Edelsztajn z Rybnej imponowała dziewczętom swoim biustem. Dość wcześnie zaczęli ją interesować chłopcy, bardziej niż nauka, mimo że cierpiała, gdy zaczęła odstawać od klasy. Często dziwiło nas, dlaczego ona nie uczy się zbyt dobrze, podczas gdy jej brat, Idel, był jednym z najlepszych uczniów i abiturientów szkoły. Ewę odwiedzaliśmy dość często — miała potrzebne książki (niektóre po bracie), a tych zawsze nam brakowało.



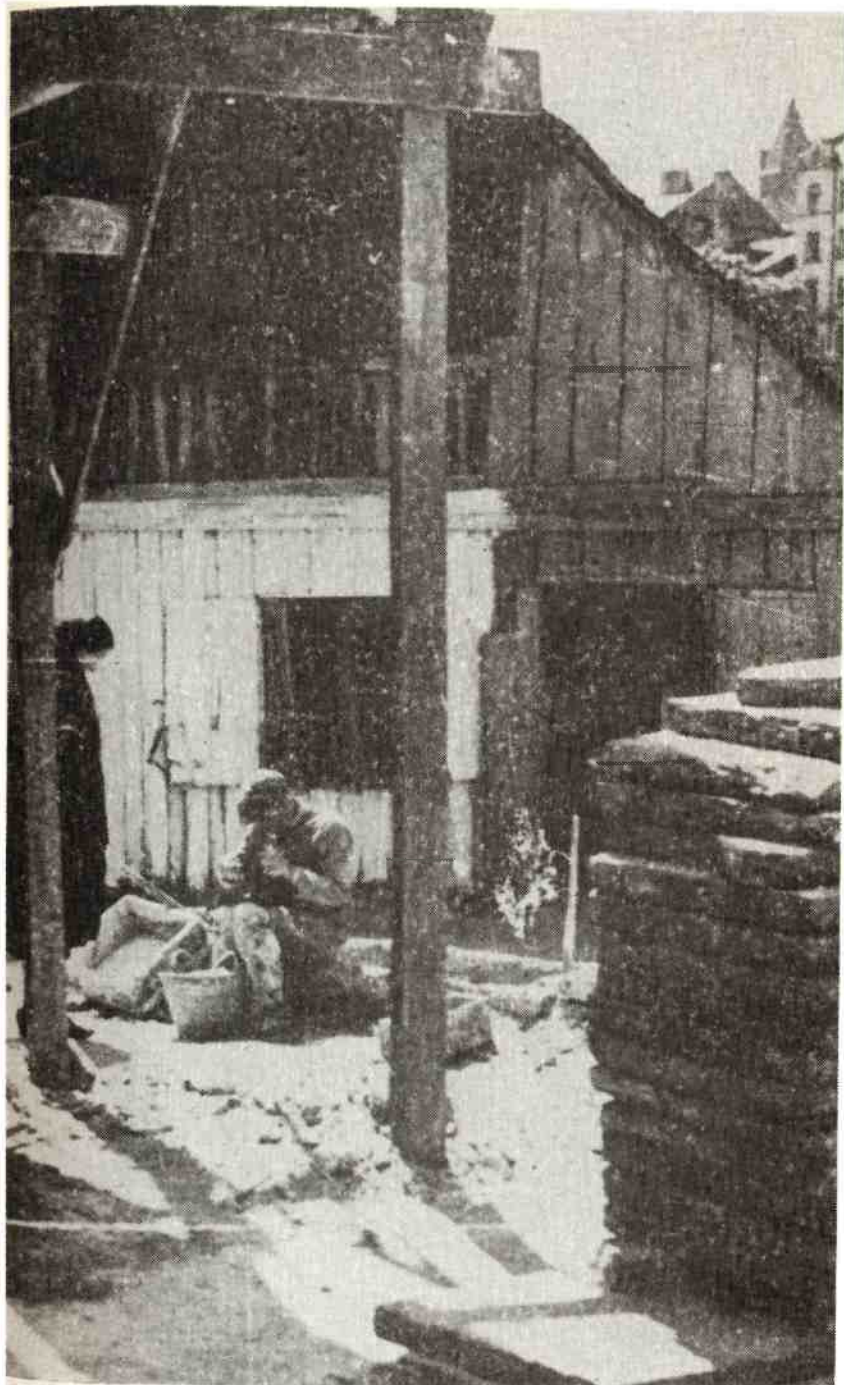
56. Widok ze starego kirkutu, ok. 1925 r.

57. Podwórze między ulicami dawnego Podzmacza: Szeroką i Zamkową

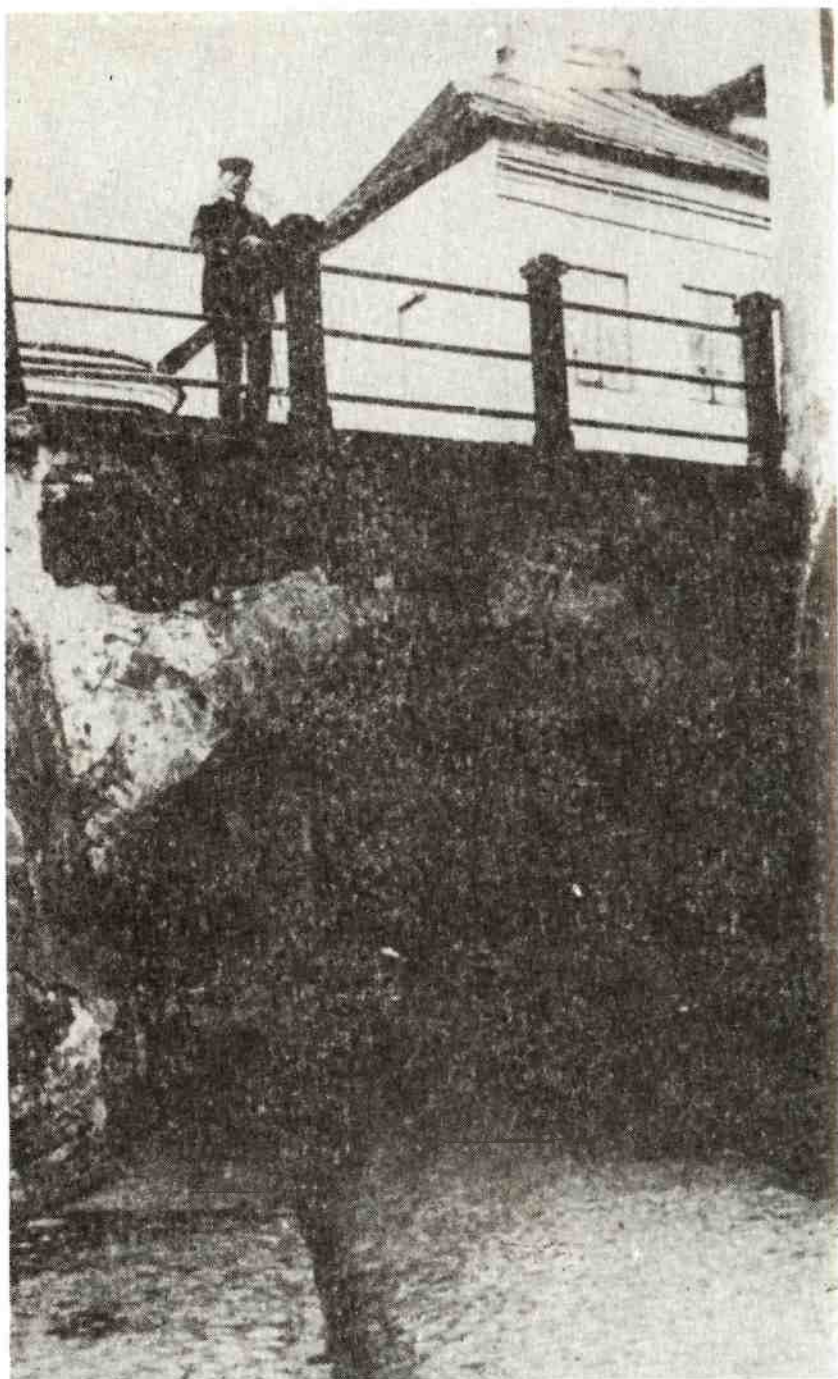




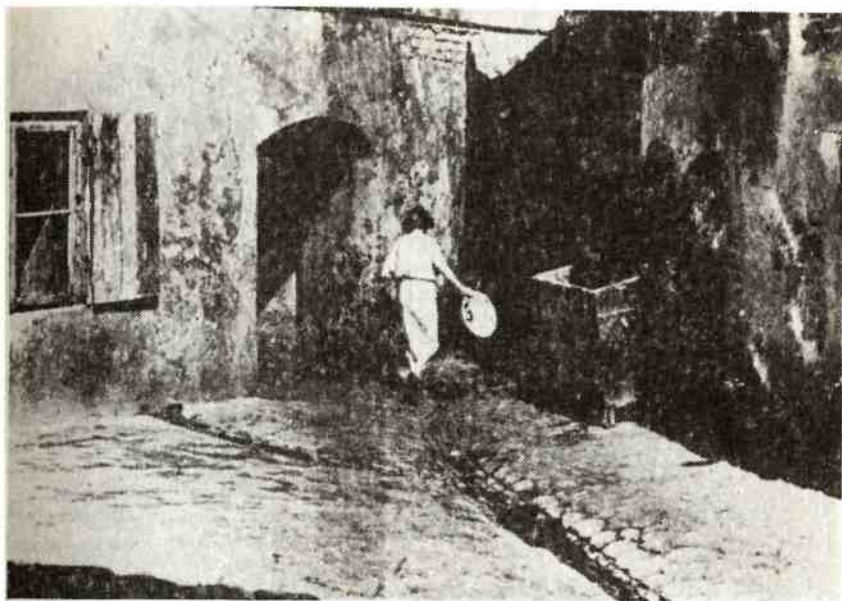
58. Krawiecka, ok. 1938 r. — nie istniejąca uliczka dawnego Podzamcza



59. Podwórze przy ulicy Krawieckiej, ok. 1938 r.

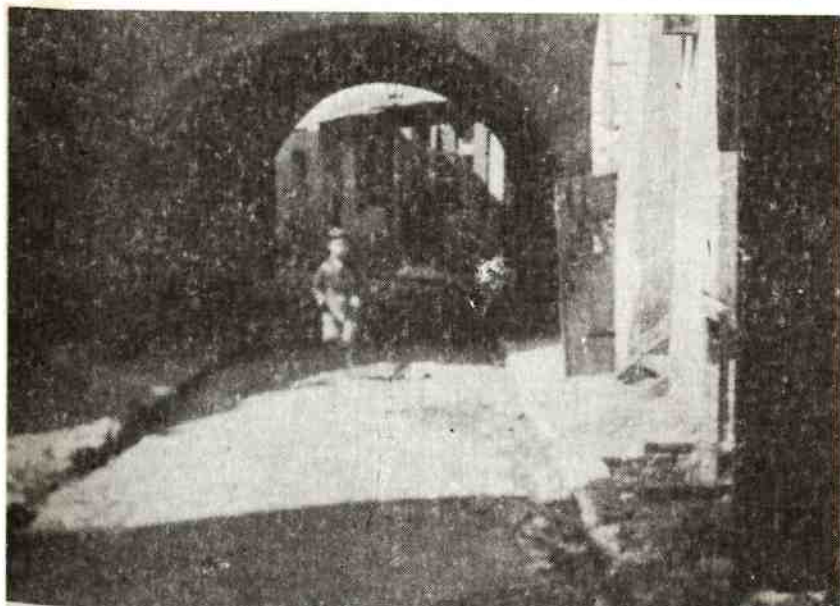


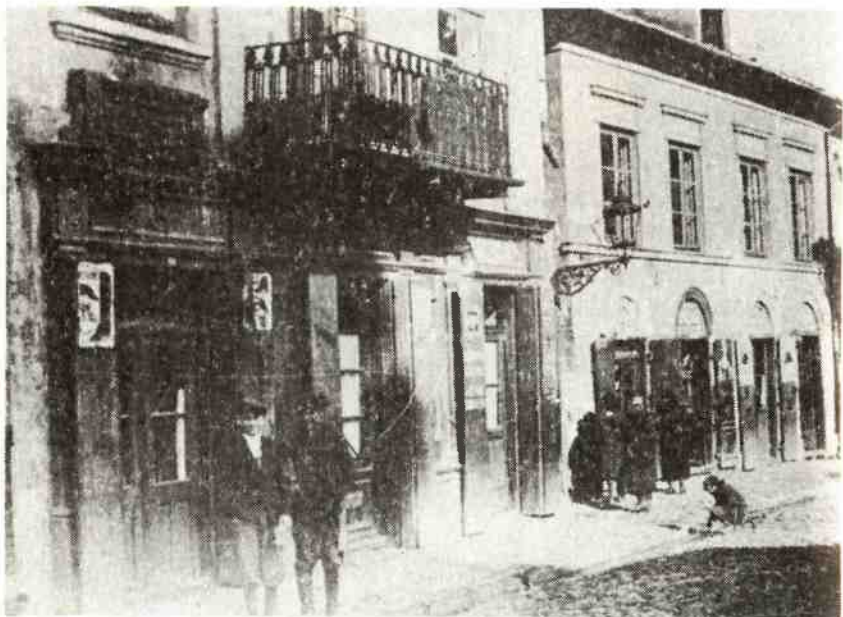
60. Brama pod ulicą Zamkową, ok. 1938 r.



61. Podwórze przy ulicy Krawieckiej, ok. 1938 r.

62. Brama przy ulicy Podzmacze, prowadząca w kierunku Szerokiej

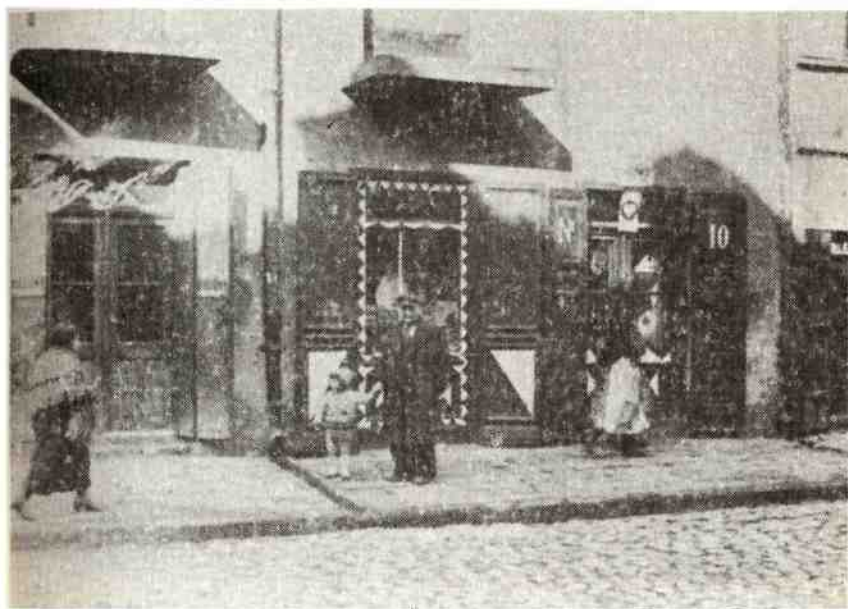




63. Szeroka, ok. 1936 r. — dawna ulica Podzmacza

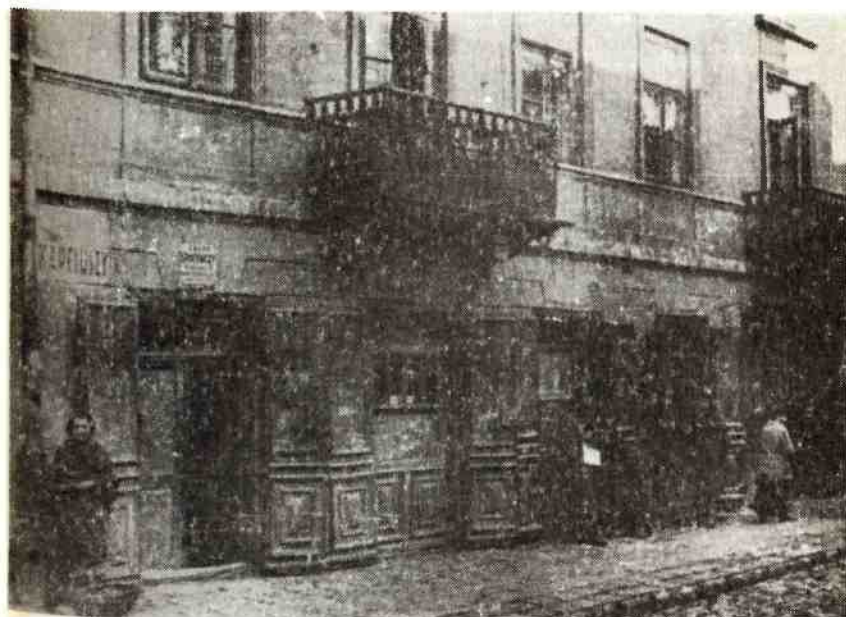
64. Szeroka 2, ok. 1936 r. — sklepy różnych branż, m.in. sklep spożywczy
A. Ejlmana





65. Szereka 10, ok. 1936 r. — fragment jezdni brukowanej „kocimi łbami”

66. Szereka, ok. 1936 r. — charakterystyczna architektura domów mniej reprezentacyjnej części ulicy

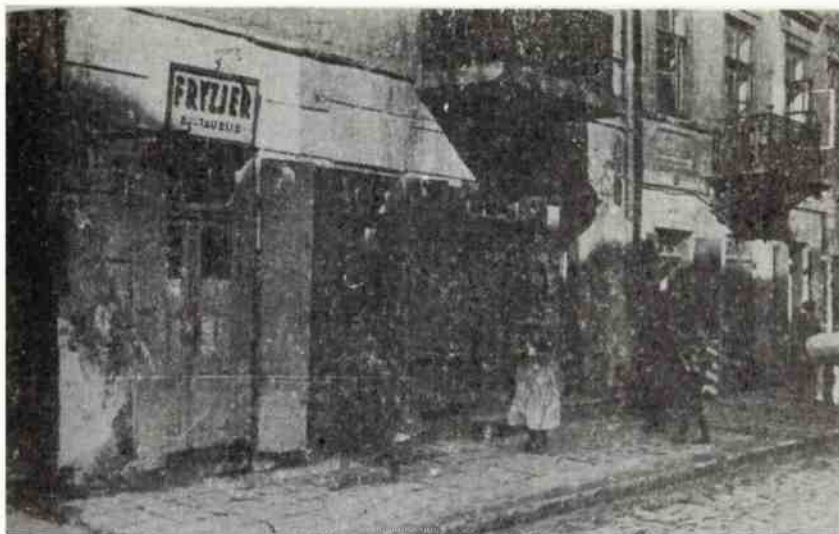




67. Szeroka, ok. 1936 r. — szyld informacyjny sklepów spożywczych Rozenblata, mieściły się przy Szerokiej 24 i 30

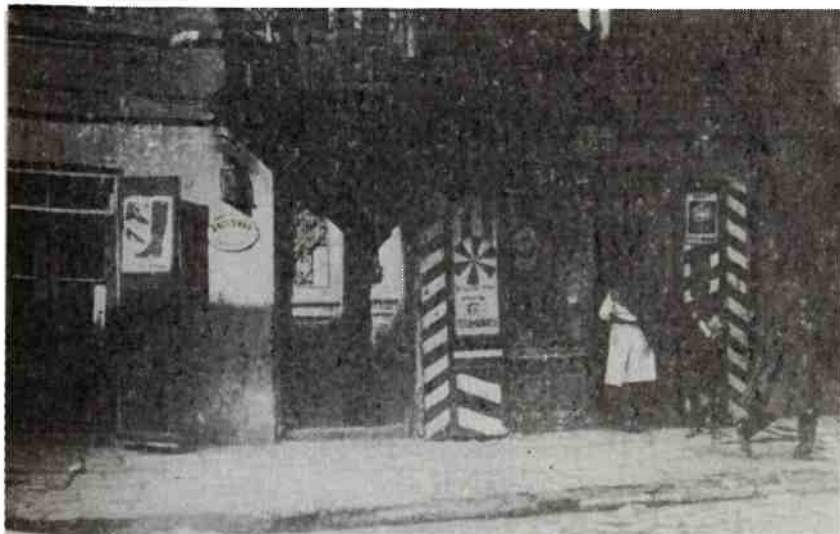
68. Szeroka 12, ok. 1936 r.

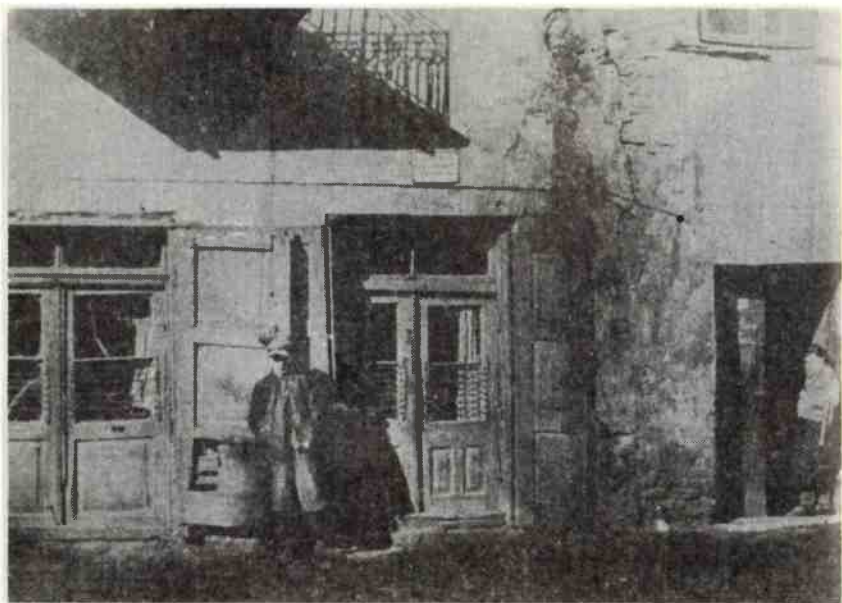




69. Szeroka 12, ok. 1936 r. — zakład fryzjerski Borucha Taubliba

70. Szeroka 14, ok. 1936 r. — warsztat kamasznika

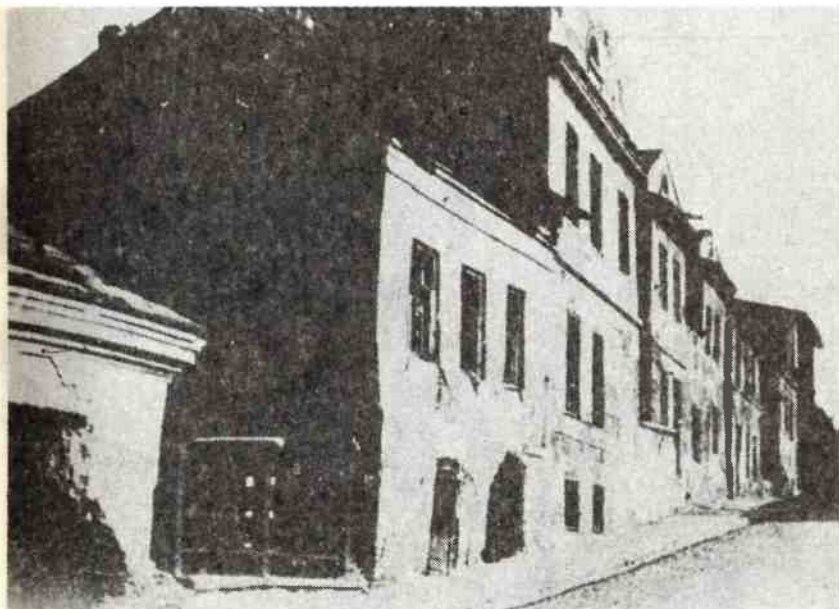




71. Szeroka, ok. 1936 r. — piekarnia, jedna z wielu na tej ulicy

72. Szeroka 28, ok. 1936 r. — sklep spożywczy i warsztat ślusarski





73. Zamkowa, ok. 1942 r. — nie istniejąca ulica dawnego Podzamcza

74. Grodzka, ok. 1942 r.

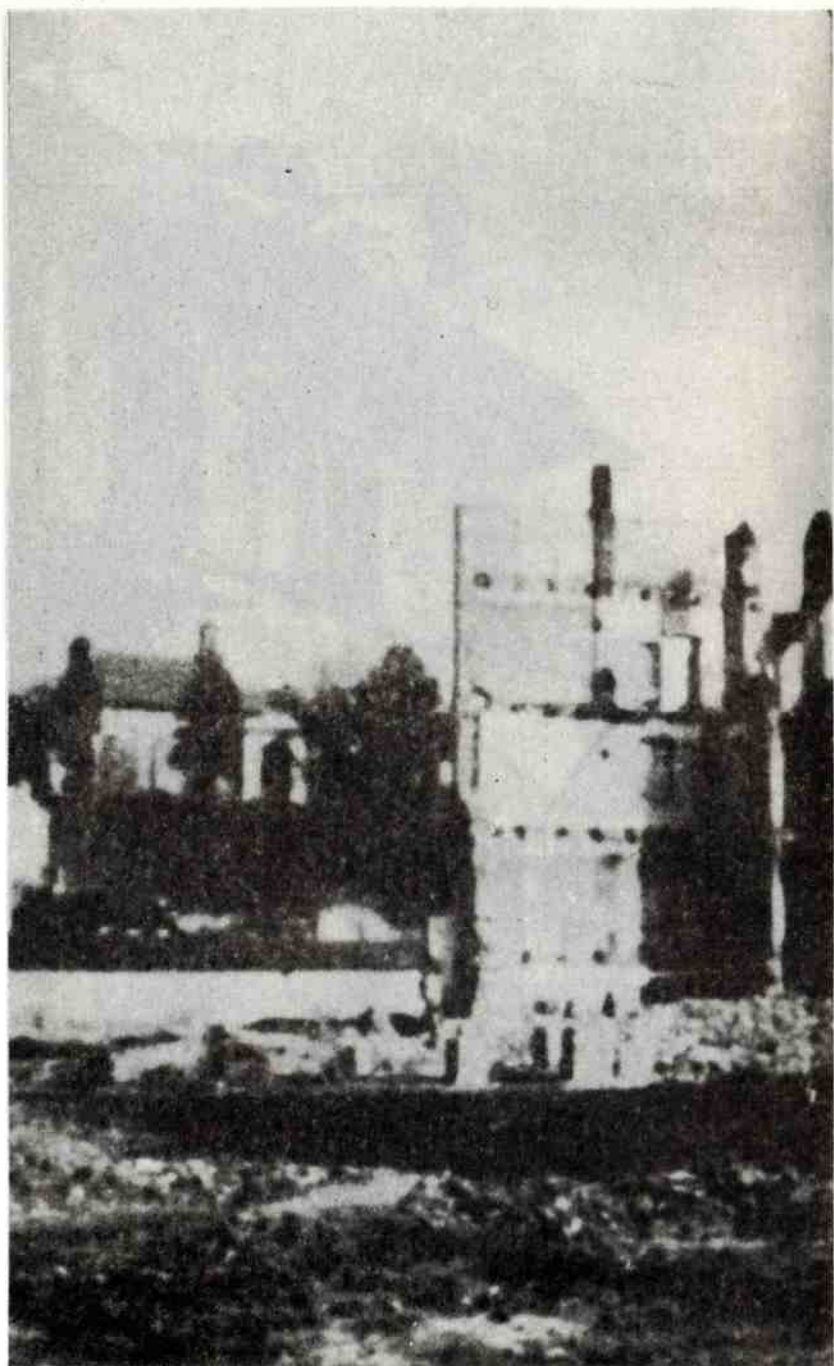




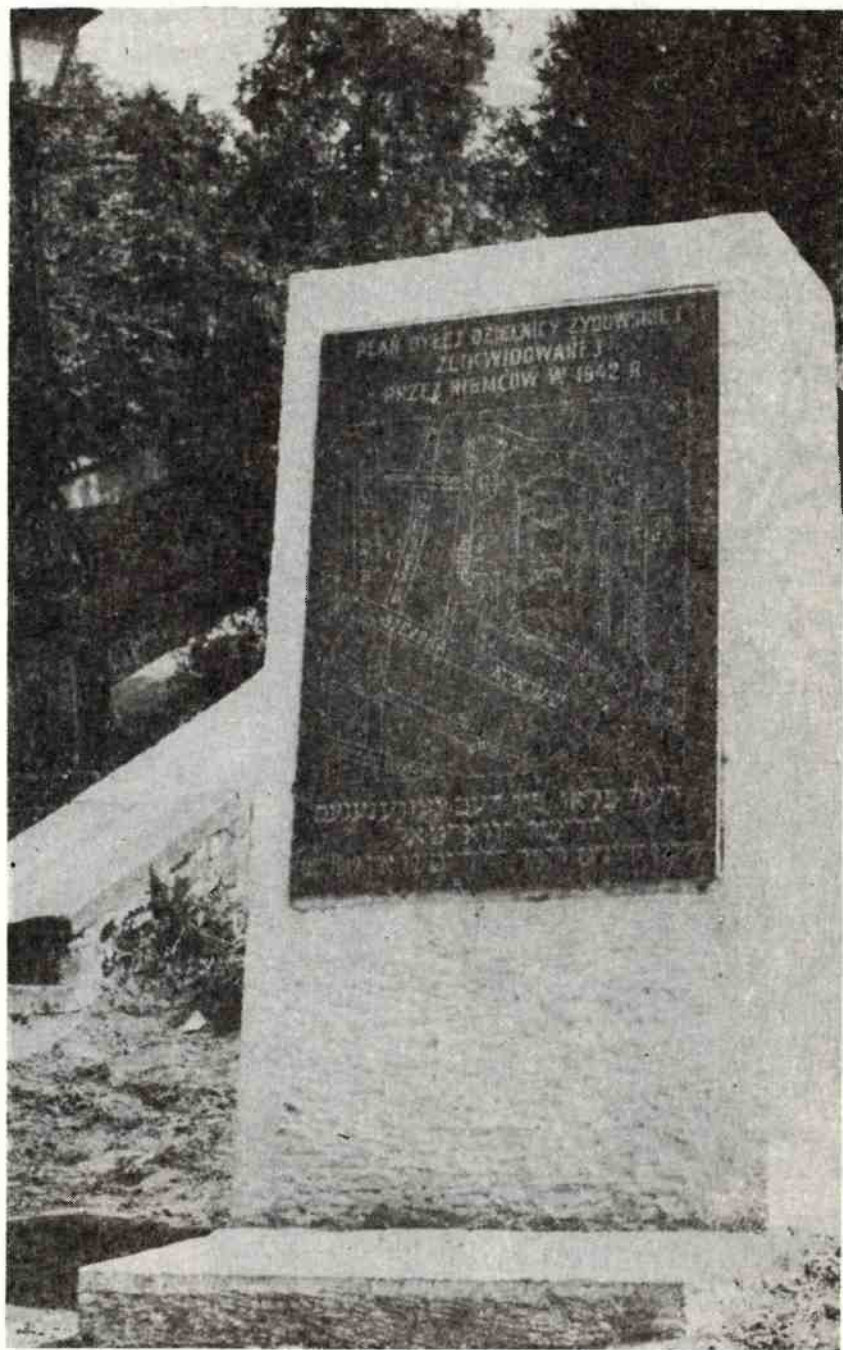
75. Szeroka, ok. 1942 r.



76. Krawiecka, ok. 1942 r.



77. Nadstawna, ok. 1942 r.



78. Tablica z planem byłej dzielnicy żydowskiej, zburzonej przez Niemców w 1942 r.



**79. Pomnik wzniesiony w 1963 r. — w 21 rocznicę zagłady „Miasta za murami”
— ku czci 40 000 Żydów Lublina**

Rybną, do której prowadziły dwie drogi: z Bramowej i pod górę od strony Kowalskiej znałam dobrze z lat poprzednich. Jedna wizyta na niej wryła mi się mocno w pamięć. Było to pierwszego marca 1919 roku — matka moja miała urodzić drugie dziecko, jednego z moich dwóch braci. W owym czasie kobiety rodziły w domu, żadna nie szła do szpitala. Do mojej mamy przychodziła akuszerka Ruchełe Wajsbrod, nasza daleka krewna i jak o niej mówiono, dobra w swoim zawodzie. Kiedy mama poczuła bóle porodowe posłała mnie do Ruchełe (miałam wtedy niespełna sześć lat). Z wielką radością, że ma się urodzić nowe dziecko, pomieszaną ze strachem o zdrowie matki puściłam się co sił pod górę od Kowalskiej w stronę Rybnej. Na szczęście zastałam akuszerkę w domu, obiecała przyjść natychmiast. W wielkim napięciu i zdenerwowaniu puściłam się tą samą drogą w dół. Bieg w dół o mało nie doprowadził do wypadku. W górę wbiegłam bez trudu, nie licząc braku tchu, ale gdy zbiegałam pędem w dół, nie potrafiłam się zatrzymać i z przerażeniem oczekiwałam chwili, kiedy upadnę i połamię ręce i nogi. Ocalił mnie zwykły hak wystający z okiennicy. Złapałam za niego i przystanęłam z pokaleczoną ręką, ale na to już nie zwróciłam uwagi, szczęśliwa, że udało mi się zatrzymać. Dalej z góry szłam powoli, ale Kowalską i Lubartowską znów biegłam szybko do domu, by z dumą opowiedzieć o wypełnionym zadaniu. Rybną szłam często do mojego wuja na Grodzką 16. W latach późniejszych Rybna miała złą opinię. Wieść głosiła, że miały tam meliny prostytutki, które prowadziły na nie swoich „gości” werbowanych przy Bramie Krakowskiej.

Brawermanówna, dziewczynka niskiego wzrostu, o czarnych wystraszonych oczach i czarnych kędzierzawych włosach pochodziła z małego miasteczka niedaleko Lublina. Rodzice musieli się na pewno bardzo dużo napracować, żeby posłać ją do Lublina na naukę. Nauka nie przychodziła jej łatwo, nie

potrafiła nadążyć za klasą przy dużych wymaganiach nauczycieli. Każde zadawane pytanie wywoływało w niej strach, niezależnie od przygotowania i umiejętności. Nigdy nie była pewna, czy potrafi odpowiedzieć pozytywnie. Jej strach przed nauczycielami powodował, że pytana wszystko zapominała.

Gitlisówna z Lubartowskiej 29 była mocno zbudowaną, pewną siebie dziewczyną. Zawsze walczyła, by wykazać się swoimi umiejętnościami, nawet wtedy, gdy niewiele umiała. Jej pozycja w klasie była mocna, mimo że nie odznaczała się zbytnimi umiejętnościami. Pomagało jej pochodzenie, była spokrewniona z Rothami, właścicielami domu przy ulicy Lubartowskiej 24.

Lorberówna, córka właściciela domu przy ulicy Kowalskiej 4, była jedyną z uczennic, z którymi się zaprzyjaźniłam. Miała bardzo ciężkie życie w domu. Jej ojciec, mimo zamożności, nigdy nie chciał dawać dzieciom tego, co było im potrzebne. Lorberówna nigdy nie miała więc odpowiedniego ubrania, ani książek. Po śmierci matki, kiedy zdana była na despotycznego i skąpego ojca, jej sytuacja jeszcze się pogorszyła. Ona sama okazała się jednak energiczna i mimo wszystkich trudności przebiła się przez gimnazjum, znalazła sobie pracę jako przedstawicielka jakiejś firmy, a potem ukończyła szkołę pielęgniarską w Wilnie. Po ukończeniu gimnazjum zbliżyłyśmy się bardzo do siebie, przedtem nikt z nią nie chciał się przyjaźnić. Bywała obiektem śmiechu i złośliwości, szczególnie po nieszczęśliwym wypadku, kiedy w klasie przed tablicą zgubiła spódnicę — była tak zniszczona, że „nie chciała” się na niej trzymać, a ojciec nie pozwolił sprawić nowej. Po szkole wzięła los we własne ręce i zaczęła sobie radzić lepiej od innych. Potrafiła zarabiać na własne utrzymanie. Po wybuchu wojny znalazła się w Kowlu. Tu spotkałyśmy się pod koniec 1939 roku. Została w Kowlu i prawdopodobnie tam zginęła.

Z uczennic naszej szkoły zapamiętałam jeszcze dwie siostry Gelibterówny, córki kupca towarów kolonialnych. Mieszkały przy ulicy Lubartowskiej 13, w domu Kopla Wurmana. Obie

siostry były bardzo ładne, jedna była o klasę wyżej ode mnie, druga o jedną niżej. Do „arystokracji” szkolnej zaliczała się też Dobrzyńska, córka znanej działaczki syjonistycznej w Lublinie.

Uczniowie

Dla Chaima-Szyji Rozenberga matka, właścicielka domu przy Ruskiej 18, gdzie mój ojciec miał warsztat, miała inne plany. Chciała, by studiował w Jeszycie (wyższej szkole religijnej) i został rabinem. On jednak pragnął zdobyć wykształcenie świeckie i walczył z matką, by pozwoliła mu wstąpić do gimnazjum. Walka trwała kilka lat i w końcu matka wyraziła swoją zgodę. Z tego powodu, gdy Chaim-Szyja przybył do szkoły, był starszy od innych w klasie. Był zdolnym chłopcem, ale miał kłopoty z językiem polskim. Braki w znajomości języka wykładowego przeszkadzały mu także w opanowaniu innych przedmiotów i stawały nieraz w śmiesznej sytuacji przed klasą, która nie darowała mu słabości — koledzy wyśmiewali jego nieudane zwroty i wyrażenia. Niedostateczna znajomość języka była przeszkodą, gdy po raz pierwszy próbował zdać maturę. Szkołę ukończył później ode mnie i studiował prawo. Po wojnie spotkałam go w Lublinie. Zamierzał wyemigrować do Izraela. Jak w wiele lat po tym spotkaniu dowiedziałam się, z Izraela przeniósł się do Niemiec, gdzie zmarł.

Mejer Zylbersztajn (koledzy zwali go pieśczoćliwie Majuś) nie wyróżniał się umiejętnościami w nauce; jedno dodawało mu trochę blasku, że czasami przyjeżdżał do szkoły bryczką, do której miał dostęp jako syn właściciela garbarni. Na studniówce, tzn. balu na sto dni przed maturą, Majuś wykazał się talentem naśladowania nauczycieli. Jego występ był tak udany, że wszyscy, nauczyciele i uczniowie, bawili się doskonale. Dzięki jego sukcesom bal udał się nadzwyczajnie, a Majusia uczyniły sławnym w całej szkole.

Achtman ze Świętoduskiej był najmłodszym synem w licznej rodzinie. Miał kilka sióstr i braci. Uczył się bardzo dobrze, należał do najzdolniejszych uczniów. Dość wcześnie zaczął angażować się w lewicowy ruch robotniczy, za co nie cieszył się sympatią dyrekcji. Należał także do grupy młodszej, która zbierała się u Racheli Farbiarz — u niej go poznałam.

Heniek Roth był synem właściciela domu przy Lubartowskiej 29. Był uczniem średnim, miał jednak powodzenie u dziewcząt, ponieważ był dość ładnym chłopcem, umiał prawić komplementy i nigdy nie brakowało mu tematu do rozmowy.

Karol Gecman, syn znanego felczera w Lublinie, był uczniem równoległej klasy i razem ze mną skończył gimnazjum. Za swoją działalność w lewicowym ruchu robotniczym trafił do więzienia. Po wojnie był naczelnym redaktorem gazety partyjnej w Lublinie, pisał poza tym udane wiersze. Wyemigrował do Izraela, a stamtąd przeniósł się do Niemiec.

Herszel Perel należał również do abiturientów Gimnazjum Humanistycznego. Ukończył szkołę rok przede mną, a dzięki pomocy ciotki z Ameryki udało mu się wyjechać na studia medyczne do Francji. Tam zginął w czasie okupacji niemieckiej.

Icehak Erlich, mój sąsiad z Lubartowskiej 21, zdawał maturę w roku, w którym Gimnazjum straciło prawa. To spowodowało, że jak wielu innych musiał zdawać ją kilka razy. Nie pomogły jego zdolności ani umiejętności jednego z najlepszych uczniów. Do wcześniejszych niż ja abiturientów szkoły należeli Dawid Giewerc, o którym już tu wspomniałam, Elbaum, zdolny matematyk, Idel Edelsztajn, brat mojej koleżanki Ewy (o jego zdolnościach matematycznych mówiono, gdy szukano dla mnie korepetytora). Mieszka obecnie w Paryżu.

Egzamin maturalny

Dwa lata w Gimnazjum Humanistycznym były trudnym okresem dla wszystkich uczniów — czuliśmy się zagrożeni pod wieloma względami. Stale wisiała nad nami i nauczycielami zmora, że szkoła może utracić prawa, a ta groźba stwarzała napiętą i nerwową atmosferę. Strach nauczycieli wyrażał się wzmożonymi wymaganiami w stosunku do nas; wymagali od uczniów bardzo wiele, nie dodając otuchy dobrym słowem, np. że znamy dostatecznie jakiś przedmiot. Oceny i stopnie utrzymywali w tajemnicy. Tylko cztery razy w roku, z konferencji z rodzicami, mogliśmy się dowiedzieć jak oceniają nas nauczyciele. Atmosferę zaostrzały jeszcze kłopoty ekonomiczne — opłacanie czesnego, co wiązało się z ryzykiem opuszczenia klasy. W ogromnym napięciu przeżyliśmy ostatnie tygodnie przed egzaminem. Kradliśmy sobie nawet godziny snu i jedzenia. Zbieraliśmy się u najlepszych uczniów z poszczególnych przedmiotów i z notatek powtarzaliśmy materiał aż do znudzenia. Sara Macharowska nocowała prawie stale u mnie i razem przypominałyśmy sobie materiał niezliczoną ilość razy. Najczęściej ona czytała, bo u mnie szybko pojawiała się chrypka. Zrozumiałe, że podczas jej czytania często ucinałam sobie drzemkę, ale nawet śpiąc powtarzałam lekcję, dowodząc w ten sposób, że słucham. Mój ojciec żartując, radził jej, żeby mnie budziła wylewaniem zimnego wiadra wody na moją głowę. Nietrudno się domyśleć, że po takich nocach, zmęczone do cna, zwałyśmy się na nasze tzw. polowe łóżko, które dla wygody poszerzałyśmy stolnicą i przedłużały taburetką*. Z powodu ciasnoty mieszkaniowej nie mogliśmy mieć lepszego leża.

W dniu egzaminu, o godzinie ósmej rano, dziewczęta wystrojone w białe bluzki i granatowe spódnice, chłopcy w granatowych mundurach, zebraliśmy się w największej sali

* Taburetką, nazwa utworzona od francuskiego słowa *tabouret*, taboret.

szkolnej. Każdemu przydzielono stolik z krzesłem, w dużej odległości od siebie, żeby nie można było się porozumieć. Nauczycielka polskiego przestrzegła nas, że każda próba porozumiewania się grozi dyskwalifikacją. To samo groziło za korzystanie z poprzednio przygotowanych ściągawek. Mimo gróźb niektórzy uczniowie mieli przewidywane tematy zapisane na cienkich bibułkach, złożonych w harmonijkę. Czy komuś udało się skorzystać przy ścisłej kontroli z przygotowanych pomocy, trudno powiedzieć. W końcu nadeszła ze strachem oczekiwana chwila. Nauczycielka otworzyła zapieczętowaną kopertę i odczytała obowiązujące tematy. Dwa z nich pamiętam do dziś. Ten, który wybrałam — „Dlaczego na pomniku Bolesława Prusa wyryto łaciński napis — cor cordium (serce serc)” i drugi „Olimpiady dawniej i dziś”. Ostatni wybrał wyłącznie Białostocki. Po odczytaniu tematów, przydzielono nam do dyspozycji pięć godzin, podczas których nie wolno nam było nawet skorzystać z toalety. W ciągu tych pięciu godzin musieliśmy zdążyć dwa razy napisać temat. Pierwszy wariant mieliśmy prawo poprawić, drugi musiał być bez błędów i poprawek i wyraźnie napisany. Obydwa warianty musieliśmy złożyć przed komisją. Po pracy pisemnej z polskiego czekały nas jeszcze takie z matematyki i francuskiego. Do tego ostatniego wszyscy, oprócz Farbiarzówny, doszli z ciężkim sercem, gnębieni przez Lewinową, która wieloma różnymi środkami starała się nam dowieść, że jesteśmy ostatnimi matołami. I ten próg przekroczyliśmy szczęśliwie.

Po pracach pisemnych przyszedł dzień napięcia — nerwowe oczekiwanie na wyniki, które znów wyczerpywało nasze siły. Z jednej strony obawialiśmy się wyników, z drugiej nie pozwalaliśmy sobie na odpoczynek i stale powtarzali materiał przewidziany programem szkolnym. Przygotowując się do egzaminu ustnego nie pozwalaliśmy sobie na stratę choćby jednej minuty. W końcu przyszedł oczekiwany dzień, w którym dowiedzieliśmy się o pozytywnych wynikach naszych prac i dopuszczono

nas do ostatecznej próby. I znów oczekiwanie pełne napięcia na dzień ustnego egzaminu.

W jednej sali byli zebrani wszyscy nauczyciele pod przewodnictwem delegata z ministerstwa. Na salę wpuszczano po dwóch uczniów — jednego przesłuchiowano, drugi przygotowywał się do odpowiedzi. Każdy nauczyciel miał prawo stawiać pytania. Specjalne prawa przysługiwały delegatowi, a jego ocena była decydująca. Trudno sobie wyobrazić zdenerwowanie oczekujących na swoją kolej pod drzwiami. Nikt nie śmiał wyjść nawet na chwilę, nikt nie ważył się coś zjeść, lub skorzystać z toalety. Każdego ucznia, który wychodził z sali, oblegali oczekujący swojej kolejki i obrzucali pytaniami: czy pytania były trudne, kto je zadawał, czy mieli dość czasu na przemyślenie odpowiedzi, a nade wszystko — jak zachowywał się delegat, czy i o co pyta, jakie stawia pytania.

Dziewiątego czerwca 1932 roku przed południem wezwano mnie do odpowiedzi. Wrażenie, kiedy zobaczyłam wszystkich nauczycieli siedzących po jednej stronie zestawionych stołów z delegatem pośrodku, było paralizujące. Miałam uczucie, którego doświadczał na pewno przestępca, stając przed stołem sędziowskim ze wszystkimi dowodami jego winy. Nogi nie chciały mnie trzymać, w głowie utworzyła się zupełna pustka. Kiedy dostałam pytania o konfederacjach i powstaniach w historii Polski zaczęłam się uspokajać i odzyskałam równowagę. Wystarczyło jednak, by Mendelkiernowa zatrzymała napisany przeze mnie konspekt, a znów wróciła pustka w głowie. Poprosiłam o zwrot konspektu, na co nauczycielka się zgodziła i już bez przeszkód kontynuowałam odpowiedź. Z polskiego dostałam temat, który przedyskutowaliśmy w kółku literackim — porównanie bohaterów *Wroga ludu* Ibsena i *Ludzi bezdomnych* Żeromskiego. Usłyszawszy temat, byłam pewna, że sobie poradzę. Jak przeszły inne przedmioty... zapomniałam. Koniec jednak był dobry, egzamin wypadł pozytywnie. Po kilku dniach dyrektor, w obecności całego personelu nauczycielskiego, ogłosił rezultat, wszyscy dostali zaświad-

czenia do ręki. Mnie jednak pozwolono tylko przejrzeć dokument, musiałam go zwrócić, aż ojciec mój wykupi weksel — dopiero po roku ojcu udało się zebrać należną sumę pieniędzy.

O szczęśliwej chwili po maturze myślałam i marzyłam latami, jak wielu innych. Widziałam siebie w drodze do domu, nie mogłam zaś wyobrazić sobie, że droga będzie miała ten sam wygląd co przedtem. Czasem wyobrażałam sobie, że drogę do domu przebędę idąc na głowie. Innym razem myślałam, że będziemy tańczyć i wszyscy będą szczęśliwi razem z nami.

Wspominając sylwetki nauczycieli, kolegów, znajomych i przyjaciół na pewno nie wymieniłam wszystkich, uczyniłabym to chętnie, niestety, czas zatarł w pamięci wiele nazwisk i zdarzeń...

Po maturze

Z ukończeniem szkoły wszyscy wiązali wielkie nadzieje. Myśleli i marzyli, że przyniesie to przełom w naszym życiu, stworzy możliwości, jeżeli już nie do dalszych studiów, to chociażby zatrudnienia. Rzeczywistość okazała się całkiem inna. Moim marzeniem były studia medyczne, ale droga ta była dla mnie zamknięta. Żydów na te studia właściwie nie przyjmowano. Tylko nieliczni, bardzo zamożni, z dużą protekcją mogli jeszcze przestąpić próg tej uczelni. Inni wyjeżdżali na uniwersytety do Francji albo Belgii. Mniej zamożni, by móc utrzymać się i opłacać czesne, poświęcali tam swój czas potrzebny na sen i odpoczynek najgorszej pracy za najniższe wynagrodzenie. Dla mnie oba wyjścia były niedostępne. Mogłam wybrać jedno: wyjechać do Warszawy i utrzymywać się z udzielania lekcji lub tzw. kondycji*, jak robiło wielu

* Kondycja, posada nauczyciela domowego lub korepetytora, połączona najczęściej z wyjazdem na wieś.

innych, i znosić wszystkie kaprysy dzieci i ich rodziców. Tymczasem i ta droga była dla mnie niedostępna, moja matura była nie wykupiona. Byłam nadal ciężarem dla moich rodziców, byłam więc szczęśliwa, gdy dostałam jakąś korepetycję i rodzice ucznia czuli się w obowiązku zapłacić. Byłam też zadowolona, gdy polecono mi coś wykonać, na przykład zapłacić rachunek za światło, albo załatwić jakąś sprawę w urzędzie skarbowym dla mojego ojca. Zaczęły się długie i puste dni, dni bez celu i bez widoków zmiany. Żeby jakoś wypełnić je, wzięłam na siebie obowiązek sprzątanego mieszkania, konkurując z moją sąsiadką Glikel Rapaport — która z nas osiągnie lepszy połysk podłogi pofarbowanej na czerwono i wypastowanej pastą Dobrolin. Pomagałam znajomym, którzy mieli trudności z nauką polskiego, uczyłam takich, którzy nie chodzili do szkoły z różnych powodów, szczególnie religijnych. Trudności mieli chłopcy, ponieważ rodzice bali się, że nauka w świeckiej szkole oderwie ich od religii. Do tej kategorii uczniów należał Mordko Nachtajler i Fajzel Granatsztajn, syn właściciela sklepu win i wódek przy ulicy Lubartowskiej 18.

W tym miejscu chciałam wspomnieć jeszcze o Mendelsonie. Był bardzo zdolnym malarzem. Zainteresował się nim znany reżyser i malarz Jakub Rotbaum. Akademia Sztuk Pięknych w Warszawie, czyniąc wyjątek, pozwoliła mu być wolnym słuchaczem bez matury (by się tam dostać potrzebny był egzamin dojrzałości). Ukończył Szkołę Powszechną, ale nie miał możliwości uczyć się dalej. Jego rodzice byli biedni i nie mogli mu pomóc. Do pracy malarskiej potrzebne były farby, płótna, pędzle i ramy do obrazów — żaden z tych wymienionych akcesoriów nie był mu dostępny. Nigdy jednak nie uskarżał się na swoją biedę, ale zdawał sobie z niej sprawę. Kiedy raz odwiedziłam go w domu przy Szerokiej, okazało się, że jego rodzina mieszkała w jednym prawie ciemnym pokoju, z oknem wychodzącym na przeciwległą ścianę zasłaniającą światło. Mebli w pokoju nie widziałam. Jak mogłam się domyśleć, na noc rozstawiali łóżka dla członków rodziny.

Pierwsze swoje prace wystawił Mendelson w Żydowskim Klubie Inteligencji, przy ulicy Szopena. Po wystawie w miejscowej prasie ukazały się pozytywne recenzje. Mendelson był szczęśliwy i myślał, że nastąpił przełom w jego życiu. Wystawa jednak nie pomogła mu. Nie ziściło się marzenie, by dostać się do Akademii Sztuk Pięknych jako normalny słuchacz (został nim po kilku latach). Nie zmieniło to w niczym jego ciężkiej sytuacji ekonomicznej, nie pomogło w uzyskaniu potrzebnych materiałów, nie dało środków utrzymania.

Mordko Nachtajler nie był tak biedny jak Mendelson. Jego rodzice wybrali dla niego tradycyjną drogę i chcieli dość bogato ożenić. Nie wykluczone też, że widzieli go jako zięcia na utrzymaniu (*an ajdem of kest*). On sam wybrał jednakże odmienną drogę — zaczął działać w lewicowym ruchu robotniczym, zerwał z narzeczoną i wyjechał do Warszawy. Cierpiał w niej biedę, nie mogąc znaleźć żadnej pracy. Chciał bowiem wbrew rodzicom zdobyć wiedzę świecką, w czym starałam mu się trochę pomóc. Do tych, którym pomogłam w zdobyciu wiedzy, należał Mojżesz Sztern i mój kuzyn Heniek Fernand — obaj w owym czasie uczniowie Gimnazjum Głazberga. Powstało w latach trzydziestych, po likwidacji szkoły Szperowej.

Wszystkie te „prace” nie dawały żadnej perspektywy i nie przynosiły prawie żadnych dochodów. Męczyła mnie świadomość, że jestem na utrzymaniu rodziców, którzy ledwo wiązali koniec z końcem. Nie stać ich było na moje przyjemności, nie mogłam brać od nich pieniędzy, żeby pójść do kina, do teatru, na abonowanie w bibliotece lub kupienie książek. Od czasu do czasu udawało mi się pójść do kina dzięki sąsiadce, Fajci-Feli Perel*. Jej stryj pracował w „Lubliner Tugblat” — w administracji lub w drukarni — i przynosił czasami *passé-partout*, czyli wolny wstęp, dla dwóch osób. Przez pewien czas kuzyn mojej mamy Mordko Fernand grał w orkiestrze w teatrze

* Właściwie: Lejb Perl; na kilka lat przed wojną współwłaściciel, z Kohenem i Jakowem Kacem, gazety „Lubliner Tugblat”.

polskim. Dzięki temu mogłam również obejrzeć jakieś przedstawienie na jego bezpłatny bilet. Brakowało mi jednak zawsze pięciu groszy dla dozorczy za otwarcie bramy, kiedy wracałam (po jej zamknięciu) z teatru lub spaceru. Wiem, że nie byłam jedyną, która myślała, że żyjemy w społeczeństwie, w którym nie ma miejsca na nasze młode ręce i siły. Nie mogłam pozbyć się uczucia beznadziejności i pustki.

Ludzie, marzenia, czyny

Przebywając po maturze w domu, nie ucząc się i nie mając stałej pracy, byłam wdzięczna moim znajomym, którzy zaczęli mnie włączać do działalności w lewicowym ruchu robotniczym. Byłam zadowolona, że puste dni wypełniła praca dla określonych ideałów sprawiedliwości i równości społecznej, przeciwko nienawiści i dyskryminacji. Początkowo działalność nie przyniosła żadnych korzyści materialnych, ani możliwości zarobkowania, groziła natomiast długoletnim więzieniem, uskrzydlała marzeniami o sprawiedliwszym i lepszym jutrze. Dla mnie, jak i dla wielu innych, droga do ruchu robotniczego prowadziła przez organizację akademicką. Każdego roku po egzaminach maturalnych Zrzeszenie Akademików Żydów zapraszało abiturientów Gimnazjum Humanistycznego na zebranie, na którym werbowano nowych członków. Poszłam więc i ja i zostałam aktywistką. Zrzeszenie przeżywało wtedy kryzys. Ze względów politycznych wystąpiła z niego syjonistyczna młodzież, pozostali jedynie komuniści i bundowcy, między ostatnimi Szyper, syn znanej działaczki bundowskiej — Beli Szpiro.

Secesja posłużyła policji jako argument, że pozostali tam komuniści i zamknęła lokal przy Staszica. Był to cios dla żydowskiej młodzieży inteligenckiej, ponieważ Zrzeszenie prowadziło ożywioną działalność kulturalno-oświatową, różne

formy pracy samokształceniowej i rodzaj artystycznego kabaretu. Występowała w nim duża grupa uzdolnionej młodzieży, która miała tu możliwość wykorzystywania i rozwijania swoich uzdolnień. Między innymi poznałam tam Abrama Kuczera, ładnego i zdolnego młodzieńca, syna krawca z ulicy Kościuszki. Jego matka była aktywną bundystką, ale on zaangażował się w ruch komunistyczny. Studiował prawo w Warszawie, a potem współpracował z lewicowym (komunistycznym) czasopiśmie literackim „Lewar”*, zamkniętym z powodu ostrej cenzury państwowej. Wojnę przeżyła tylko jego siostra i dziecko, uratowani przez polską rodzinę. Obie mieszkają prawdopodobnie w Izraelu.

Ze spotkań pamiętam też Lowę Białostockiego, tego, który równocześnie ze mną ukończył gimnazjum. Miał 26 lat i po raz czwarty przystępował do matury. Poprzednie trzy próby zdania egzaminu maturalnego nie powiodły się z powodu szykan władz.

Lowa wychowywał się w domu swojego dziadka, Izraelity, właściciela wielu domów w Lublinie. Izraelita, mimo swojego bogactwa, był znany ze skąpstwa (rodzaj „lubelskiego” Harpagona — bohatera molierowskiego *Skąpca*). On był bardzo zdolnym człowiekiem, żądnym wiedzy, ale nie miał praktycznie żadnych możliwości, by stworzyć sobie jakieś normalne życie. Ponieważ nikt w jego „zimnym domu” nie zwracał na niego uwagi, nigdy nie miał odpowiedniej odzieży. Latami nosił jeden stary garnitur i także palto, jedno i drugie zużyte i brudne. Nigdy nie dopasowywał przy zapinaniu odpowiedniej dziurki do odpowiedniego guzika. Jego skarpety miały zawsze dziury na piętach, a pantofle wykręcone i obite obcasy. Nigdy też nie miał cierpliwości, by dłużej posiedzieć na jednym miejscu. U kogoś ze znajomych pokazywał się niczym wiatr i nie pukając do drzwi wpadał do mieszkania, przebiegał wszystkie pokoje

*„Lewar”, warszawskie czasopismo społeczno-polityczne, ukazywało się w latach 1933-1936 (od 1935 r. miesięcznik) z inspiracji KPP.

do osoby, którą chciał odwiedzić, często z nikim nie zamieniając słowa. Czasami łapał jakąś książkę, szybko ją kartkował koncentrując się na tym, co go ciekawiło. Godna podziwu była jego umiejętność błyskawicznego znalezienia tego, czego szukał, i zapamiętania na lata, a może i na zawsze. Takim samym sposobem w jaki się zjawiał — znikał. Do mnie wpadał dość często. Znajomi twierdzili, że moją osobą przejawiał większe zainteresowanie. Możliwe, że tak było — ja nie śmiałam się z jego zaniedbania i sposobu bycia. Wizyty u mnie nie różniły się jednak niczym od opisanych.

Przekonania polityczne Białostockiego znane były policji. Choć nie brał udziału w nielegalnej działalności komunistycznej, nie ukrywał swoich przekonań, otwarcie je wypowiadając. Tymi wystąpieniami doprowadził do tego, że przed pierwszym maja, przed każdą rocznicą Rewolucji Październikowej, albo innym świętem robotniczym aresztowano go i przetrzymywano przez kilka dni. Częste areszty i rewizje pogorszyły jego i tak już trudną sytuację u dziadka, u którego mieszkał przy Krakowskim Przedmieściu 51. Z powodu aresztów i na pewno też z przyczyny zaniedbań i współczucia dla biednych lokatorów, stracił pracę administratora domów dziadka przy Bychawskiej. W ten sposób nigdy nie miał grosza przy duszy, jak większość żydowskiej młodzieży. Zginął w czasie okupacji niemieckiej. Matka moja napisała mi, że odwiedził ich i pytał się o mnie i to jest ostatnia moja wiadomość o nim.

Sara Nomberg z Lubartowskiej 24 była jedną z najbardziej aktywnych w Zrzeszeniu. Znałam ją od czasu, gdy uczęszczała do szkoły Mandelkernowej w tym samym domu. Często widywałam ją przez okno, gdy szła do gimnazjum wspartą na ramieniu brata. Cieszyła się opinią bardzo zdolnej. Za swoją działalność otrzymała długoletni wyrok więzienia. Moje kontakty z Sarą odnowiłam po jej wyjściu z więzienia. Okupację przeżyła w getcie białostockim i w Oświęcimiu. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że miała chore nogi, z powodu których zawsze

musiała korzystać z pomocy innych — jej przeżycie Oświęcimia można uważać niemal za cud. We wszystkim pomagał jej zawsze brat i czarnowłosa sympatyczna bratowa, również aktywistka ruchu komunistycznego. Po wojnie spotkałam Sarę w Lublinie, gdzie była zastępcą naczelnego redaktora „Sztandaru Ludu”. W pamiętnym roku 1956 zaczęły się jej kłopoty polityczne. Po 1967 roku zmuszona została do opuszczenia redakcji, przez pewien okres pracowała jeszcze w czasopiśmie Wojewódzkiej Rady Narodowej, ale i stamtąd musiała odejść. W 1968 roku wyemigrowała do Izraela, obecnie przebywa u syna w Kanadzie.

Michał Bromberg był prezesem Zrzeszenia — aktywnością nie wyróżniał się. Jego kandydatura była jednak wygodna, ponieważ jako syn zamożnych rodziców mógł służyć organizacji, nie będąc podejrzany o przynależności do partii komunistycznej, choć w rzeczywistości zdradzał takie sympatie. Sytuacja zmieniła się, gdy syjoniści opuścili Zrzeszenie i lokal przy Staszica został zamknięty. Gdy grupa aktywistów czyniła starania o nowy lokal, Michał już nie nadawał się na prezesa — jego starszy brat Adam z narzeczoną Janiną Bier zostali skazani na więzienie za działalność komunistyczną, a jego najstarszy brat Eljasz również nie wzbudzał zaufania władz państwowych. Był dla nich za liberalny, za demokratyczny.

Fajwel Kamień oficjalnie nie należał do Zrzeszenia, ponieważ nie ukończył gimnazjum. Nie przeszkadzało mu to być jednym z najbardziej aktywnych. Miał czworo rodzeństwa — brata i trzy siostry. Oprócz najstarszej siostry, wszyscy działali w ruchu komunistycznym. Cesia i Ewa trafiły nawet do więzienia, taki sam los (kilkuletnie więzienie) spotkał ich brata Noecha. Ojciec, choć był religijnym Żydem, również wykazywał cichą sympatię dla ruchu. Nie mógł zarobić na życie, musiał więc być zięciem na utrzymaniu teścia, właściciela domu przy ulicy Wyszyńskiego 10. Przez pewien czas pracował jako sędzia polubowny (dajan — popularny zawód wśród Żydów). Po zaostreniu się kryzysu zarobki te skończyły się, rodzina

utrzymywała się wtedy z miesięcznej pensji przydzielanej przez ojca żony. Pensja starczała na bardzo skromne życie. Mimo pomocy ledwie wiązali koniec z końcem. Mieszkali w domu ojca. Stary Goldfarb groził stale wstrzymaniem zapomogi wnukowi z powodu komunistycznej działalności. Można się domyślać, że groźba ta była powodem, że Fajwel angażował się jedynie w pracy legalnej, na przykład w Zrzeszeniu Akademików Żydów. Brał udział w organizowaniu wielu bardzo udanych imprez, które wywierały pewien wpływ poza środowiskiem żydowskim. Miał duże zdolności oratorskie — jego referaty wywoływały zainteresowanie słuchaczy. Dobrze znając literaturę żydowską, starał się popularyzować ją wśród szerokich mas żydowskich, docierając do różnych organizacji, związków zawodowych i klubów sportowych. Wyróżniał się też jako komentator wydarzeń politycznych, biorąc za punkt wyjścia jakieś dzieło literackie. Znając w takim samym stopniu język polski i żydowski, oddawał cenne usługi ruchowi komunistycznemu w Lublinie, w tym Zrzeszeniu Akademików Żydów, poprzez swoje szerokie kontakty w różnych sferach żydowskiego i polskiego społeczeństwa.

Po zamknięciu lokalu Zrzeszenia Akademików Żydów grupa aktywistów od razu postanowiła wszelkimi siłami otworzyć nowy lokal i znowu ożywić działalność. Problemów było dużo, a jednym z nich stworzenie składu zarządu z osób nie notowanych w policji jako komuniści; nie mógł to być nikt z poprzedniego zarządu. Po długich poszukiwaniach, pertraktacjach i dyskusjach udało się wybrać nowy zarząd, z prezesem Józefem Szpiro na czele, wspomnianym synem właściciela odlewni przy Zamojskiej 24. Jego kandydatura była odpowiednia z powodu pochodzenia z zamożnej rodziny i traktowania przez władze za niezaangażowanego w ruchu lewicowym. Mnie przypadła rola sekretarza.

W czasie, gdy istniał jeszcze lokal (na Staszica), oznaczało to prowadzenie księgi protokołów z posiedzeń zarządu i utworzenie w ten sposób dokumentów świadczących o istnieniu

niepewne. Poza tym na wynajęcie lokalu i orkiestry trzeba było mieć z góry sporą sumę pieniędzy. Podobnie było z bufetem, który po biletach wstępu dawał największy dochód. Ponadto pieniądze potrzebne były na wydrukowanie zaproszeń, które należało rozprowadzić przed balem, żeby uzyskać pierwsze fundusze. Z zaproszeniami tymi odwiedzano następnie lublińnian, według zestawionych list. I znów zaczynały się problemy z werbunkiem chętnych. Łatwej roboty nie mieli, przemierzali dziesiątki mieszkań, wdrapywali się na tysiące schodów, nierzadko niektórzy osoby odwiedzali po kilka razy (nie zastawali ich w domu, albo nie mieli oni odpowiedniej sumy). Czasami spotykały ich obelgi, albo zamykano przed nimi drzwi. Mimo opisanych kłopotów zawsze znajdowała się pewna grupa chętnych, którzy wypełniali to niewdzięczne zadanie z oddaniem i po każdej rundzie z ogromnym zadowoleniem opowiadali o sukcesach albo z humorem przedstawiali swoje niepowodzenia.

Wśród uczestników uformowała się więc grupa chodzących. Do nich należały wspomniane siostry Konopkówny, Szorówny i Bursztynówny, często dołączali Maks Herc, Abram Kuczer i Berek Turkieltaub, syn właściciela sklepu papierniczego przy ulicy Świętoduskiej, jego siostra Ewa Turkieltaub, Bela Giewerc z Lubartowskiej dwanaście (albo 14). Jak nietrudno domyśleć się, brali też udział członkowie zarządu, z wyjątkiem Lowy Białostockiego, którego nie można było nakłonić, aby normalnie zapiął guziki ubrania i włożył całe (bez dziur na piętach) skarpetki. Do tych, którzy zawsze dobrze przyjmowali zbiórkowiczów, należeli między innymi: Eliaszbromberg i adwokat Zajdman, syn znanego okulisty, członek Klubu Inteligencji.

Po uzyskaniu odpowiedniej sumy pieniędzy z przedsprzedaży można było przystąpić do zakupów do bufetu i przeniesienia ich w przeddzień do lokalu. W naszych warunkach nie było to wcale łatwe. Dużą część zakupów trzeba było przenieść własnym sumptem — oznaczało to po prostu dźwiganie na

własnych plecach, by zaoszczędzić na kosztach i powiększyć dochód. Własnymi siłami przenosiło się i wypożyczone naczynia. Wiele czasu i trudu wymagało również zrobienie setek kanapek — musiały być wyjątkowo smaczne i na „jeden ząb”. Znaleźli się specjaliści od tej sztuki i kanapki miały ogromne powodzenie wśród gości, którzy je szybko sprzątnęli ze stołów. Całą noc musiała sprawnie funkcjonować na sali obsługa stolików i bufetu, by goście czuli się i bawili dobrze. Po takiej nocy organizatorzy byli niezwykle zmęczeni, ale nie mogli opuścić lokalu aż do późnych godzin następnego dnia bez opłacenia orkiestry i sali oraz zrobienia bilansu kosztów i wpływów. Wieczory zyskały dobrą sławę wśród zwolenników takich zabaw i przynosiły spore sumy na przyszły lokal.

Po zarobieniu pewnych funduszy Zarząd postanowił zwrócić się do Gminy Żydowskiej o pomoc pieniężną. Zawiadomiono wszystkich członków i sympatyków, żeby wyznaczonego wieczoru stawili się przed lokalem „Ochrony” (domu sierot), gdzie radni mieli zebrać się na posiedzeniu. Zebrana przed domem młodzież postanowiła wytrwać tak długo, aż zapomoga zostanie przyznana. Wiele godzin zebrani stali na schodach, starając się przekonywać radnych, jeśli któryś z nich się pokazywał. Między nimi znajdowali się przedstawiciele wszystkich partii i warstw społecznych, od religijnych i syjonistycznych poczynając do Bundu włącznie. Od tych ostatnich spodziewaliśmy się poparcia, innych nie byliśmy pewni. Po długim oczekiwaniu pełnym napięcia, prezes Gminy, Szlomele Halbersztat, zawiadomił, że została przyznana jednorazowa pomoc. Późną nocą wracaliśmy do domów zmęczeni, ale w podniosłym nastroju i zadowoleni także z faktu, że nie wchodziła się policja. Zawsze zjawiała się, gdy zbierała się większa grupa osób. Tym razem pozostawiła zebranych własnemu losowi, wychodząc prawdopodobnie z założenia, że Żydzi mogą sobie nawzajem nawet głowy pourywać, byle innych nie tknęli.

Zrzeszenia. Co najmniej dwa razy w miesiącu musiało się odbyć posiedzenie z napisanym protokołem, w przeciwnym razie policja miała podstawę do rozwiązania organizacji. Niezależnie od tego, czy zarząd zbierał się regularnie, dokument podpisany przez odpowiednie władze musiał zostać napisany. Nie pamiętam już wszystkich członków nowego zarządu, ale faktycznymi inspiratorami byli: Fajwel Kamień i Lwa Białostocki.

Najważniejsze zadanie — zdobycie nowego lokalu, było w ówczesnych warunkach prawie nieosiągalne. Zarząd nie dysponował żadnymi funduszami i nie miał żadnych dochodów, nawet z normalnych opłat składek członkowskich, ponieważ nikt prawie nie miał pracy. Poza tym trudno było znaleźć właściciela, który chciałby wynająć lokal organizacji z określonymi „stemplem”. Ale grupa entuzjastów i marzycieli postanowiła zebrać potrzebne pieniądze. Zdobyć je próbowano na przykład przez zbiórkę uliczną. Organizowanie jej też nie było rzeczą prostą. Pierwsza trudność to zdobycie zezwolenia władz, które niechętnie je wydawały, szczególnie gdy chodziło o organizację jak nasza — w końcu zezwolenie udało się dostać. Druga trudność to potrzeba dużej liczby osób do obsługi stolików i „lotnych par”, które musiały poświęcić kilka godzin na siedzenie przy stolikach lub chodzenie z puszkami i ofiarowanie przechodniom przysłowiowego kwiatka za odpowiedni datek. Znalezienie chętnych do tej pracy nie było proste — nie każdy lubił nagabywać przechodniów i prosić o pieniądze. Nie każdemu uśmiechało się też publiczne przyznawanie do swoich sympatii politycznych. Dodatkowy kłopot sprawiało jeszcze to, że potrzebne były dobrze prezentujące się i nie najgorzej ubrane osoby. Tylko tacy mogli liczyć na lepszy skutek zbiórki wśród przypadkowych ofiarodawców.

Mimo wszystkich wymienionych przeszkód zawsze znalazła się spora liczba chętnych do zbiórki, między nimi dwie siostry Konopko — Sala i Sabina, najstarsze córki znanego w mieście urzędnika gminy żydowskiej, obie bardzo ładne dziewczyny, co

było nie bez znaczenia przy tego rodzaju zbiórce. Wielu nie chciało im z tego powodu odmawiać swego udziału. Pomagały dwie siostry Szorówny, przyjaciółki prezesa Zrzeszenia Józefa Szpiro, dwie Bursztynówny, córki znanego w Lublinie właściciela garbarni. Zaangażowali się Maks Segal i Maks Herc (syn wojskowego). Maks Herc był dobrze wychowanym młodzieńcem, który zawsze przestrzegał etykiety i znajdował dla każdego kilka miłych słów. Był z natury dobrym człowiekiem, zawsze gotów pomóc innym. Uczestnikami zbiórki byli także Aron Kartofel, Ulmacher i Karp, jeden z najzdolniejszych abiturientów „Humanistyki” i wielu innych, których niestety nazwisk nie pamiętam. Udało się obsadzić wszystkie stoliki w ważnych punktach i zorganizować „lotne pary”. Pomogła też grupa studentów z Katolickiego Uniwersytetu, członkowie TUR — młodzieżowej organizacji PPS*, chętni do współpracy z ruchem komunistycznym. Do nich należeli: Kwieciński, Szyszko, Goldfingierówna (wnuczka wspomnianego Kunickiego, dyrektora Gimnazjum Handlowego), Wudel, Krzykała, Łobodowski i inni.

Zbiórka dała pierwszą sumę pieniędzy, a choć była niewystarczająca i szukano innych źródeł dochodu wiedzieliśmy, że zdobycie lokalu zaczyna przybierać realne kształty. Takim źródłem dochodu okazały się wieczory taneczne, organizowane w jakiejś dużej sali, gdzie zwykle odbywały się bale lub wesela. Urządzały je zimą różne organizacje. Najlepszym okresem był karnawał, a szczególnie wieczór sylwestrowy (31 grudnia). Na ten ostatni nie mieliśmy zbyt dużo szans, za lokal i orkiestrę trzeba było drogo płacić. Wybieraliśmy więc jeden z sobotnich wieczorów w karnawale.

Na urządzenie wieczoru tanecznego również potrzebne było zezwolenie władz. Dla naszej organizacji uzyskanie go było

* Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego (TUR), organizacja o charakterze oświatowo-kulturalnym; organizacją młodzieżową PPS była natomiast Organizacja Młodzieży Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego (OMTUR).

Po wszystkich podjętych przez Zarząd krokach otrzymaliśmy dużą jak na owe czasy sumę — 500 złotych. Można już było rozpocząć starania o uzyskanie lokalu. I znów pojawiły się nowe trudności. Zdobytych pieniędzy nie starczało na lepszy lokal, a oprócz tego właściciele nie chcieli wynająć sali lewicowej organizacji. Po długich poszukiwaniach wynajęto nam w końcu lokal przy ul. Lubartowskiej 18. Był to duży, brudny i zapuszczony pokój na parterze, z wejściem od podwórza. Nikt nie chciał go z powodu złego stanu i na pewno w tym należy dopatrywać się przyczyny, że gospodarz wynajął go nam. Mimo opłakanego stanu Zarząd był zadowolony — mogliśmy wznowić działalność kulturalno-oświatową i zdobyliśmy miejsce spotkań dla bezrobotnej młodzieży.

Zanim jednak można było otworzyć drzwi dla odwiedzających, trzeba było wykonać olbrzymią pracę — przeprowadzić remont. Towarzystwo długo nie zastanawiało się, wszyscy zakasali rękawy i wzięli się do roboty. Każdy wykonywał to, co w danej chwili było potrzebne. Malowano ściany, okna, szorowano podłogi, które potem również pomalowano. W tej pracy szczególnie wyróżnił się Aron Kartoffel ze swoimi umiejętnościami malowania i dekorowania. Umeblowanie było proste — kilka stołów i tej samej długości ławy. Pokój był nie do poznania — czysty, udekorowany i gotowy do przyjmowania członków i gości. Zarząd postanowił dokonać otwarcia bardzo uroczyście. Niestety, zbiegło się to w czasie z wydalaniem polskich obywateli z Niemiec (po dojściu do władzy Hitlera). Sytuacja tych Żydów była tragiczna. Zmuszeni byli opuścić swoje mieszkania, pracę, dorobek całego życia. Wśród ofiar znalazł się znany aktor Aleksander Granach. Inicjatorzy postanowili zaprosić go na otwarcie. Impreza nie była łatwa do przeprowadzenia, nie byliśmy pewni, czy uda się ją zrealizować. Przede wszystkim zapytaliśmy, czy aktor tej miary zechce wystąpić w tak małym i nieodpowiednim lokalu bez jakichkolwiek potrzebnych do tego urządzeń, bez sceny i bez dekoracji. Granach zaproszenie przyjął, wyraził zadowolenie ze spotkania

z młodzieżą Lublina i nawet zrzekł się honorarium. Jego zgoda była początkiem przygotowań. Trzeba było wydrukować bilety i przygotować jak najwięcej miejsc do siedzenia, co w praktyce oznaczało wypożyczenie krzeseł i taboretów od wszystkich znajomych i przeniesienie ich (na własnych plecach) do lokalu. W taki sam sposób zdobyliśmy naczynia dla zaproszonych gości. Występ aktora stał się wielkim sukcesem. Nie udało się pomieścić wszystkich, którzy chcieli go zobaczyć i usłyszeć. Przy drzwiach i oknach tłoczyły się dziesiątki ciekawych, przejętych jego opowiadaniem o przeżyciach w hitlerowskich Niemczech, jego recytacją i monologami z różnych sztuk granych w teatrach Reinharda i Piscatora*. Publiczność była oczarowana, a sam Granach zadowolony i wzruszony serdecznym przyjęciem.

Otwarcie lokalu z udziałem Granacha było ciekawym wydarzeniem w życiu kulturalnym miasta. Dodało ono blasku organizacji jako sprawcy i spowodowało zainteresowanie jej działalnością. Od tego momentu zaczęto regularnie urządzać spotkania ze znanymi osobistościami, w tym pisarzami, były odczyty i dyskusje na różne tematy polityczne i literackie. A atrakcją były też zwykłe wieczorki taneczne, ze śpiewem lub muzyką wykonywaną przez członków Zrzeszenia. Wśród prelegentów znalazł się wspomniany adwokat Zajdman i poeta Józef Łobodowski (wtedy uważał się jeszcze za radykała, potem współpracownik gazet burżuazyjnych, w końcu emigrant; prawdopodobnie obecnie pracuje w radio w Hiszpanii**). Nie odmówił nigdy swojego udziału Witold

* Max Reinhardt, właśc. M. Golman (1873-1943), niemiecki aktor i reżyser, m. in. w Deutsches Theater w Berlinie; Erwin Piscator (1895-1966), reżyser niemiecki, twórca publicznego teatru proletariackiego, kierował teatrami w Królewcu i Berlinie.

** Józef Łobodowski, 1909 –1988, poeta, prozaik, tłumacz i publicysta; początkowo związany z J. Czechowiczem i awangardą lubelską, od 1935 r. współpracował z ośrodkami ukraińskiej i kaukaskiej emigracji; redaktor „Barykady” (w 1932 r.) i „Dźwigarów” (w 1934 r.).

Wudel. Do żelaznych prelegentów należał Fajwel Kamień. Jego referaty po żydowsku i polsku zawsze przyciągały liczną publiczność. Tematem jednego z nich był *Zaorany ugór* Szołochowa. Punktem wyjściowym było zawsze dla niego dzieło literackie, przy pomocy którego szukał i wykladał kredo polityczne. Ponadto temat literacki był bardziej bezpieczny ze względu na możliwość ingerencji policji. Do dyskusji politycznych zawsze przygotowywała się grupa wybranych uczestników, m. in.: Franek Karp, Jasio Jungman, Józef Bursztyn, ponieważ często przychodzili na zebrania przedstawiciele różnych kierunków ideowych.

Bardzo popularne były przeglądy prasowe, nie każdy bowiem miał możność kupowania gazety. Wiele osób godzinami wystawało przy ulicy Kościuszki, przed gablotą, gdzie wywieszano endecki „Głos Lubelski” i liberalny „Kurier Lubelski”. Latem korzystanie z takiej formy czytania nie było problemem, ale podczas zimowych mrozów drętwiało się z zimna.

Działalność Zrzeszenia zainteresowała inne organizacje, które posyłały swoich członków i zapraszały naszych do siebie. Do nich zaliczał się np. klub sportowy „Wieniawa”, nazwany w ten sposób z powodu dzielnicy, w której działał. Jednym z tematów wygłoszonych tam referatów był wspomniany *Zaorany ugór*, wygłoszony przez Fajwela Kamienia. Lokal był wypełniony po brzegi. Zebrani z zainteresowaniem wysłuchali mówcy, a potem zarzucili go pytaniami.

Lata trzydzieste był to czas tzw. jednolitego frontu. Wśród społeczeństwa rosły nadzieje, że Europa stoi w przededniu zmian, które potrafią uchronić przed grożącą wojną, faszyzmem i antysemityzmem. Przeciwko tym niebezpieczeństwom miały skoncentrować się progresywne masy w Europie. Odbyły się dwa kongresy — jeden przeciwko antysemityzmowi, drugi w obronie pokoju. Wśród organizatorów kongresu pokoju znajdował się znany filozof i angielski uczyony Bertrand Russel, pisarze francuscy: André Gide, Paul Sartre i Romain Roland.

W Polsce na czele tego ruchu stali między innymi Wanda Wasilewska i Andrzej Strug. Zebrania protestacyjne odbyły się w całej Europie, zebrano tysiące podpisów ludzi o różnych przekonaniach politycznych.

W owym czasie Zrzeszenie Akademików Żydów pracowało uskrzydłone tymi ideami. Członkowie brali udział w zbieraniu podpisów, których listy rosły w szybkim tempie. Włączając się do działań kongresu przeciwko antysemityzmowi Zrzeszenie przeprowadziło szeroką kampanię. Było inicjatorem i organizatorem zebrania w obronie żydowskich instytucji kulturalnych i szkoły żydowskiej. Zebranie takie odbyło się w lokalu Kultur-Ligi (będącej pod wpływem Bundu), przy ulicy Rybnej. Poprzedzone było długimi pertraktacjami z miejscowymi działaczami Bundu. Niektórzy byli przeciwni wspólnemu działaniu z komunistami. Jeżeli się nie mylę, należała do nich także Bela Szpiro, między zwolennikami był zaś Aron Nisenbaum*. Zwyciężyło zdanie ostatnie. Projekt przegłosowany został na posiedzeniu tzw. Kuratorium Szkoły Żydowskiej, gdzie Fajwel Kamień razem ze mną reprezentował Zrzeszenie, w imieniu młodzieży lewicowej. Postanowiono zaprosić przedstawicieli, jak to wtedy mówiono, „ulicy polskiej”. I tacy przybyli, między innymi grupa turowców, członkowie związku zawodowego kolejarzy i inni robotnicy oraz przedstawiciele inteligencji. Na zebranie, przy przepelnionej sali, przybył także Jankele Nisenbaum, przedstawiciel miejscowej gazety „Lubliner Tuglat”.

Otwarcie zebrania poprzedził jeszcze konflikt z Belą Szpiro, która nie dopuściła, by przemówienia wygłaszano w języku polskim mimo obecności polskich gości. Nie zgodziła się nawet na przywitanie w języku polskim. Członkowie Zrzeszenia musieli więc w czasie zebrania po cichu tłumaczyć uczestnikom nie znającym języka żydowskiego przemówienie i rezolucje.

* Aron Nisenbaum, dziennikarz „Lubliner Sztyme” („Głos Lubelski”), organu Bundu.

W tych samych latach trzydziestych udało się skłonić kierownictwo PPS i redaktorów pisma „Robotnik”, by wprowadzili zmianę w dzienniku – ostatnia strona miała zawierać wiadomości lubelskie. Poprzez Zrzeszenie lewica miała bowiem pewien wpływ na dobór materiału. Dokładnie, jak przebiegała ta współpraca, nie pamiętam.

Przed zamknięciem (nakazem policji) drugiego lokalu Zrzeszeniu udało się przeprowadzić jeszcze jedną kampanię przeciwko antysemityzmowi. Na zebranie przyszedli przedstawiciele wszystkich kierunków politycznych wśród młodzieży żydowskiej, nawet z „Beitar” (zwolennicy Żabotyńskiego*) ze swoim przywódcą Zylberbergiem, zwanym Cyklopem, o którym krążyły niesprawdzone wieści, że współpracował z policją. Wyróżniał się swoją wrogością do robotniczego ruchu lewicowego. Długo trwała ostra dyskusja na temat rezolucji przeciwko antysemityzmowi, w końcu po różnych replikach przyjęto tekst proponowany przez organizatorów (zwycięstwo to ceniliśmy sobie bardzo wysoko).

Ożywiona działalność Zrzeszenia doprowadziła do zamknięcia lokalu po raz wtóry i ostatni. Organizacja przestała istnieć. Strata była ogromna zarówno dla młodzieży, jak i ruchu lewicowego w mieście. Zlikwidowana została organizacja o dużych wpływach wśród różnych sfer społeczeństwa w Lublinie i to w momencie rozprzestrzeniania się faszyzmu w Europie. Był to bowiem okres umacniania się Hitlera w Niemczech. We Włoszech panował wtedy faszyzm stosujący „czarny terror”, choć walczył jeszcze Szucbund w Austrii. W Hiszpanii lud występował zbrojnie przeciwko Franco. W Polsce organizowano masowe napady na ludność żydowską (m. in. w Mińsku Mazowieckim i Przytyku). Na uczelniach wyższych reakcyjne grupy młodzieży brutalnie napadały na studentów żydowskich. Na ulicach Lublina, głównie na

* Włodzimierz Żabotyński, przywódca międzynarodowej organizacji Syjonistów-Rewizjonistów, późniejszej Nowej Organizacji Syjonistycznej.

Krakowskim Przedmieściu, stały pikiety i nie wpuszczały klientów do sklepów żydowskich. W Ogrodzie Saskim zwolennicy Koca bili żydowskich spacerowiczów, kolega mojego brata dostał nożem w plecy. W obliczu wszystkich grożących niebezpieczeństw nietrudno wyobrazić sobie, jak konieczne było zorganizowanie oporu. Zrzeszenie Akademików Żydów miało swój udział w konsolidowaniu sił antyfaszystowskich, przejście do pracy nielegalnej zmniejszyło możliwości i efektywność działania.

Po zamknięciu lokalu niektórzy członkowie zaangażowali się w nielegalnej pracy w partii komunistycznej — w KZM, MOPR*. Przejawiała się ona w różnych formach i była prowadzona w małych grupach. Przede wszystkim zajmowano się samokształceniem albo przeprowadzaniem akcji — np. rozklejaniem afiszów wzywających do różnych wystąpień, wieszaniem chorągwi w uczęszczanych miejscach, zbiórką pieniędzy dla więźniów politycznych i ich rodzin, itd. Pierwszą tzw. komórką, z którą się zetknęłam, była grupa czterech służących. Zbierały się w mieszkaniach przy Targowej, naprzeciwko wejścia do naszego domu od tej strony. Dziewczyna pracująca tam jako służąca wykorzystywała nieobecność gospodarzy, by nas tam przyjmować. Wszystkie pochodziły z okolicznych małych miasteczek i przyjechały do Lublina szukać pracy — innej oprócz wymienionej nie mogły znaleźć. Pracowały cały dzień. Musiały zawsze być do dyspozycji i znosić wszystkie kaprysy gospodarzy i ich dzieci. Nieczęsto miały wolną chwilę, nie mówiąc o wolnym dniu, by spotkać znajomych lub pójść na spacer. Naszym celem było więc zorganizowanie ich do walki o lepsze warunki pracy. „Komórkę” powierzył mi Jehuda Szternfinkiel, zadecydowała moja znajomość języka żydowskiego w słowie i piśmie. Mogłam czytać im literaturę w tym języku. Drugą „komórką” moich podopiecznych była grupa

* KZM — Komunistyczny Związek Młodzieży; MOPR — Międzynarodowa Organizacja Pomocy Rewolucjonistom.

uczniów krawieckich. Ich warunki również nie były zbyt lekkie. Majstrzy wykorzystywali ich do obsługi rodzin, do pomagania żonom w sprzątanii i gotowaniu. Spotykaliśmy się na łąkach czechowskich. Czytałam im aktualne broszury, np. o Szucbundzie w Austrii. Czasami chłopcy zbierali się w mieszkaniu u jednego z nich, Szczeciniarza. Wykorzystywali nieobecność jego matki, która będąc wdową zarabiała na życie handlem obwarzankami, nosząc je w koszu po ulicy. Pewnego dnia zjawiała się niespodziewanie i ze strachu przed konsekwencjami nielegalnego zebrania narobiła strasznego krzyku, który mógł zwrócić uwagę policji i doprowadzić do aresztowania. Szybko opuściliśmy mieszkanie, zadowoleni, że wszystko skończyło się szczęśliwie.

Do innej „komórki” należał Chil Blajch, który wspólnie z braćmi odziedziczył po ojcu zawód wytwórcy nagrobków cmentarnych (*a mecajwe krycer*). Ich warsztat znajdował się przy Lubartowskiej, niedaleko wejścia na Ruską. Do tej samej grupy należał krawiec i dwaj inni, których nazwisk nie zapamiętałam. Możliwe, że ze względów konspiracyjnych wcale ich nie znałam. Spotykaliśmy się u Bidermanów przy ulicy Cyruliczej, albo u Blajchów, gdzieś na Sierociej.

Grupa gorseciarek zbierała się natomiast u Bornstajnowny przy Świętoduskiej, najbardziej aktywnej z nich. Członkami byli też Bluma Perlmutter z Lubartowskiej, z domu Szyfa. Na jej adres przychodziła poczta dla lubelskiej organizacji od centralnych władz w Warszawie. U niej mieliśmy przyjazdówkę, tzn. miejsce dokąd przyjeżdżali delegowani z Centrum. W „komórce” pracowała Frymeta, późniejsza żona Mojżesza Szternfinkla, która wychowywała się u krewnych (rodzice prawdopodobnie wcześniej zmarli), bardzo ładna i sympatyczna dziewczyna. Kolejnymi uczestnikami były: Ewa Rozenblum (jedna z kilku siostr, znanych ze swej urody), córka Zysmana, znanego krawca z Niecałej, i córka właściciela sklepu wyrobów tytoniowych przy ulicy 1 Maja (niestety, nazwiska ani imion nie zapamiętałam). Ewa była dość wysoka, o krótko ostrzyżonych włosach koloru ciemnobłond. Dzięki niej udało

się zwerbować Wintera, elektryka, który swój sklep materiałów elektrycznych oddał do dyspozycji organizacji lubelskiej. Oprócz tego wpłacał regularnie większe sumy na cele partyjne. Jedno i drugie miało duże znaczenie w warunkach, kiedy niewielu aktywistów miało jakieś dochody i samodzielne lokale.

Lubelskich działaczy miałam okazję poznać podczas posiedzeń miejskiego komitetu MD (czerwonej pomocy). Uczestniczyli w nich członkowie okręgowego komitetu partii, Władysław Beliński, drukarz, sekretarz miejskiego komitetu KZM — Chaim Orensztajn-Orski, przedstawiciel komitetu centralnego, młoda kobieta występująca pod pseudonimem Olga. W komitecie pracowali wtedy Rachela Farbiarz, moja koleżanka szkolna z Gimnazjum, Jankiel Dreksler (syn kobiety znanej z dobrego pieczywa, nazywanej Syma piekarka z Szerokiej lub Kowalskiej) oraz Aron Dawidson, który miał za sobą odbyty sześćioletni wyrok więzienia za działalność komunistyczną. Posiedzenie owo odbyło się przy ulicy Bychawskiej. Ze względu na bezpieczeństwo — część osób mieszkała w innych dzielnicach miasta — uczestnicy musieli przeczekać noc w sali obrad.

Do tak zwanych technicznych wykonawców pracy organizacji, którzy na przykład przygotowywali paczki żywnościowe dla więźniów politycznych, udzielali pomocy ich rodzinom i przesyłali literaturę partyjną do i z więzienia należała Rywcia Nomberg, żona Henocha Nomberga, brata Sary Nomberg. Wyróżniała się swoim oddaniem i zdolnościami organizacyjnymi. Dla niej nic nie było za trudne do wykonania, w każdej chwili zostawiała swój sklepik z dodatkami krawieckimi w bramie przy Lubartowskiej 5 i szła wykonać każde powierzone jej zadanie. Do pomocy miała w różnych okresach inne osoby. Jedną z nich była oddana organizacji Wizorowa, przyjaciółka Witolda Józwiaka*, długoletniego działacza komunistycznego

* Franciszek Józwiak, pseud. Franek, Witold (1895-1966), działacz ruchu robotniczego i ruchu oporu, jeden z organizatorów PPR i GL; w latach 1944-1949 komendant główny MO, prezes NIK, członek Rady Państwa, Biura Politycznego KC PPR, od 1956 r. KC PZPR.

i po wojnie jednej z czołowych osobistości w Polsce Ludowej. Wizerowa była zatrudniona w LSS (Lubelskiej Spółdzielni Spożywców). W sklepie przy ulicy Lubartowskiej, gdzie pracowała, przygotowywała paczki, skąd zabierały je rodziny więźniów i posyłały swoim bliskim.

Paczki żywnościowe oprócz artykułów spożywczych służyły jako droga porozumiewania się z więźniami politycznymi i przekazywania informacji o działalności partyjnej. Do nich wkładano literaturę partyjną, którą ukrywano np. w podwójnych dnach puszek z konserwami, albo zapiekano w specjalnie przygotowanym chlebie. Przez pewien czas w puszcze z konserwami o podwójnym dnie udawało się przesyłać organ partyjny „Nowy Przegląd”. Czasami wszywano taki materiał w umówione miejsce — w obrębienie poszewki. Popularne było posyłanie i otrzymywanie grypsów, tj. wiadomości pisanych na bibułkach do papierosów według umówionego klucza (np. jakiegoś słowa lub cyfry, które odpowiadają literze w umówionym wyrazie). Znane było tylko tym, którzy mieli za zadanie pisać albo odczytywać wiadomości. Korzystanie ze sklepu LSS było wygodne ze względu na możliwość kupowania w nim i pakowania produktów. Rodziny więźniów mogły zabierać paczki, nie wzbudzając podejrzeń policji (mogły zawsze tłumaczyć, że same kupiły je za własne pieniądze, a wtajemniczeni pracownicy to poświadczali).

Koszty organizowania paczek pokrywali często pracownicy LSS. Pewne kwoty przysyłała Sempołowska, znana działaczka Czerwonej Pomocy, Hersz Pereł, mój były sąsiad zbierający pieniądze we Francji, gdzie studiował medycynę.

Ze wspomnianej formy pomocy (paczek) korzystali również więźniowie, którzy nie mieli rodzin. Dla nich paczki do więzienia zanosili działacze, którzy dobrowolnie zgłaszali się do tej funkcji — nie była ona zbyt bezpieczna, ponieważ daną osobę od razu podejrzewano o przynależność do ruchu lewicowego ze wszystkimi jej konsekwencjami. Pomoc w postaci pieniędzy lub żywności otrzymywały również rodziny

więźniów politycznych. Niektóre z nich cierpiały szczególną nędzę, mieszkały w straszliwych warunkach, w rozpadających się murach dawnej fabryki Krasuckich, przy ulicy Krawieckiej. Do tych nieszczęśliwych należała rodzina Śliwki, która po jego aresztowaniu pozostała bez jakichkolwiek dochodów. Pomoc organizacji była niewystarczająca, resursy, którymi dysponowali udzielający jej, były ograniczone. Niedaleko Bramy Krakowskiej mieszkało dwoje samotnych dzieci — zostały same po zaaresztowaniu rodziców, aktywnych działaczy partii komunistycznej (niestety, nie zapamiętałam nazwisk). Dziećmi bardzo serdecznie zaopiekowała się Rywcia, znajdując rodzinę, która wzięła je do siebie do momentu uwolnienia rodziców. Z pomocy skorzystała po wyjściu z więzienia młoda dziewczyna imieniem Róża (nazwiska niestety nie pamiętam). Mieszkała przy Lubartowskiej 30 albo 32. Gdy trafiła do więzienia była bardzo ładną, młodą dziewczyną. Po odsiedzeniu wyroku przypominała starą, złamaną kobietę, jedynie jej żywe oczy miały dawny blask. Możliwe nawet, że ich blask spowodowany był zaawansowaną gruźlicą, pamiątką po długoletnim więzieniu za działalność polityczną.

Do wieloletnich „pensjonariuszy” więziennych należeli Grzegorz Wajskop (dwa razy skazany na sześć lat, odzyskał wolność po ucieczce administracji, we wrześniu 1939 roku, z Lublina i pozostawieniu więzienia bez opieki) i Aron Dawidson (razem dwanaście lat). Wajskop, Fajertag i Grosbach znani byli wśród komunistów swoim wystąpieniem z Bundu i przejściem do ruchu lewicowego, co wywołało różne komentarze, a komuniści ocenili to jako swoje zwycięstwo. Lista żydowskich komunistów mogłaby być bardzo długa, niestety, nie wszystkich pamiętam i nie wszystkich znałam. Z lubelskich działaczy pamiętam Sarę Nomberg; Janinę Bier, córkę znanego adwokata, która była po dwóch wyrokach więziennych i po każdym z nich wracała do aktywnej pracy partyjnej. Nie przerwała jej także podczas okupacji niemieckiej i zginęła jako bojowniczką przeciwko nazistom; Adama Bromberga więzio-

nego na lubelskim Zamku i Majersona, ulubionego nauczyciela Gimnazjum Humanistycznego, który w okresie, gdy chodziłam do szkoły, odsiadywał długoletni wyrok, pracowała zaś jego żona ucząca niemieckiego.

Na Zamku lubelskim siedzieli też lewicowcy z okolicznych miasteczek, m.in. Szymon Litman (pozostawił liczną rodzinę bez środków do życia), który korzystał z paczek przesyłanych przez KM MOPR w Lublinie oraz Berek Poznański (niewielkiego wzrostu, były student seminarium nauczycielskiego w Płocku), który przyjechał do Lublina jako tzw. okręgowiec, wysłany przez władze centralne Czerwonej Pomocy*. Po konferencji w Lublinie wyjechał z instrukcjami do Łęcznej i tu został aresztowany przez tajną policję. Po niesamowitym biciu uzyskano od niego informacje o organizacji w miasteczku i aresztowano wiele osób. Czytałam gryps pełen skruchy, który Poznański wysłał z więzienia. Oskarżał w nim sam siebie za to, że nie potrafił wytrzymać tortur i wydał współtowarzyszy. Przrzekał zadość uczynić krzywdzie i odwołać wszystkie zeznania na procesie sądowym. Pamiętam jego proces, rzeczywiście wycofał wszystko co powiedział w śledztwie i opowiedział o metodach policji, które zniszczyły go fizycznie i moralnie. Jego przemówienie, choć trwało kilka godzin i stało się aktem oskarżenia władz, a także zyskało duży rozgłos w mieście, nie uratowało od wyroku współoskarżonych ani jego. Wśród skazanych był wspomniany Szymon Litman.

Z młodzieżowych działaczy pamiętam Gedalego Szpiro ze Staszica, który odziedziczywszy większą sumę pieniędzy po przedwcześnie zmarłych rodzicach, ofiarował je walczącej Hiszpanii. Młodym chłopcem, który oddał swe życie w Hiszpanii, był Haskiel Honigsztajn, o którego bohaterstwie w Hiszpanie śpiewali pieśń. Haskla znałam z czasów, gdy nasze

* Czerwona Pomoc, sekcja Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucjonistom (MOPR); powstała w drugiej połowie 1924 r. jako polska sekcja MOPR, od 1925 r. pod nazwą Czerwona Pomoc była organizacją współpracującą z KPP.

rodziny spędzały lato w Nowodworze. Trudno mi było sobie wyobrazić, że ten beztroski i lekkomyślny chłopak, o rudych włosach i piegowatej twarzy, wykaże się wielkim bohaterstwem. Innym lublinianinem wśród walczących w Hiszpanii był Mandeltraub Malinowski z Lubartowskiej 24. Jemu dopisało szczęście, wrócił, mieszkał po wojnie w Warszawie, ostatecznie osiedlił się w Sztokholmie.

W różnych więzieniach Polski można było spotkać lubelskich komunistów, którzy oddali wiele lat ze swojego życia, marząc o przebudowie jeżeli już nie całego świata to chociażby polepszeniu sytuacji ludzi w kraju i w tej liczbie Żydów. Nie mogę wymienić wszystkich, ale o cierpieniach na przykład w więzieniu janowskim wiem z ówczesnej literatury partyjnej. W celu złamania aresztowanych administracja więzienia stosowała metody, których nie powstydziliby się późniejsi hitlerowscy siepacze. Stosowała np. przymusowe karmienie, gdy więźniowie postanowili głodować jako protest przeciwko brutalnemu reżimowi. Przymusowe karmienie wyglądało następująco: dozorca więzienny, bez jakiegokolwiek przygotowania medycznego i znajomości anatomii człowieka, wprowadzał gumową rurę do gardła strajkującego i wlewał przez nią jedzenie. Taki sposób karmienia kończył się czasami śmiercią, a wielu było bliskich udławienia się.

Wspomniany już Szymon Litman doznał trwałych obrażeń przelyku, dławił się odtąd przy jedzeniu, a nawet piciu. Operacja na kilka lat przedłużyła jego życie, ale karmienie janowskie wydało na niego przedłużony na lata wyrok śmierci. Noach Kamień opowiadał mi, że jemu udało się przekonać dozorcę, żeby rurę wsadził mu przez nos, w przeciwnym wypadku byłby się udławił z powodu chronicznej choroby gardła. Do tych, którzy przeszli janowską „kurację”, należał też Grzegorz Wajskop i Jasio Jungman. Inną metodą torturowania w janowskim więzieniu było wlewanie przez okna strumieni wody. Skutek był taki, że ludzie dniem i nocą leżeli w wodzie, śpiąc w mokrej odzieży, na mokrych siennikach wypchanych słomą.

Złą opinię miała również Bereza Kartuska, w której przebywali także dwaj lublinianie: Fajwel Granatsztajn i Dawid Ruer (obaj mieszkają w Izraelu).

Długie lata w więzieniu (7 do 10) albo „pobyt” w Berezie Kartuskiej można było otrzymać za byle co. Wystarczyło na przykład zarzucić czerwoną chorągiewkę na drut telefoniczny, rozdać ulotki, rozlepić nekrologi o śmierci więźnia politycznego albo przypomnieć o grożącym niebezpieczeństwie wojennym lub o walce ludu hiszpańskiego przeciwko generałowi Franco. W ostatnich latach przed wojną odbyły się masowe procesy; sławny proces czterdziestu w Lublinie był „dobrym” przykładem, który miał odstraszyć i nauczyć moresu ruch lewicowy w mieście.

Ważną rolę w kształtowaniu oblicza kulturalnego młodzieży polskiej i żydowskiej odegrała biblioteka LSS. Wspominałam kilkakrotnie, że wielu młodych ludzi nie miało pracy i nie miało możliwości kupowania książek lub korzystania z biblioteki, a pragnienie zdobywania wiedzy i czytania było ogromne. I właśnie tu nie przestrzegano ściśle opłaty miesięcznej, patrzono przez palce, gdy jeden drugiemu wypożyczał abonament, stosowano niskie wpisowe i opłaty miesięczne. Tu zbierała się lewicowa młodzież, zaopatrywała w literaturę beletrystyczną i marksistowską, prowadziła dyskusje nad przeczytaną książką. W bibliotece znajdowały się najlepsze dzieła niemieckiej, francuskiej, rosyjskiej i sowieckiej literatury. Najczęściej czytano: Kellermana, Hauptmana, Feuchtwangera (literatura niemiecka), Romain Rolanda, André Gide’a, Henri Barbusse (literatura francuska), Aleksandrę Kołłontaj, Gładkowa, Pilniaka, Szołochowa i Fadiejewa (literatura sowiecka), rosyjskich klasyków. Tołstoja, Gogoła lub Dostojewskiego. Czytanie marksistowskich książek, jak np. Plechanowa, Kautskiego, Lenina i *Kapitału* Marksa było prawie obowiązkowe. Biblioteka stale uzupełniała swój księgozbiór, kupując nowe książki i powiększając tym samym krąg czytelników.

Pierwszy lokal, w którym biblioteka rozpoczęła swą działal-

ność, był bardzo mały i ciasny, a mieścił się na zapleczu sklepu spożywczego przy Bramie Krakowskiej. Potem zdobyto nowy, samodzielny lokal przy Królewskiej, z wejściem od Zamojskiej, gdzie było miejsce dla rosnącej liczby książek i obsługi grona czytelników. Biblioteka zatrudniała też dużą grupę wolontariuszy, którzy pracowali bez wynagrodzenia. Do nich należała znana w Lublinie działaczka [Wanda] Papiewska, Zofia Goldfingier, wnuczka Kunickiego, znanego dyrektora szkoły handlowej i działacza PPS, oraz Dawid Ruer.

Krakowskie Przedmieście — ulica „święteczna”

Krakowskie Przedmieście, ulica wspomiana już wielokrotnie, rozpoczynała się od Bramy Krakowskiej, a kończyła przy Ogrodzie Saskim. Za nim biegła jako przedłużenie Krakowskiego ulica nazwana Aleje Raclawickie. Była daleko od centrum miasta. Kojarzyła się z koszarami, nową wieżą ciśnień, z nowo wybudowanym gmachem szkoły im. Staszica. Była miejscem spacerów zakochanych par, gdy chciały być z dala od niepożądanych świadków. Ale wróćmy do Krakowskiego Przedmieścia. Nie odwiedzała go biedota żydowska. Po tej ulicy nie chodziło się tak po prostu, lecz wybierano się na nią po specjalnych przygotowaniach. To była „święteczna” ulica, na której kobiety nie pokazywały się bez kapelusza. Niewielu Żydów mieszkało przy niej. Było jednak trochę sklepów, warsztatów i domów, których właścicielami byli Żydzi. Niedaleko Bramy Krakowskiej miał swój warsztat Pejsach Rajsfeld, jeden z najlepszych krawców lubelskich: Garnitury z jego pracowni miały specjalną markę. Znanymi krawcami byli też Akerman, właściciel firmy Włostowicer, którego starsza córka wyszła za mąż za adwokata nazwiskiem Bach, i Akerman (zbieżność nazwisk), którego warsztat krawiecki znajdował się niedaleko Włostowicera. Był bratem

mojej sąsiadki z trzeciego piętra -- Czarny Holcekier. Sklep obuwia Kuropatwy pamięta na pewno wielu lublinian. Drugi -- Hersza Bileta -- znajdował się na rogu Świętoduskiej i Krakowskiego Przedmieścia i sąsiedował ze sklepem futer. Podobny sklep znajdował się na piętrze domu, naprzeciwko wejścia w ulicę Staszica z Krakowskiego Przedmieścia. Ówczesni uczniowie zapamiętali niewątpliwie dwie księgarnie -- jedną pani Zyngierowej pod numerem jedenastym lub trzynastym i drugą Kestienberga (później otworzoną), w pobliżu ulicy Kołłątaja. Sklep ten w latach trzydziestych był obiektem pikiet zwolenników Koca, którzy nie wpuszczali tam klientów. Z właścicieli domów zapamiętałam dwóch -- Izraelitę (pod nr 51) i doktora Zajdmana, którego kamienica została zbombardowana jako jedna z pierwszych, ponieważ w mieszcącym się w niej kinie „Stylowy” wyświetlany był w tym czasie film *As wyniadu*, o szpiegostwie niemieckim.

Krakowskie Przedmieście miało wiele punktów budzących zainteresowanie. Jednym z nich były hotele „Europa” i „Wiktoria”, które intrygowały dzieci, a nawet dorosłych stojącymi przed nimi posłańcami w mundurach z miedzianymi guzikami i czerwonymi okrągłymi czapkami. Czekali na klientów, którzy powierzali im doręczanie listów i paczek lub różnych wiadomości. Zastępowali wtedy pocztę i telefon, który należał jeszcze do rzadkości -- zaczęli znikać w miarę usprawniania poczty i rozpowszechniania aparatów telefonicznych. O trzecim, hotelu „Saskim”, wiadano w mieście mniej, choć znajdował się na rogu z ulicą Staszica.

Na Krakowskim Przedmieściu skoncentrowały się także największe banki Lublina. Narodowy (róg 3 Maja) i Łódzki po stronie parzystej, z którymi Żydzi nie prowadzili interesów. Niedaleko Banku Łódzkiego mieściła się Kasa Chorych. Wśród jej podopiecznych również nie było zbyt wielu Żydów. Naprzeciwko placu Litewskiego wyrósł duży budynek poczty. Podobnie jak nowym gmachem gimnazjum Staszica i tą budowlą szczylicili się mieszkańcy miasta. Były one zresztą nieliczne.

jakie przybyły Lublinowi. Budowano bardzo mało. Poczta spełniała jeszcze inną, specjalną funkcję, nie zaplanowaną przez administrację. Służyła mianowicie spacerowiczom, którzy zimą wchodzili tam, by się trochę ogrzać.

Uwagę przyciągała zawsze cukiernia Rutkowskiego swoim eleganckim lokalem, dobrymi ciastkami, lodami, kawą, herbatą lub lemoniadą. Zimą „wybrańcy”, którzy mogli pozwolić sobie na ten luksus, siedzieli wewnątrz lokalu, latem niektórzy z nich zajmowali miejsca na werandzie, pod ochroną szklanego dachu oraz... ogrodzenia. Bezrobotna młodzież, spacerująca tam i z powrotem, nie mogła pozwolić sobie, by usiąść przy stoliku, coś zamówić i odpocząć po wielogodzinnych marszach. Przed cukiernią Rutkowskiego, podobnie jak przed Bramą Krakowską; umawiały się zakochane pary. Przed lokalem umawiali się także ludzie, którzy nigdy nie przekroczyli progu cukierni.

Konkurencyjną była cukiernia Semadeniego, usytuowana w pobliżu hotelu „Europa”, w której zbierała się specyficzna klientela – najczęściej posiadacze ziemscy. Inni goście zjawiali się rzadko. Miejscem spotkań młodzieży byli najczęściej skwer na placu Litewskim. Ustawiono tam kilkadziesiąt ławek, na których można było odpocząć w cieniu drzew lub popatrzeć na pomnik Unii Lubelskiej, otoczony kwiatami. Krakowskie Przedmieście było więc ulicą tradycyjnych spacerów. Tu spotykało się przyjaciół i zawierało nowe znajomości.

Ogród Saski

Ogród Saski był także ulubionym miejscem spacerów mieszkańców Lublina, a wśród nich i części społeczności żydowskiej. W każdym kącie Ogrodu gromadziły się inne grupy spacerowiczów. Niezbyt daleko od wejścia znajdowała się altana, otoczona pięknymi kwiatami, gdzie latem grała

orkiestra. To miłe publiczności miejsce koncertów z nie znanych mi powodów zlikwidowano i zastąpiono fontanną. Wokół orkiestry a potem fontanny zawsze siadali rodzice lub niańki z dziećmi. Orkiestra jednak niezupełnie zniknęła z Ogrodu, grała czasami w jego głębi, gdzie za słuchanie jej trzeba już było zapłacić, zajmując miejsce w kawiarni.

Kawiarnię, a raczej alejki wokół niej odwiedzała szkolna młodzież w wieku trzynastu-czternastu lat, okrążając ją niezliczoną ilość razy i zawierając nowe znajomości. Ciemne aleje były zaś domeną młodzieży starszej, która parami zajmowała wszystkie ławki. Istniała bowiem między nimi niepisana umowa, że nigdy nie siadano na ławce zajętej przez inną parę. Dalecy natomiast od scjonalności byli dozorczy, którzy przestrzegając zasad moralności, przeszkadzali zakochanym w próbach przypieczętowania uczuć pocałunkiem. Za takie przestępstwo dozorczy mieli prawo ukarać grzywną, stosowali więc specjalną taktykę — chowali się w krzakach i kiedy zauważyli „miłosne przestępstwo”, wyskakiwali nagle uzbrojeni w latarkę i świecąc „podejrzanym” prosto w oczy egzekwowali z satysfakcją przepisową karę.

Atrakcją Saskiego Ogrodu były wiewiórki, które pokazując się między drzewami, sprawiały wiele radości dzieciom. Największą sensację wzbudzały jednak ukazujące się czasami pawie, a gdy jeszcze rozkładały swoje wspaniałe ogony, radości i zachwytem nie było końca. Obiektem podziwu odwiedzających był zawsze zegar, którego dwanaście cyfr tworzyły misternie przystrzyżone rośliny, a wskazówki zastępował cień kija odpowiednio umieszczonego w środku. W Ogrodzie ponadto znajdowała się waga, więc za pewną opłatą można było zaspokoić swoją ciekawość. Zimowym miłośnikom ślizgawki udostępniano czasami tor saneczkowy w alei na prawo od wejścia, lecz by skorzystać z tej przyjemności trzeba było przynieść ze sobą sanki.

Wstęp do ogrodu był na ogół bezpłatny, kłopot sprawiały zaś urządzone tam imprezy. Wtedy za wejście trzeba było już

placić, wielu zatem z braku gotówki musiało zrezygnować z przyjemności. Szczególne trudności miały dzieci i młodzież poniżej lat osiemnastu, którym musieli towarzyszyć dorośli, a także ci spacerowicze, którzy nie zdążyli wyjść przed jedenastą. Oni z kolei musieli odszukać dozorcę, który zechciałby otworzyć furtkę.

Latem 1939 roku ulubiony Ogród został częściowo uszkodzony. Wykopano w nim rowy obronne, które jednakże nikogo od niczego nie potrafiły ochronić.

Zbliżał się koniec wielowiekowego, różnobarwnego żydowskiego środowiska lubelskiego. Osiemnastego września 1939 roku Niemcy weszli do miasta po kilkakrotnym bombardowaniu i ostrzeliwaniu artylerii. Zniszczyli i podziurawili sporo domów, dotkliwie uszkodzili lubelską katedrę.

Na ulicy Lubartowskiej pierwsi Niemcy pojawili się wczesnym rankiem. Zauważałam ich zielonoszare mundury przez okno z naszego mieszkania. Rzucali dookoła niespokojne spojrzenia, trzymając broń gotową do strzału. Wmawiałam sobie, że się mylę, że mam przed sobą polskich żołnierzy. Nie chciałam dopuścić myśli, że zbliża się koniec i armia polska jest rozbita. Sprawdziły się słowa mojego ojca, starego i doświadczonego żołnierza, że nie jest ona przygotowana do tej strasznej próby sił.

W tym samym dniu — 18 września 1939 roku — pokazały się na ulicy Lubartowskiej regularne wojska niemieckie. Jechały z olbrzymią szybkością, nie zwracając uwagi na pojedynczych przechodniów. Pierwszą ofiarą ich wjazdu była kobieta żydowska, która usiłowała przejść na stronę parzystą ulicy.auta i motocykle przejeżdżały „bez kłopotu” przez jej ciało. Nikomu ze zwycięzców nie przyszło do głowy, by usunąć zabita — trup im nie przeszkadzał.

Na murach Lublina pojawiły się — również tego dnia — afisze informujące, że wszyscy mężczyźni od lat czternastu

muszą stawić się przed Bramą Krakowską pod groźbą najwyższej kary. Ze wszystkich stron miasta zaczęli napływać mężczyźni na punkt zborny, a od Bramy, pod stekiem najgorszych obelg, pognano wszystkich na plac przed koszarami. Szłam za nimi przez całą drogę, przyglądając się z bólem, jak bezlitośnie znuszeni nieszczęśliwców, by biegli szybciej i nadążali za oprawcami jadącymi na motocyklach. W grupie tej zauważyłam mojego wuja, Szłomę Fernanda, który na swoich zawsze słabych nogach, ostatkiem sił, usiłował nadążyć za eskortą. Z jego twarzy i głowy dużymi kroplami ściekał pot. Zauważyłam też mojego sąsiada, Chaima Jankiela Śpiewaka, który kulał na swojej chorej od dzieciństwa nodze i przerażeniem w oczach usiłował iść dostatecznie szybko.

Wszystkich mężczyzn Polaków i Żydów zgromadzono na placu przed koszarami. Niektórych trzymano dzień, innych kilka dni, ale wszyscy musieli siedzieć na gołej ziemi bez względu na padający deszcz. Często tu kazali aresztowanym formować kolejki, obiecując wypuszczenie, a kiedy były według ich ocen dostatecznie długie, zmuszali do rozproszenia się po placu i ponownego siadania na ziemi. Proceder powtarzali niezliczoną ilość razy, „zabawiając się” w ten sposób godzinami.

Mój ojciec również znalazł się w tymczasowym obozie. Jemu jednak tym razem dopisało szczęście. Pierwszego dnia zwolniono bowiem wszystkich, którzy przekroczyli lat pięćdziesiąt pięć. Cały czas stałam przed bramą i doczekałam się zwolnienia ojca. Został tam jednak mój brat Uszer, a ja musiałam wrócić, bo zbliżała się policyjna piąta godzina, po której pod groźbą zastrzelenia nie wolno było wychodzić z domu. Nikt z nas tej nocy nie spał wiedząc, że Uszer znajduje się w obozie, w rękach morderców. Ledwie skończyła się godzina policyjna, wyruszyłam pod koszary z jedzeniem dla brata. Udało mi się wejść na teren obozu, ponieważ w pierwszych dniach Niemcy zezwalali przynosić jedzenie. Po tej jednej nocy trudno było mi poznać mojego Uszera. Twarz miał

czarną, a oczy zapadnięte. Ten dziewiętnastoletni, ładny i zdrowy chłopak zestarzał się przez jedną noc. Ale tym razem do niego i wielu innych uśmiechnęło się jeszcze szczęście — zwojnili go trzeciego dnia; nie był w wieku przedpoborowym: zatrzymano tylko wojskowych.

Już w pierwszych dniach tego września Niemcy obrabowali większość sklepów. Towar zbierali na ulicy i stamtąd samochodami ciężarowymi transportowali bezpośrednio do Niemiec. Do ładowania brali wyłącznie Polaków. Mój kuzyn Heniek Fernand znalazł się między wybranymi. On miał blond włosy i niebieskie oczy, wzięli go więc za Polaka. W tych pierwszych dniach zrobili też wstępną segregację przy wydzielaniu cukru. Na Świętoduskiej u Podsiadłowskiego zezwolili na sprzedaż tego produktu — Żydzi mogli kupić ćwierć. Polacy pół kilograma. Zarządzili, by według narodowości ustawiono się w dwóch oddzielnych kolejkach. Byłam świadkiem, jak wyciągnęli starego, ledwo trzymającego się na nogach Żyda z kolejki przeznaczonej dla Polaków i pobili go bezlitośnie. W owych dniach zastrzelona została Marta Szternlinkiel w podwórku przy Browarnej.

W Lublinie zbierali się uciekinierzy z całej Polski — ludzie błakali się po ulicach, żołnierze polscy chodzili po mieszkaniach, prosząc o wodę i chleb. Rozpacz była powszechna. Jedni drugich pytali, co począć, wielu uciekało na Wschód, ale nikt nie mógł przewidzieć, że Niemcy zechcą zlikwidować całe narody, mordując w wyrafinowany sposób miliony ludzi.

Siódmego listopada 1939 roku opuściłam Lublin razem z moim mężem, adwokatem Zajdmanem i jego żoną (z domu Galis). Przeszliśmy granicę rosyjską.

W 1946 roku wróciliśmy do Lublina, miasta, w którym miałam wielu przyjaciół i znajomych. Teraz szłam ze stacji aż do Lubartowskiej i nie spotkałam ani jednej znajomej twarzy.

Dom, w którym dawniej mieszkałam z rodziną ocalał, ale nikogo z moich bliskich, krewnych, ani sąsiadów nie spotkałam. Nasze mieszkanie zajmowała rodzina, która nic nie wiedziała o poprzednich lokatorach. Nawet pokoje się zmieniły – z dwóch pokoi i kuchni powstał jeden pokój. Zniknęły też obie framugi, między którymi moi rodzice wbudowali dwie szafy, by się obronić przed Urzędem Skarbowym. W kilka miesięcy potem u nowego sąsiada tego domu znalazłam złamane krzesło moich rodziców...

Spis ilustracji

Wkładka I, po s. 48

1. Lubartowska 21 (47) – dom rodzinny Autorki. Fot. z lat sześćdziesiątych
2. Zamojska 5 – gmach dawnego gimnazjum Szperowej. Fot. z lat sześćdziesiątych
3. Niecała 3 (dziś Georgi Dymitrowa) – gmach dawnego Gimnazjum Koedukacyjnego przy Towarzystwie Zakładania Szkół Żydowskich. Fot. z lat sześćdziesiątych
4. Ruska, ok. 1900 r. – Cerkiew Przemienienia Pańskiego
5. Melamed z dziećmi w chederze przy ul. Ruskiej, ok. 1930 r.
6. Dom przy ulicy Podwale, Fot. Komornicki, 1917
7. Krawiecka, ok. 1938 r. (nie istnieje) – jedna z uliczek Podzamcza. Fot. Stefan Kielsznia
8. Dolna Panny Marii (dziś Podgrodzie). Fot. S. Kielsznia, ok. 1939 r.
9. Kowalska, ok. 1938 r. – sklepy rzemieślnicze: kamasznika S. Klajnmana i kupca różnych skór. Fot. S. Kielsznia
10. Kowalska, ok. 1938 r. – sklepy i warsztaty szewskie, m.in. Icka Borensztajna oraz szyld Wojewódzkiego Związku Drobnych Kupców w Lublinie. Fot. S. Kielsznia
11. Kowalska 4, ok. 1938 r. – charakterystyczna, ciasna zabudowa ulicy, z wieloma małymi sklepami i szyldy reklamowe, m.in. fabryki cukierków i czekolady „Franka”. Fot. S. Kielsznia
12. Kowalska 4, ok. 1938 r. – balkon z reklamami: fabryki octu spirytusowego „Warszawianka” Antoniego Postoja, konkurencyjnej sprzedaży różnych buteleczek i słoików „Mobuta” oraz... but w witrynie sklepu z przyborami szewskimi. Fot. S. Kielsznia.
13. Kowalska, ok. 1938 r. Fot. S. Kielsznia
14. Kowalska 6, ok. 1938 r. – mieszkańcy i przechodnie. Fot. S. Kielsznia

15. Kowalska 2, ok. 1938 r. — reklamowy szyld składu towarów kolonialnych i śledzi B. M. Gewerca. Fot. S. Kielsznia
16. Kowalska, ok. 1938 r. — reklamy na murze. Fot. S. Kielsznia
17. Kowalska 8, ok. 1938 r. — kamienica narożna z ulicą Cyruliczą. Fot. S. Kielsznia
18. Kowalska, ok. 1938 r. — sklepy na piętrze, m.in. pracownia cholewek B. Flumena. Fot. S. Kielsznia
19. Kowalska 12, ok. 1938 r. — sklepy różnych branż. Fot. S. Kielsznia.
20. Kowalska 14, ok. 1938 r. — sklep z łakociami B. Tasiemki. Fot. S. Kielsznia
21. Kowalska 12, ok. 1938 r. Fot. S. Kielsznia
22. Kowalska, ok. 1938 r. — skład materiałów aptecznych i farb „Higiena”, salon fryzjerski „L. Miller i Ska”. Fot. S. Kielsznia
23. Uliczka Starego Miasta (dawniej część Nowej) — dom z reklamą drukarni „Polonia”. Fot. S. Kielsznia, 1935 r.
24. Uliczka Starego Miasta (dawniej część Nowej) — w głębi sklepy przy Olejnej. Fot. S. Kielsznia, 1935 r.

Wkładka II, po s. 96

25. Nowa, ok. 1935 r. — magazyn mebli H. M. Gładzstejna. Fot. S. Kielsznia
26. Nowa 1, ok. 1935 r. — sklep z wędlinami Jana Rydzewskiego. Fot. S. Kielsznia
27. Nowa 3, ok. 1935 r. — sklep z towarami bławatnymi N. Chawkina i sklep „Nowość”. Fot. S. Kielsznia
28. Nowa 5, ok. 1935 r. — sklep jubilera i spożywczy. Fot. S. Kielsznia
29. Nowa 3, ok. 1935 r. — reklama sklepu chemicznego. Fot. S. Kielsznia
30. Nowa, ok. 1935 r. — sklep kolonialny Estera Rubinsztejna. Fot. S. Kielsznia
31. Nowa 7, ok. 1935 r. — sprzedaż towarów galanteryjnych Dwojry Kopelman i pracownia czapek. Fot. S. Kielsznia
32. Nowa, ok. 1935 r. — domy mody: spółki „L. Fiszman i Sz. Rozenbaum”, S. Zolmana Zajdenbanda. Fot. S. Kielsznia
33. Nowa 9, ok. 1935 r. — sklepy z towarami galanteryjnymi oraz farb i lakierów. Fot. S. Kielsznia
34. Nowa 9, ok. 1935 r. — sprzedaż obuwia R. Wajsbrodta i witryna z reklamą piwa z browaru K. R. Vetterów. Fot. S. Kielsznia
35. Nowa 14, ok. 1935 r. — sklep kupca towarów łokciowych i bławatnych. Fot. S. Kielsznia
36. Nowa 11, ok. 1935 r. — sklep galanteryjny Brafmana. Fot. S. Kielsznia
37. Nowa, ok. 1935 r. — piwiarnia i owocarnia, sklep z ubiorami spółki „L. Fiszman i Sz. Rozenbaum”. Fot. S. Kielsznia

38. Nowa, ok. 1935 r. — piwiarnia chrześcijańska i pracownia pasów „Ortoband”, Fot. S. Kielsznia
39. Nowa 17, ok. 1935 r. — sklep z towarami łokciowymi Cygielmana, ubiorami i obuwiem Chaima Cukiermana. Fot. S. Kielsznia,
40. Nowa, ok. 1935 r. Fot. S. Kielsznia
41. Nowa, ok. 1935 r. — witryny sklepów spożywczych, m.in. Zylbersztajna i J. Wartskiego. Fot. S. Kielsznia
42. Nowa, ok. 1935 r. — magazyn obuwia Altmana, pracownia czapek Micenmachera, założona w 1901 r., oraz sklep A. Rozenfarba. Fot. S. Kielsznia
43. Nowa, ok. 1935 r. — sklep z towarami łokciowymi A. Rozenfarba i bar Ela Zalera. Fot. S. Kielsznia
44. Nowa 19, ok. 1935 r. Fot. S. Kielsznia
45. Nowa 21, ok. 1935 r. — bazar naczyń Wajsblecha z charakterystyczną dla lat międzywojennych reklamą towaru i sklep spożywczy M. Rykela. Fot. S. Kielsznia
46. Nowa, ok. 1935 r. Fot. S. Kielsznia
47. Nowa, ok. 1935 r. — pracownia obuwia Zylbermana, drobna sprzedaż wyrobów żelaznych, sklep spożywczy M. Rykela. Fot. S. Kielsznia
48. Nowa 24, ok. 1935 r. — dawna apteka W. Szeligi. Fot. S. Kielsznia
49. Nowa 23, ok. 1935 r. — sztyld zakładu napraw F. Gurfinkiela i pracownia sandałów L. Albermana. Fot. S. Kielsznia.
50. Nowa 23, ok. 1935 r. — sklepy R. Rochmana i E. Halpenina. Fot. S. Kielsznia
51. Nowa 23, ok. 1935 r. — m.in. sklep obuwniczy H. L. Topermana. Fot. S. Kielsznia
52. Nowa 23, ok. 1935 r. Fot. S. Kielsznia
53. Nowa 23, ok. 1935 r. — sprzedaż wyrobów rymarskich i podróżniczych F. Bidermana, Fot. S. Kielsznia
54. Nowa, ok. 1935 r. Fot. S. Kielsznia
55. Nowa, ok. 1935 r. — piwiarnia i herbaciarnia C. Wajsblecha. Fot. S. Kielsznia

Wkładka III, po s. 160

56. Widok ze starego kirkutu. Fot. J. Bułhak, 1925 r.
57. Podwórze między ulicami dawnego Podzmacza: Szeroką i Zamkową. Fot. S. Kielsznia, ok. 1936 r.
58. Krawiecka, ok. 1938 r. — nie istniejąca uliczka dawnego Podzmacza. Fot. S. Kielsznia
59. Podwórze przy ulicy Krawieckiej, ok. 1938 r. Fot. S. Kielsznia
60. Brama pod ulicą Zamkową, ok. 1938 r. Fot. S. Kielsznia

61. Podwórze przy ulicy Krawieckiej, ok. 1938 r. Fot. S. Kielsznia
62. Brama przy ulicy Podzmacze prowadząca w kierunku Szerokiej. Fot. S. Kielsznia, 1938 r.
63. Szeroka, ok. 1936 r. — dawna ulica Podzmacza. Fot. S. Kielsznia
64. Szeroka 2, ok. 1936 r. — sklepy różnych branż, m.in. sklep spożywczy A. Ejlmana. Fot. S. Kielsznia
65. Szeroka 10, ok. 1936 r. — fragment jezdni brukowanej „kocimi łbami”. Fot. S. Kielsznia
66. Szeroka, ok. 1936 r. — charakterystyczna architektura domów mniej reprezentacyjnej części ulicy. Fot. S. Kielsznia
67. Szeroka, ok. 1936 r. — sztyl informacyjny sklepów spożywczych Rozenblata, mieściły się przy Szerokiej 24 i 30. Fot. S. Kielsznia.
68. Szeroka 12, ok. 1936 r. Fot. S. Kielsznia
69. Szeroka, ok. 1936 r. — zakład fryzjerski Berka Taubliba. Fot. S. Kielsznia
70. Szeroka 14, ok. 1936 r. — warsztat kamasznika. Fot. S. Kielsznia
71. Szeroka, ok. 1936 r. — piekarnia, jedna z wielu na tej ulicy. Fot. S. Kielsznia
72. Szeroka 28, ok. 1936 r. — sklep spożywczy i warsztat ślusarski. Fot. S. Kielsznia
73. Zamkowa, ok. 1942 r. — nie istniejąca ulica dawnego Podzmacza. Fot. S. Kielsznia
74. Grodzka, ok. 1942 r. Fot. ze zbiorów Henryka Gawareckiego
75. Szeroka, ok. 1942 r. Fot. ze zbiorów H. Gawareckiego
76. Krawiecka, ok. 1942 r. Fot. ze zbiorów H. Gawareckiego
77. Nadstawna, ok. 1942 r. Fot. ze zbiorów H. Gawareckiego
78. Tablica z planem byłej dzielnicy żydowskiej, zburzonej przez Niemców w 1942 r. Fot. Andrzej Polakowski, 1987 r.
79. Pomnik wzniesiony w 1963 r. — w 21 rocznicę zagłady „Miasta za murami” — ku czci 40 000 Żydów Lublina. Fot. A. Polakowski. 1987 r.

Indeks osób

- Achtman 164
Ajbuszycówna 158
Ajnsztajn Masza 9
Akerman, krawiec 193
Akerman, krawiec z Krakowskiego Przedmieścia 15 lub 13 — 193
Akerman Natek 156
Akermanówna, córka krawca z Krakowskiego Przedmieścia — 159
Aksyl 93
Alberman L., właściciel pracowni sandałów z ul. Nowej 23 — 203
Alter Awromele 33, 34
Alter Mordcha 33, 34, 35
Alter Nechele 33, 34, 35
Alter Rywkały 33, 34, 35, 97
Alterowie, rodzina z ul. Lubartowskiej — 20, 24, 33, 35, 37, 84
Altman 114, 202
Aron „Ciap” 52, 53
Azriel, syn Hudeś 24, 26, 27
- Bach, adwokat 193
Bal-Cedek zob. Szyfman
Barbusse Henri 192
Becherowie, rodzina z ul. Lubartowskiej — 38
Beliński Władysław 187
- Białostocki Lowa 155, 166, 172, 173, 176, 178
Biderman Chaskiel 116
Biderman F., właściciel sklepu z wyrobami rymarskimi i podróżniczymi przy ul. Nowej 23 — 203
Bidermanowie, rodzina z ul. Cyruliczej — 116, 186
Bielski Konrad 124, 125
Bier Joanna 174, 189
Bilet Hersz 194
Blajch Chil 186
Blajchowie, rodzina z ul. Sieroczej — 186
Blizsak Perla 76, 77
Blizszakowie, rodzina z ul. Ruskiej — 76
Bluma 47
Blumele 42
Blumental Nachman 150, 151
Borawska 54, 55, 56, 57, 58, 59, 63, 64, 69, 73, 74
Borensztajn Icek 201
Borensztajnowie, rodzina z ul. Cyruliczej — 110, 112
Bornstajnowna 186
Boruch 105
Boruch, stryj Róży Fiszman 46
Brafman, właściciel sklepu galanteryjnego z ul. Nowej 11 — 202

- Brafmanówna 69
 Brawermanówna 161
 Bromberg Adam 174, 189
 Bromberg Elias 174, 178
 Bromberg Michał 174
 Brucha 23, 26, 33, 35
 Brykman 41
 Bursztyn Józef 182
 Bursztynówny (siostry) 177, 178
- Cesia zob. Fernand Cypa
 Cesia zob. Holzhekier Cyrła
 Chaim „Kaszemacher” 8
 Chaim, mąż Miriam Fiszman 95
 Chaiml, syn Hudeś 24, 25, 26
 Chajele, córka Bruchy 23
 Chawele, żebraczka 43
 Chawkin N., właściciel sklepu bła-
 watnego z ul. Nowej 3 — 202
 „Ciap” zob. Aron „Ciap”
 „Ciap” zob. Rajzla „Ciap”
 Cukierfajn, syn Wolfa Cukierfajna 9
 Cukierfajn Syma 8
 Cukierfajn Tobcia 9, 20
 Cukierfajn Wolf 8, 9, 11
 Cukierfajnowa, żona Wolfa Cukier-
 fajna 8
 Cukierman Chaim 202
 Cygielman, zarządca domu Wolfa
 Cukierfajna 11
 Cygielman 122
 Cygielman, właściciel sklepu z towa-
 rami łokciowymi z ul. Nowej 17 —
 202
 Cyklop zob. Zylberberg
 Cynamon, syn Cynamonów 135
 Cynamonowie z ul. Cyruliczej — 113
 Cynberg, lekarz 77, 82
 Cyrła 97
 Cytryn Helena 136
 Czarnecka Helena, właścicielka szko-
 лы 70, 115, 141, 142
- Dawid, mąż Bruchy 23, 24
 Dawidson Aron 187, 189
 Dawidson Justa 137, 142
 Diamentówna 69
 Dobrzyńska 163
 Dorfsman 112
 Dostojewski Fiodor M. 192
 Dreksler Jankiel 187
 Droue, nauczycielka francuskiego
 131
 Dwojra 98
 Dylewski 90
- Edelsztajn Ewa 160, 164
 Edelsztajn Idel 160, 164
 Elbaum 164
 Ele, właściciel sali na Rybnej — 53
 Eliezer, syn Hudeś 24, 27
 Elka z Izbicy 20
 Elwer, właściciel szkoły powszechnej
 160
 Engelsberzanka 69, 70
 Erlich Icchak 164
 Ezriel 39
- Fadijew Aleksander A. 192
 Fajertag 189
 Fajga 98
 Fajgele Abram-Lejzer 110
 Fajnowie, rodzina z ul. Lubartow-
 skiej — 37, 38, 42
 Fajnzylberówna 133, 148
 Farbiarz 93
 Farbiarz Rachela 160, 164, 187
 Farbiarżówna 159, 166
 Fela zob. Holzhekier Fajgele
 Fela zob. Percel Fajcia
 Ferenhof 130
 Fernand Benjamin 104
 Fernand Cypa — Cesia 75
 Fernand Dawid 103

- Fernand Heniek 76, 170, 199
 Fernand Mordcha 99, 170
 Fernand Rajzla 104
 Fernand Sura Łaja 104
 Fernand Szloma 49, 76, 104, 198
 Feuchtwanger Lion 192
 Fiszader Mojsze 31
 Fiszman Boruch 95
 Fiszman Chaja-Golda — Hela 33
 Fiszman Gedale 135
 Fiszman Gitla 32
 Fiszman L., właściciel domu mody z
 ul. Nowej — 202
 Fiszman Miriam 94, 95
 Fiszman Szloma 33
 Fiszman Uszer 13, 32, 92, 198
 Fiszmanowa, babcia 94
 Flumen B., właściciel pracowni cho-
 lewek z ul. Kowalskiej — 201
 Frajzyngier Emek 137
 Fruchtmanówna 73
 Frymeta 186
 Fuksman Hela 47
 Funt Dawid 70
 Funt Szejwa 70, 71, 142, 160
- Gajer, lekarz 10
 Gajerman Hinda 64
 Galis zob. Zajdmanowa
 Gecman, lekarz 102
 Gecman Karol 164
 Gedali 83
 Geldfarb Berek (Berl) 85, 86, 87, 88,
 89
 Geldfarb Chumele 85, 87, 88, 89
 Geldfarb Rojza — Róża 85, 87, 88,
 89, 90
 Geldfarbowie, rodzina z ul. Ruskiej
 — 85, 86
 Gelibterówny (siostry) 162
 Genendł 28
- Gestler 148, 153
 Gewerc B. M., właściciel składu to-
 warów kolonialnych i śledzi z ul.
 Kowalskiej 2 — 201
 Gewerc Bela, córka właściciela kina
 „Apollo” 143
 Gewerc Pinchas 58, 59
 Gide Andre 182, 192
 Giewerc Bela 178
 Giewerc Dawid 65, 164
 Gitlisówna 162
 Gładsztejn H. M., właściciel magazynu
 mebli z ul. Nowej — 202
 Glasberg, nauczyciel matematyki
 125, 145, 148
 Glazberg, właściciel gimnazjum 170
 Gładkow Fiodor W. 192
 Gogol Mikołaj W. 192
 Goldberżanka 64
 Goldfarb 175
 Goldfingier Jakub 122
 Goldfingier Jankiel 122
 Goldfingier Róża 122
 Goldfingier Zofia 177, 193
 Goldman Idl 49, 50
 Goldman Izaak 156
 Gradlerowie, rodzina z ul. Bernar-
 dyńskiej — 140
 Grajer Szama 85
 Granach Aleksander 180, 181
 Granatsztajn Fajwel 192
 Granatsztajn Fajzel 169
 Grincwajg, lekarz 102
 Grosbach 189
 Gruba Szejwa 95
 Gryn Lejzorek 92
 Grynberg Abram 42
 Grynberg Sara 66, 67
 Grynbergowie, rodzina z ul. Lubar-
 towskiej — 41, 42
 Grynowie, rodzina z ul. Ruskiej — 92
 Grynszpan Ita 46

Grynszpan Pejsach 45, 46
Gurnfinkiel 203
Gutharc Brucha 63, 110

Halbersztat Mania 155
Halbersztat Szlomele 155, 179
Halpenin E., właściciel sklepu z ul.
Nowej 23 — 203
Halperinowa 57, 58
Hamermanówna 57, 69
Hauptman Gerhart 192
Hela zob. Fiszman Chaja-Golda
„Heńcia” 128
Heńcia 30
Herc Maks 177, 178
Herszenhorn, lekarz 22
Herszenhorn Mała 133
Hess Wilhelm, właściciel fabryki wag
i odważników — 80
Hojze Bu 28
Holcekier Czarny 194
Holcekier Icze 12
Holzhekier Cyrla — Cesia 65, 66
Holzhekier Fajgele — Fela 65, 66
Holzhekier Gučia 66
Honigsztajn Haskiel 190
Hudest 24, 25, 26, 28

Ibsen Henrik 150, 167
Icze Walenty (przezvisko) 67
Ilcza 44
Izraelita 172, 194

Jeleniewicz Aron 111, 112, 115
Józwiak Franciszek 187
Józwiak Witold zob. Józwiak Franci-
szek
Jubel 129, 133
Jungman Jasio 182, 191

Kac Jakow 170
Kacnelbojgenowie, rodzina z ul. Lu-
bartowskiej — 12
Kaferman Leja 66
Kafermanowie, rodzina z ul. Lubar-
towskiej — 37
Kamień Cesia 174
Kamień Ewa 174
Kamień Fajwel 79, 174, 175, 176,
182, 183
Kamień Noech (Noach) 174, 191
Kantor 145
Karp Franek 182
Kartofel Aron 134, 135, 180
„Kaszemacher” zob. Chaim „Kasze-
macher”
Kautsky Karol 192
Kejsmanówna Bronia 58, 59
Kejsmanówna Mania 59
Kellermann Bernhard 192
Kestenberg 194
Klajnerówna 48, 143
Klajnman 134
Klajnman S., kamasznik z ul. Kowal-
skiej — 201
Klajnwekslerowie, rodzina z ul. Lu-
bartowskiej — 10
Kliger Ewa 160
Klinger Chaim 5
„Knipiks” zob. Laks
Koc Adam 185, 194
Kohen 170
Kołontaj Aleksandra M. 192
Konopko Sabina 176, 178
Konopko Sala 176, 178
Kopelman Dwojra 202
Korn 153
Kotowski 77
Krasucy 189
Krzykała Stanisław 177
Kuczer Abram 172, 178
Kuna 58

- Kunicki Władysław 141, 177, 193
 Kuropatwa 143, 194
 Kuropatwianka 125, 131
 Kwieciński 177
- Laks „Knipiks” 99
 Lamber 133
 Lenin Włodzimierz Iljicz, właśc. W.
 I. Ulianow 192
 Lejzer Abram 63
 Lejzer Fajgele 63
 Lerer Lajbło 79
 Lewin, nauczycielka francuskiego
 154, 159, 166
 Lewin 135
 Libele 43
 Liberalówna 153
 Litman Szymon 190, 191
 Litwak 76
 Lola, kuzynka Maszy Szternówny 68
 Lorberówna 162
- Łobodowski Józef 177, 181
- Macharowska Sara 70, 71, 72, 73, 74,
 108, 131, 133, 145, 165
 Macharowski Szyszczon 108, 109, 116
 Majerson 190
 Majuś zob. Zylbersztajn Mejer
 Mala 97
 Mala, siostra Itczy 44
 Mala, woźna 60
 Malinowski 191
 Mandelbaum, lekarz 82, 140, 148
 Mandelbaum Franciszka 82
 Mandelkern, nauczyciel matematyki
 145, 148
 Mandelkernowa, nauczycielka histo-
 rii 148, 149, 167
- Mandelkernowa, właścicielka szkoły
 54, 173
 Mandelsberg 149
 Mandelsberżanka 148
 Mandeltraub 191
 Marks Karol 192
 Mendelson 169
 Merderówna 129, 130
 Mesz, lekarz 140, 141
 Micenmacher 202
 Minzer 127
 Mińcia 97
 Mitelman 141
 Modrzewska Krystyna 82
 Mojsze 43
 Mojsze, kamasznik 32, 33
 Mościcki Ignacy 155, 156
 Motł 39
 Motyka 80, 81
 Mydler 127
- Nachtajler Mordko 169, 170
 Najhauz 158
 Nechama, kuzynka Maszy Szternów-
 ny 68
 Nisenbaum Aron 183
 Nisenbaumowie, rodzina z ul. Lubar-
 towskiej — 12
 Nisenbaum Jankiele zob. Nissen-
 baum Jakow
 Nissenbaum Jakow 151
 Nomberg Henoch 187
 Nomberg Rywcia 187, 189
 Nomberg Sara 92, 173, 174, 189
 Nusman Abram-Abrasza 159
- Oksenhändler 53
 Olga (pseudonim) 187
 Oliwa Mordche 107
 Orensztajn – Orski Chaim 187

- Pajczer (bracia) 160
 Papiewska Wanda 193
 Pasternak 154, 155, 156, 157
 Peniakier 125, 131, 137, 148
 Percel Fajcia — Fela 170
 Perel Herszal (Hersz) 164, 188
 Perl Lejb 170
 Perlmutter Bluma 186
 Perlowie, rodzina z ul. Lubartowskiej
 — 12
 Peska 13
 Plechanow Grzegorz W. 192
 Pilniak Borys właśc. Wogan Borys A.
 192
 Piscator Erwin 181
 Policzek (przezvisko) 85
 Postoj Antoni 201
 Powtak 60
 Poznański Berek 190
 Prus Bolesław 166
- Rabinowicz Szalom (Szolem Alej-
 chem) 145**
 Radzikowska, właścicielka szkoły 47
 Rajsfeld Pejsach 193
 Rajzla „Ciap” 53
 Rapaport Gliki (Glikel) 29, 40,
 169
 Rapaport Necha 40
 Rapaport Rochma — Roma 73
 Rapaportowie, rodzina z ul. Lubar-
 towskiej — 39, 40
 Rechtszaff Saly 130
 Reinhardt Max 181
 Rochman R. 203
 Rolland Romain 182, 192
 Roma zob. Rapaport Rochma
 Rosenblat 203
 Rot Heniek 77
 Rotbaum 23, 158
 Rotbaum Jakub 169
- Roth Heniek 164
 Rothowie, rodzina z ul. Lubartow-
 skiej 24 — 162
 Rotowie, rodzina z ul. Lubartowskiej
 29 — 38, 77
 Rozen, lekarz 82
 Rozenbaum Sz., właściciel domu mo-
 dy z ul. Nowej — 202
 Rozenberg, matka Chaim-Szyji 92
 Rozenberg Chaim-Szyja 92, 155, 163
 Rozenblat 203
 Rozenblum Ewa 186
 Rozenfarb A., właściciel sklepu z
 towarami lokciowymi z ul. Nowej
 — 202
 Róża zob. Geldfarb Rojza
 Róża 189
 Rubinsztejn Ester 202
 Ruer Dawid 192, 193
 Russel Bertrand 182
 Rutkowski Władysław 195
 Rydzewski Jan 202
 Rykiel M. 203
- Sakcijer Mołt 5**
 Sartre Paul 182
 Segal Maks 177
 Semadeni Andrzej 195
 Semadeni Kacper 195
 Sempołowska Stefania 188
 Smolar Mojsze 31
 Sobolówna 58
 Spirt Cyrla 96
 Spirt Maśza 96
 Spirt Rajzla 96
 Stokfisz Dawid 5
 Strug Andrzej 183
 Sura-Łaja 78
 Symały 108
 Szajngezycht 122
 Szeliga W., aptekarz 203

- Szewale 43
 Szolem Alejchem zob. Rabinowicz
 Szalom
 Szolson 158
 Szolochow Michał A. 182, 192
 Szorówny (siostry) 177, 178
 Szpak, lekarz 102
 Szper, właściciel gimnazjum 13
 Szperowa, właścicielka gimnazjum
 113, 124, 133, 134, 135, 138, 141,
 143, 144, 146, 147, 148, 149, 153,
 158, 170, 201
 Szpilfogel 48
 Szpilfoglówie, rodzina z ul. Lubar-
 towskiej — 48, 49
 Szpigelsztajn Szmulek 160
 Szpiro, rabin 83, 84
 Szpiro Bela 170, 183
 Szpiro Frania 137
 Szpiro Gedale 190
 Szpiro Józef 141, 142, 175, 177
 Szpirowie 49
 Szrojtówna 123
 Sztajn 68
 Sztatmanowa 54
 Sztern Masza 67, 68, 71, 133
 Sztern Mojżesz 170
 Szternfinkiel Jehuda 156, 157, 185
 Szternfinkiel Marta 199
 Szternfinkiel Mojżesz 156, 157, 186
 Szufel 145
 Szustak 54
 Szwarcowie, rodzina z ul. Lubartow-
 skiej — 12
 Szwed 47
 Szwergoldówna 136
 Szyferowie, rodzina z ul. Lubartow-
 skiej — 50, 51, 69, 86
 Szyfman 160
 Szyfowie, rodzina z ul. Lubartow-
 skiej — 81, 186
 Szyldkraut Meier 149
 Szyper, syn Beli Szpiro 171
 Szyper, historyk żydowski 55
 Szyper, nauczyciel 131, 132, 133, 148
 Szper Lajbele 127, 128, 153
 Szyszko 177
 Śliwka 189
 Śpiewak Chaim — Jankiel 20, 21, 22,
 23, 51, 79, 146, 198
 Śpiewak Fiszel 22, 146
 Śpiewak Malcia 20, 21, 23, 146
 Śpiewak Mojsze-Josef 22, 28, 79
 Śpiewakowie, rodzina z ul. Lubar-
 towskiej — 20, 21, 22
 Świętosławska Nadzia 88, 89
 Świętosławski 41, 89
 Świętosławscy 89
 Tanenbaum 41
 Tasiemka B. 201
 Taublib Berek 203
 Tejewel Mosia 149, 150, 151
 Tołstoj Lew N. 192
 Toperman H. L., właściciel sklepu z
 obuwem z ul. Nowej 23 — 203
 Trauner 152, 153
 Trejglówie, rodzina z ul. Lubartow-
 skiej — 80
 Trusówna 48
 Turkieltaub Berek 178
 Turkieltaub Ewa 178
 Turkieltaubówna 69, 70
 Turnerowie, rodzina z ul. Lubartow-
 skiej — 10
 Wajcenblitówna 55, 70
 Wajcenfeld 86
 Wajs Rycwia 156, 157
 Wajsberg 57
 Wajsblech, właściciel baru naczyń
 z ul. Nowej 21 — 202

- Wajsblech Beniamin, aplikant sądowy 137
Wajsblech C., właściciel herbaciarni i piwiarni z ul. Nowej — 203
Wajsbrodt R. 202
Wajsbrot Ruchełe 161
Wajskop Grzegorz 189, 191
Wajzman Dora-Dwojra 133, 134
Walder Abramek 95, 111, 113, 114
Walder Blumełe 115
Walder Brucha 95, 110
Walder Esterka 110, 112
Walder Fajgełe 110, 115
Walder Gucia 110, 113
Walder Gunia 115
Walder Symcia 111, 113
Walderowie, rodzina z ul. Cyruliczej — 114, 115
Wałachman 108
Warhaftig 48, 49
Wartski J. 202
Wasilewska Wanda 183
Winter 187
Witman 58
Wizorowa 187
Włostowicer 193
Wojciechowski Stefan 142
Wudel Witold 177, 182
Wurman Kopl 162
- Zajdenband 202
Zajdman, adwokat 178, 181, 199
Zajdman, lekarz 21, 93, 194
Zajdmanowa, żona adwokata 199
- Zajfen Rafueł 102
Zajfsztajn Fisz 10
Zajfsztajn Sylkała 8, 9, 10
Zalcman Abuś 118, 119
Zalcman Chana 118, 119
Zalcman Fajga 118
Zalcman Heńcia 118
Zalcman Luba 118
Zalcmanowie, rodzina z Lubartowa 119, 120
Zaler Ela 202
Zandsztajn 96
Zandsztajn Esterka 160
Zolman S. 202
Zorman Chanale 106
Zorman Chawa 106, 122
Zorman Mojsze 107, 108, 122, 123
Zorman Suza 122, 123
Zormanowie, rodzina z ul. Szerokiej — 106
Zygielwaks 69
Zylberman 203
Zylbersztajn, właściciel garbarni 41
Zylbersztajn, właściciel sklepu spożywczego z ul. Nowej — 202
Zylbersztajn Mejer 163
Zylberg — Cyklop 184
Zyngerowa 194
Zysman 134
Zysman 135
Zysman, krawiec z ul. Niecałej — 189
- Żabotyński Włodzimierz 184
Żeromski Stefan 150, 167

Spis treści

Przedmowa	5
Lubartowska 21 – podwórze, gospodarze, lokatorzy, moja rodzina	7
Walka z policją, komisją cen i komisją sanitarną	35
Lubartowska 19 i trzy piękne dziewczęta	45
Lubartowska 23	48
Dom Szyferów	50
Sklep z kwaszonymi ogórkami i mrożonymi jabłkami. Rodzina „Ciapów”	52
Szkoła Powszechna	54
Uczennice Szkoły Powszechniej	63
Wzdłuż Lubartowskiej	75
Szpital żydowski	81
Jeszywa	82
Ruska	84
Ulica Jateczna	97
Spacer po Kalinowszczyźnie	98
Szeroka 52, mój dziadek, babcia oraz inni lokatorzy	100
Drogi do Cyruliczej	109
Cyrulicza, jej mieszkańcy i bajki	110
Żydowska kolonia letnia w Nowodworze	116
Gimnazjum Szperowej – egzamin i nauczyciele	124
Uczennice i uczniowie	133
Drogi do szkoły – Zamojska, Bernardyńska, Lubartowska, Nowa, Brama Krakowska	138
Gimnazjum Humanistyczne	144
Nauczyciele	147
Uczennice	158
Uczniowie	163
Egzamin maturalny	165
Po maturze	168

Ludzie, marzenia, czyny	171
Krakowskie Przedmieście — ulica „święteczna”	193
Ogród Saski	195
Spis ilustracji	201
Indeks osób	205

O książce Róży Fiszman-Sznajdman, wydanej pierwotnie w Izraelu, pisano:

Motł Sakcjer, poeta, publicysta i redaktor „Judische Cajtung” („Gazeta Żydowska”), Tel Awiw, 26 listopada 1982:

„Mój Lublin” nie jest książką dokumentalną, ani historyczną. Autorka oparła się wyłącznie na swoich wspomnieniach [...]. Jak obrazy na ekranie przewijają się nie tylko ulica za ulicą z najdrobniejszymi szczegółami, ale także każdy dom z właściwym jemu numerem [...] miasto Żydów prostych, trujących się, półsytych, przytłoczonych niedostatkami: rzemieślników, groszowych kupców, a wśród nich nawet strasznych bezdomnych stworzeń, które uzupełniają ten szary, biedny pejzaż [...]. Opisuje ze szczegółami żydowskie „parnusys” [rodzaje zarobkowania], kłopoty i ciężary powodujące przedwczesne garbienie się, a także starania, by dzieci otrzymały wykształcenie...

Efraim Einstein, „Kol Lublin” („Głos Lubelski”), Tel Awiw, listopad 1985:

Szczególnym rozdziałem w życiu Rózki było jej dążenie do wiedzy. Czytając o trudnościach, jakie musiała ona pokonać, aby dostać się do gimnazjum, przypomniałem sobie znaną żydowską pieśń ludową, w której reb Eliezer znosi pokornie wszystkie kłopoty materialne, ale kiedy jego syn zostaje w domu, gdyż nie ma możliwości zapłacenia za naukę, wpada w rozpacz, „bo chłopak zostanie bez Tory”. Tak było u Żydów — odbierano sobie kęs chleba, a posyłano dzieci do „chederu”...

Nachman Blumental, pisarz, historyk i publicysta, nauczyciel Autorki w Lublinie, autor wstępu do izraelskiego wydania *Mojego Lublina* w roku 1982:

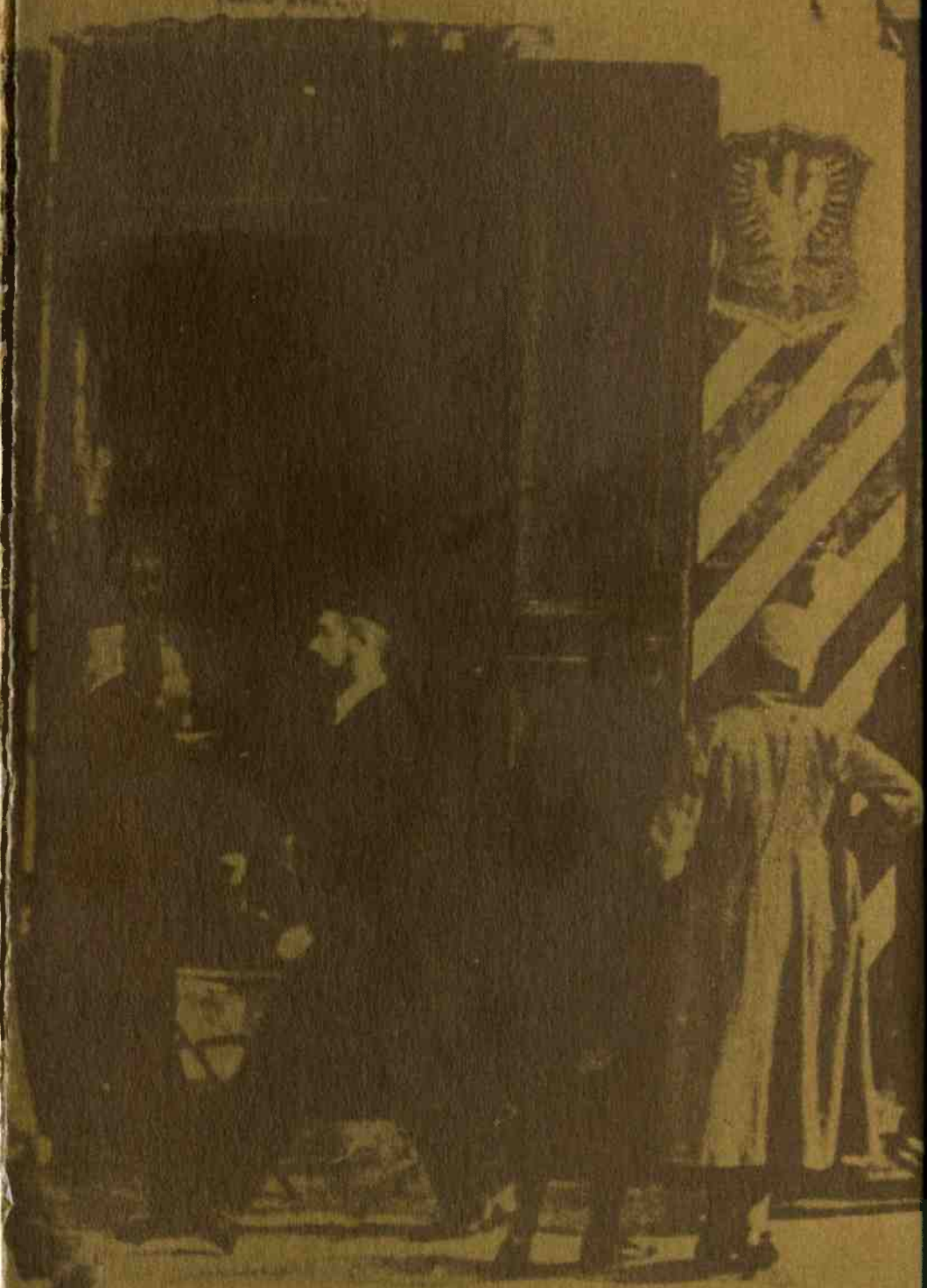
Z każdej linijki książki Róży Sznajdman czuje się jej gorące ludzkie serce, jej umiłowanie sprawiedliwości i prawdy oraz współczucie dla skrzywdzonych i prześladowanych. Podziwiam pamięć Autorki, która tak dokładnie pamięta miejsca, nazwy i wydarzenia oraz opisuje je z najdrobniejszymi szczegółami — posługując się przy tym pięknym i czystym językiem żydowskim...

(Fragmenty recenzji przytaczamy w tłumaczeniu męża Autorki książki, Izydora Sznajdmana)



SPOTWAZZ
MAY 17 1871

17



OŚRODEK
BRAMA
GRODZKA



TEATR NN

Ljd - 36

„Mój Lublin” to książka poświęcona dziejom nie istniejącej już dzielnicy żydowskiej przedwojennego Lublina, jej ubogim mieszkańcom, kupcom i rzemieślnikom, rodzinie Auarki, sąsiadom z donu przy ulicy Lubartowskiej 21 i okolic, kolegom i nauczycielom szkoły powszechnej prowadzonej przez panią Borawską i z gimnazjum Szperowej.

Chaim Zeicer o izraelskim wydaniu książki napisał w „Letzte Majes” („Ostatnie Wiadomości”) z 31 grudnia 1982 r., iż czytelnik „zaszokowany jest bogactwem i precyzją niezliczonych obrazów: szerokich panoram i pojedynczych domów, szczególnie intymnymi kąciakami w mieszkaniach i pełnymi gwaru targowiskami, ciemnymi zaułkami i jasnymi, ruculiwymi ulicami, małymi groszowymi sklepikami i wielkimi magazynami, biednymi warsztatami szewskimi i dużymi fabrykami. [...] obrazy te przeplatane są opowiadaniem o pogromach i napadach, pożarach i innych nieszczęściach, chorobach w ciasnocie zanieszkanych domów i podwórzy. Dużo nieszczęść i mało radości. Tak wyglądał żydowski Lublin w oczach żydowskiego dziecka...”

Autorka książki, Róża Fiszman-Sznajdman, urodziła się w Lublinie w 1913 r., tu uczyła się i działała w lewicowym ruchu młodzieżowym. W latach II wojny światowej wraz z mężem Izajaszem Sznajdmanem przebywała w Związku Radzieckim. Po powrocie do Lublina w 1946 r. pracowała jako nauczycielka, potem jako dziennikarka w „Sztandarze Ludu”, współpracowała z pismem „Folks Sztyme”. W końcu 1969 r. osiadła w Szwecji. Pracowała w Muzeum Etnograficznym w Goeteborgu. Zmarła 15 listopada 1985 r.

Cena zł 1200.—

WYDAWNICTWO LUBELSKIE